



# KOLCE DZIKIEJ RÓŻY

SAGA RODZINNA

EWA POPLAWSKA



OFICYNKA  
WYDAWNICTWO



KOLCE  
DZIKIEJ RÓŻY

SAGA RODZINNA

EWA POPLAWSKA



Copyright © Oficynka & Ewa Popławska, Gdańsk 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone.  
Książka ani jej część nie może być przedrukowywana  
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana  
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2022

Opracowanie redakcyjne: zespół

Korekta: Anna Marzec

Skład: Dariusz Piskulak

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Lina Kivaka / pexels

© Anneka / shutterstock.com

© EA09 Studio / shutterstock.com

ISBN 978-83-67204-64-4



[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)  
e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

# I



Wzdłuż głównego traktu niespiesznie kicał szarak. Tu i ówdzie zatrzymywał się, strzelając dużymi oczami w poszukiwaniu zagrożenia. W końcu, uznawszy, że nic mu nie grozi, przycupnął z lewej strony piaszczystej drogi. Łąki mieniły się tu jasną zielenią, ale w oddali drzewa wychylały korony, rozmaite bory porastały ogromne połacie wysoczyzny. Słońce jeszcze opromieniało krajobraz, ale chyliło się coraz niżej. Wkrótce miało zmierzchać.

Naraz zając podniósł nieznacznie głowę. Długie uszy wyłowiły delikatne dźwięki podobne do przytłumionego stukotu. Wzmagał się on z każdą chwilą. Zwierzę energicznie obróciło się i naraz przerażone oczy napotkały wzrok młodego mężczyzny trzymającego łuk z napiętą cięciwą. Cichy świst rozszedł się po okolicy. Zając nie uskoczył w porę, nawet nie wydobył dźwięku – tak szybko świsnęła strzała i przebiła mięsisty tułów na wylot.

– Ustrzelony! – zawył radośnie parobek.

Ubrany był skromnie, zaledwie w lnianą koszulę i także same, brudne od ziemi, spodnie. Czarne, przyszczyżone na pazia włosy, kontrastowały kolorem z bladą cerą i zaczerwienionymi spojówkami. Nie był to chłopak przystojny, ale nad wyraz lotny w służbie łowiecko-kucharskiej. Powozy jego pani ciągnęły aż z Francji, koniec drogi zaś zwiastowały widoczne już dobrze pagórki i mieszane lasy.

Usłyszawszy radosny wrzask parobka, surowa pani wdowa wyjrzała przez okno swojego powozu. Najpierw dostrzegła przed sobą przebitego strzałą zająca, a chwilę później poczuła, że tył powozu mocno zadrżał. Łowczyk zwinnie zeskoczył z tylnego siedziska usadowionego pomiędzy wysokimi kołami karety. Ominął swoją panią i dwie siedzące w powozie panny, jakby były

powietrzem, po czym pobiegł ochoczo, by zabrać z drogi zajęcze mięso.

– Oj, Maciejca, żebyś ty tak chętnie pomagał przy wyciąganiu wozu z bagna!

Ton głosu pani wdowy był surowy, ale parobek ani myślał się kajać. Wiedział bowiem, że pod rządami van der Bergów nic złego nie może go spotkać, a żona nieboszczyka Rudofla folguje służbie jak mało która patrycjuszka.

W pierwszym powozie siedziała pani van der Berg wraz z obiema córkami. Karetą, choć nie najwspanialszą, zdradzała, że traktem jedzie ktoś zaszczytny. Malowana na żółto kopuła wozu odznaczała się od całości nie tylko osobliwym kolorem, ale również licznymi malunkami roślinnymi, pokrywającymi zwłaszcza drzwiczki. Wśród zielonego listowia wyróżniały się rubinowe kulki jarzębinowe i cienkie gałązki, wieńczące nie tylko bok, ale również dach. W środku panował przyjemny cień. Trzy niewiasty spoczywały na aksamicie obitym gęsimi piórami.

Za pierwszą kareta jechały dalece gorzej zbite wozy – proste i bez dachu. Konie ciągnęły je pojedynczo lub w słabej dwójce. W furach spoczywały drobne kosztowności, jedzenie i piwo w beczkach, a także szaty dla pani wdowy i cór. Niekiedy któryś zmęczony chodzeniem parobek wspinał się na ostatni wóz, aby odpocząć, ale pozostali chłopcy ze służby już po chwili gonili wygodnisia, by samemu móc spocząć. Wymieniali się zatem, pilnując, by kłótnie i wzajemne oskarżenia nie dotarły do uszu pani.

Jej kareta zaprzęgnięto w karą czwórka powożoną przez najstarszego służbę i najbardziej zaufanego. Był nim stary chłop Wąsik. Choć liczył już ponad sześćdziesiąt wiosen, obcym wciąż imponowały jego gabaryty. Taki człowiek był niezbędny podczas długiej, niebezpiecznej podróży niewieściej, choć po prawdzie pani wdowa wyposażyła się dodatkowo w stary samopał, przywieziony van der Bergom z Ukrainy.

I oto jechały powozy aż z Francji, a wcześniej z Niderlandów, pod wieś zwaną Oliwą. Wiele się wydarzyło podczas tej tułaczki, ale właśnie dziś jawił się jej kres. Słońce zachodziło powoli, wrześniey dzień nie ustępował.

\*\*\*

Pani wdowa wyjrzała raz jeszcze przez okno powozu i z uznaniem popatrzyła na wzniesienia, do których nieuchronnie się zbliżali. Dzikie lasy porastały nieposkromione połacie aż po horyzont.

– Droga matko, czy widzę smutek w twych oczach? – zapytała młodsza córka.

Spojrzenie latorośli było przenikliwe. Urodą różniła się od starszej córki prawie zupełnie, obie łączyły jedynie delikatne, kruche rysy, odziedziczone po matce.

– Zdaje ci się – odpowiedziała pani van der Berg.

Starsza córka – Ludwika – nakryła oczy rzęsami. Oczywiście, że matka musiała odczuwać smutek. Z pewnością niejedna emocja targała jej wnętrzem, choć starała się zagłuszać niemiłe wspomnienia, które wiązały się z tą ziemią.

Lisa nie miała pojęcia o gdańskiej przeszłości matki i starszej siostry. Obie milczały na ten temat jak zakłute, więc nie było o co dopytywać. Najmłodsza córka van der Bergów wiedziała tylko tyle, że jej matka mieszkała kiedyś na północy Rzeczypospolitej, a jej mężem był Polak – Rudolf Schwarz. Nigdy jednak nie opowiadała o nim zbyt szczegółowo. Ot, kiedyś zaszedł konia od tyłu i dostał kopniaka, po którym już się nie podniósł.

Po prawdzie było całkiem inaczej. Mąż tej ciekawej osobki nazywał się Daniel Schulz i był chłopem powieszonym za kradzież pierścieni z sypialni króla Jana III oraz dwa morderstwa – na bezbronny młodziu monarchy i na niedołężnym mężu patrycjuszki – Barbary Schwarz. Starsza siostra Lisy była więc córką chłopca z podgdańskiej wsi Stare Szkoty, ale też banitką, mającą już nigdy nie ujrzeć miasta.

Pomimo wieku, Ludwika van der Berg pozostawała wdową. Przed kilkoma laty poślubiła amsterdamskiego kupca, ale umarł w dwa miesiące później na chorobę płuc. Twarz dziewczyny, podobnie jak matczyna, była nazbyt poważna. Delikatne rysy kontrastowały z chłodnym spojrzeniem brązowych oczu, takich samych, jakie posiadał ojciec. W tej blond dziewczynie wszystko mieszało się ze sobą – dystans przyćmiewał urok, a kunsztowna nauka mieszczańskich manier – stare chłopskie wychowanie. Ludwika była grzeczna, ale

skryta. Nigdy nie wyjawiała siostrze prawdy o przeszłości czy swoim ojcu. A przecież doskonale pamiętała wszystkie wydarzenia gdańskie, choć miała wówczas zaledwie dziesięć lat.

Lisa chowała się zupełnie inaczej. Pod mięką ręką pobłażliwego ojca nauczyła się nie tylko patrycjuszowskich manier, ale też bezczelnego obejścia z mężczyznami, niespełniającymi jej zachcianek. Narowista natura i niewyparzony język uczyniły ją najmniej pożądaną partią w całym Amsterdamie. Mężczyźni bali się jej i omijali dom van der Bergów szerokim łukiem. Stary ojciec tylko wzdychał na to nieszczęście, modląc się, aby wreszcie znalazł się jakiś łaskawca. Nie doczekał go jednak – zmarł któregoś dnia we śnie. Dla niewiast z rodu van der Berg oznaczało to zupełnie nowe otwarcie.

– Matko, czy zajedziemy do dworku przed zmierzchem? Wokoło same lasy i żadnej karczmy. Strach pomyśleć, gdzie noc spędzimy.

Pani van der Berg wbiła w starszą córkę chabrowe oczy. Tliło się w nich zrozumienie, ale przebijała przez nie aura tajemnicy, którą mogła zrozumieć tylko Ludwika. Tym wzrokiem matka po raz kolejny dawała córce do zrozumienia, że ich wyprawa – choć przydatna – kosztować będzie wiele poświęcenia. Jeszcze gdy mieszkały w Amsterdamie, a ojciec ledwo skonał, zawołała Ludwikę do swoich pokojów i wyłożyła cały plan przyjazdu do Gdańska. Początkowo córka nie chciała o tym słuchać – wszak wycierpiały w Rzeczypospolitej niepojęte katusze, a władze miasta skazały je obie na banicję. Jeśli kiedykolwiek pojawiły się znowu, natychmiast poszłyby na sznur.

– Wiem, że martwisz się, córeńko, ale niepotrzebnie. Dwadzieścia lat minęło od tamtych krzywd, a pod nazwiskiem nieodżałowanego ojca twego – Rudolfa – nikt nas nie pozna. Jeszcze chwila i Fryderyk August zostanie królem Polski, a my mamy interesy z Francuzami, którzy wystawili do tronu księcia Contiego. Jeśli książę zdecyduje płynąć do Rzeczypospolitej, musi mieć bogatych stronników.

Ludwika patrzyła wówczas na matkę niepewnie, tak jak i teraz. Jako jedyna znała wszystkie tajemnice pani van der Berg, lecz poprzysięgła jej, że nikomu, a zwłaszcza swojej siostrze, niczego nie powie. Byłaby to zresztą opowieść długa i pełna bóleści, choć

cierpienia wreszcie się zakończyły, a fortuna zwróciła ku nim oblicze.

Teraz matka nie odpowiedziała. Wyrzała ku słońcu, a promienie padły na zmęczoną twarz. Czterdzieści siedem wiosen liczyła ta niezwykła kobieta, ale wciąż na dnie serca tliła się ta sama buntowniczość, co kiedyś. I wciąż Barbara van der Berg, znana wcześniej jako Wanda, niegdyś Schulz, a z panińskiego Sobótko, pamiętała wszystkie emocje, zadry i zniewagi. Ale najgorsze było to, że pamiętała też szczęście.



## II



Poważnie już zmierzchało, gdy wreszcie damy z rodu van der Berg ujrzały cel podróży migający między drzewami. Ostatnią godzinę przejechały w grobowej ciszy, martwiąc się, czy spoza ogromnych lasów wyłoni się choćby karczma. Nawet pachol Maciejca przestał pogwizdywać, obawiając się, że w ten sposób ściągnie na trakt wilki lub dzikie psy.

Ogromne zalesione wzgórza otaczały trakt półkoleściami – z tyłu i z lewej strony. Po prawej zaś – w oddali – migotały spokojne wody Stawu Młyńskiego.

– Skoro jest woda, muszą być zabudowania – rzekła seniorka rodu.

Lisa ciekawsko wychyliła głowę przez okienko powozu, podziwiając tonącą w szarudze okolicę. Była w istocie piękna; znad stawu ulatywały ciężkie ważki, świerszcze zaczęły koncertować.

Ujechały jeszcze kawałek, aż towarzyszące im wzgórze poczęło gwałtownie opadać. Kończyło się stromo, niby urwane. Oczom patrycjuszek ukazał się drewniany dworek, który tonął w ciemni, przypominając kształtną bryłę. Damy nie przypatrywały mu się zbyt długo. Wanda rozkazała wstrzymać konie i wysiadła z wozu, rozglądając się po okolicy. Ujrzała pacholka wychodzącego z pałaczkowej stajni.

– Ejże, chłopie! – zawołała donośnie – chodź tu.

Służba van der Bergów patrzyła podejrzliwie na nieznanego mężczyznę, który podszedł po chwili zawahania. Zobaczył zarysowany kształt powłóczystej sukni, przetykanej koronkowymi wstawkami, z dużą ozdobną wstęgą nad dekoltem. Skłonił się zatem niezgrabnie, prezentując maniery. Otrzeptał zakurzone, bosc stopy i zapytał pani, o co chodzi.

– Powiedz mi, co to za dworek i czy daleko stąd do Totenhofu.

– Miłościwa pani, oto i właśnie Totenhof.

Wanda poczuła ucisk, słysząc ten zwrot. Mimo upływu lat nie przywykła, że nazywają ją miłościwą lub jaśnie panią. Kiedyś sama zwracała się tak do możnych mieszczan, a ją określano chłopką. Nie dała jednak poznać po sobie, że odpowiedź chłopca zbiła ją z tropu. Uniosła z gracją głowę, wyszukanych manier nauczyła się w Amsterdamie.

– Jestem rada, że to kres naszej podróży. Daj znać dworskiej służbie, że przybyła Barbara van der Berg wraz z córami. Pan twój łaskawy przekazał ci na pewno, co masz robić, kiedy zajedziemy.

Dla świata Wanda była Barbarą. Obawiała się zdradzić, choć po latach przywykła do zmienionej tożsamości. Słyszając nazwisko van der Berg, chłop skłonił się kilka razy nazbyt energicznie. Widocznie z niecierpliwością oczekiwano dam. Popędził do dworku, by zawiadomić kogoś znaczniejszego.

– Dobra służba musi być we dworze – zagadnęła Lisa.

Wysiadła z powozu w błękitnej, przepysznej sukni, a za nią Ludwika w jasnożółtym stroju. Odczekały chwilę, przysłuchując się cykaniu świerszczy. Nic nie mąciło spokoju tej okolicy, zabudowania wsi Oliwa stały dużo dalej.

Z dworku wyszedł wreszcie jakiś szlachetka, o którym damy nie mogły za wiele powiedzieć, widząc jedynie dobrze zarysowane kształty. Za nim usłużnie podążał znajomy chłop z pochodnią. Nieznajomy chrząknął, kazał sobie nadstawić ognia, po czym stanął przed paniami van der Berg i przemówił.

– Witam w imieniu pana dobrodzieja Woyciechowskiego! Całuję rączyny panienek. Co za latorośle! Jakże miło mi cię gościć, miła pani.

Wanda podała dłoń do pocałunku i uważnie obserwowała tymczasowego gospodarza. Wyglądał niepozornie, widocznie zaskoczyła go późna wizyta. Rozchełstana fantazyjna koszula, a na niej narzucony niedbale długi, jasny frak wskazywały, że jegomość układał się właśnie do snu. Oczy miał jednak zupełnie rozbudzone, teraz w spojrzeniu igrały błyski, jakby zaprezentowanie siebie i dworku stanowiło rzecz najważniejszą, sedno relacji z damami. Możliwe jednak, że na szlachetkę podziałało piękno Lisy, bo cały czas zwracał ku niej oczy.

Panna odczuła ten ciężar, więc postanowiła odeprzeć go z całą mocą. Ilekroć jej oczy spotykały ciekawskie ślepie, ironiczny uśmiech oblekał młodą twarz i Lisa całą pozycją wyrażała swą niechęć. Taka już bowiem była, że wszystkich traktowała z góry, a mężczyzn, którym się spodobała, tym bardziej.

– W te pędy przybiegłem, gdy mi doniesiono o przybyciu nadobnych dam.

Widząc, że pani van der Berg nie rozumie obecności obcego w dworku Totenhof, wyjaśnił szybko:

– Jestem Andrzej Kałużyński – jegomości Woyciechowskiego serdeczny brat, przyjaciel i powiernik. Zanim wyjechał, polecił mi, bym przybył do dworu i ustawił służbę, aby przypadkiem bogactwa nie rozkradła i się nie rozpierzchnęła do przyjazdu nadobnych dam.

Tu mężczyzna nieco zniżył głos i przysunął się bliżej Wandy.

– Widać przecież, że służba pana Woyciechowskiego tylko czeka ucieczki. Ot, trzymana jest bardzo krótko.

Uśmiechnął się do panien, stojących nadal przy powozie. Choć obyczaj zakazywał, mimowolnie cmoknął z ukontentowaniem, wpatrując się w Lisę.

– A gdzie to mężowie pań?

– W Amsterdamie powiadali, że niewiasta jest jak koń – narowistego nikt nie chce brać – odpaliła Lisa.

Odpowiedź zdumiała Kałużyńskiego na tyle, że nic nie odpowiedział, tylko po ciełe przeszedł mu nieprzyjemny dreszcz. Nie wiedział, czy to zaczepka, a jeśli tak – co miała na celu. Riposty tego typu wcale się nie spodziewał, toteż zapomniał języka w gębie. Często tak właśnie reagowano na cięte przytyki Lisy, a ona śmiała się w duchu z męskiego zażenowania.

„Tacy silni, mądrzy, a jak tylko z ust niewieścich słyszą ripostę, to miękną jak zepsute ogórki” – powiadała zawsze.

Wanda również nie zareagowała na odpowiedź córki. Choć od kilkunastu lat należała do wyższych sfer, chowała w sobie dawne urazy wobec możnych i nadal potrafiła patrzeć na świat oczami chłopki. Dlatego wcale nie przeszkadzała młodszej córce w wyrażaniu kontrowersyjnych opinii, za każdym razem znajdując w nich bolesną satysfakcję. Dodatkowo Kałużyński zaczął działać jej

na nerwy. Wydawał się sztucznie miły, jakby pod powierzchnią skrywał inną osobowość. To, w jaki sposób mówił, przypominało nieco teatralne kwestie.

Słyszając odpowiedź Lisy, ledwo powstrzymała uśmiech. Ponieważ jednak atmosfera zgęstniała, postanowiła czym prędzej wyjść z niezręcznej sytuacji.

– Konie trzeba wyprząc. Moja służba zajmie się tym, a pańska niechaj chwyta polana i świeci.

Zaklaskano na chłopstwo i już po chwili przed dworem rozległy się dźwięki chrzęszczących uprzęży; rzenie zmęczonych koni niosło się po okolicy. Tu i ówdzie chłopcy Woyciechowskiego nadbiegali z trzaskającym na polanach ogniem, pieczołowicie zgarniając siodła. Zanosili je pędem do stajni, gdzie dziewczki służebne napełniały koryta świeżą wodą. Z powodu późnej pory odroczone rozmowy polityczne na następny dzień. Wanda – zgodnie z zalecaniem Francuzów – miała wypytać o plany koronacyjne Polski, posłać list z wnioskami i czekać pod Oliwą, umacniając stronnictwo księcia Contiego.

Sasi i Francuzi bili się o tron Polski, a rodzimi magnaci hulali po kraju, wielkie wyrządzając szkody dla interesów narodowych. Chaos i bezład królowały teraz w kraju, zamiast monarchy, a walka o wpływy dzieliła przyjaciół i łączyła niegdysiejszych wrogów. Wśród znaczących nazwisk często wymieniano Sapiehów, Lubomirskich, Jabłonowskich czy Potockich. I tylko o jednym nazwisku robiło się po śmierci Sobieskiego coraz ciszej, a w rok stało się prawie zupełnie zapomniane. Nikt bowiem nie wspominał sławnego żołnierza Konrada Jezierskiego, o którym za czasów świetności poprzedniego monarchy opowiadano, że z pewnością dostanie hetmańską buławę.

\*\*\*

Z rana Lisa przebudziła się i jej wzrok od razu padł na pozłacaną skrzynię. Do woli mogła w niej przebierać, korzystając z uprzejmości nieobecnego gospodarza Woyciechowskiego. Cały dworek miał należeć do dam, szlachcic wyraźnie sugerował, żeby niczego sobie nie odmawiały, a służbę traktowały jak swoją. Natomiast Kałużyński,

do tej pory pilnujący rezydencji pod nieobecność prawowitego gospodarza Woyciechowskiego, miał odbyć z Wandą polityczny spacer po ogrodach i zaraz po obiedzie wyruszyć do swoich dóbr położonych nieopodal Tczewa.

Wyprawa, której podjęły się damy van der Berg, budziła w Lisie ciekawość od samego początku. Zdziwiła się, że matka postanowiła skompletować służbę mówiącą po polsku, co wcale nie należało do łatwych zadań. Od kiedy wyszła za Rudolfa, szukała polskiego chłopstwa i biednych mieszczan po całym Amsterdamie, a nawet dalej. Chciała, by umieli dogadać się zarówno z jej mężem, jak i z nią samą. Od małego uczyła też Lisę rodzimego języka, dzięki czemu Polska wydawała jej się bliska.

Lisa bardzo różniła się wyglądem od siostry. Jej niebieskoszare oczy wpadały czasem w zieleń, przenikliwe spojrzenie, którym dziewczka obdarzała najpewniejszych siebie, topiło całą śmiałość. Była to dziewczyna piękna i niepokorna. Jasnobrązowe włosy, tak inne od pszenicznych pukli siostry, sięgały aż poniżej żeber i kręciły się u dołu jak węzowisko. Ponadto często marszczyła kształtne brwi, gdy się nad czymś zamyślała. Wówczas też rozchyłały się nieco niewielkie wargi, a wzrok błędził w poszukiwaniu odpowiedzi na zrodzone w głowie pytania. Ludwika – odwrotnie. Brązowooka, skryta, o łagodnym, dyplomatycznym usposobieniu. Ujmowała się za potrzebującymi i wykonywała wszystkie obowiązki z należytą starannością, za nic mając suknie i bale, które dla Lisy wydawały się całym światem.

Czasem, patrząc na oblicze młodszej córki, matka jeżyła się w sobie i kostniała jak przestraszony kot. Lisa nie wiedziała dlaczego i w końcu uznała, że Wanda z pewnością reaguje tak na wszystkich ludzi – być może tym razem nie podoba jej się wstążka u włosów córki albo zbyt śmiały dekolt sukni. W każdym razie Lisa nie zadawała zbyt wielu pytań, przyzwyczajona do surowego usposobienia Wandy.

W dworku było cicho. Przytłumione głosy dochodziły z podwórza, chłopcy rąbali drewno. Lisa otworzyła wieko skrzyni i wyjęła lawendową suknię z atłasowymi halkami u dołu. Wygładziła materiał delikatnymi dłońmi, po czym rzuciła ubranie na potargane łoże

i zanurkowała, by wyjąć odpowiednie wstążki. Często ozdabiała nimi włosy, na większe uroczystości zostawiając perłowe i srebrne spiny.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi pokoju.

– Któż?

– Służka jaśnie pana Woyciechowskiego. Przyszłam, by uczesać jaśnie panienkę.

Lisa lubiła dworować sobie z niżej urodzonych, choć Wanda wyraźnie się temu sprzeciwiała. Tym razem matki nie było w pobliżu, wpuściła więc drobną, mizerną dziewczkę i siadając na zydłu, prychnęła pogardliwie.

– Komary w izbie latały i w nocy spać nie mogłam przez ich bzyczenie.

Przerażone oczy służki spotkały się w lustrzanym odbiciu z jasnymi tęczęwkami Lisy.

– Pokornie przepraszam – odpowiedziała dziewczka i skłoniła się nisko – zaraz rozkażę, by pozabijać wszystko, co lata w izbie.

– Sama też możesz to zrobić. Teraz.

Zdumiona służka stała ze srebrnym grzebykiem w ręku.

– Nie czesać, jaśnie panienko?

– Najpierw pozabijać komary.

Lisa ułożyła się wygodnie przed lustrem i w odbiciu obserwowała nieporadną służkę, która krążyła po izbie z rękami w górze, gotowa klasnąć, gdy tylko zobaczy komara. Na młode oblicze wystąpił okrutny uśmiech, wszak nocą spała dobrze, a żaden insekt nie przeszkadzał w odpoczynku.

Służka coraz gorliwiej wypatrywała komara, wietrząc, że dała się wciągnąć w niegodziwą pułapkę, z której panienska ma teraz ogromną uciechę. Jej oczy się zaszklily. Przystanęła i cicho westchnęła, by opanować drżenie głosu.

– Nie widzę tu komarów, jaśnie panienko.

Lisa podniosła się gwałtownie z zydła i odwróciła. Świdrowała teraz oczami zalęknioną postać.

– Uważasz, że kłamię?

– Nie, jaśnie panienko. To ja się nie nadaję, ja nie widzę – jęknęła służka.

Nie zdołała powstrzymać łez, spłynęły nagle po czerwonych ze wstydu licach. Choć Lisa lubiła drwić ze służby i w Amsterdamie również miała opinię niezbyt przychylną, tak nagły wybuch zdumiał ją do granic. Na domiar wszystkiego w drzwiach izby stanęła matka. Spojrzała na córkę, a później na wzburzoną służkę i wyraz dezaprobaty wstąpił na jej twarz.

– Ujdź stąd, dziewczko i nie płacz nad miernymi figlami.

Służka wybiegła, a Wanda weszła do izby w złym humorze, trzaskając drzwiami.

– Co wyczyniasz? Znowu okrutnie obchodzisz się ze służbą?

– Kazałam pozabijać komary, miła matko. Ta niedojda nie mogła żadnego znaleźć.

– Milcz, wstrętna.

Inwektywa zadziałała lepiej niż policzek. Zdumiona Lisa straciła na hardości i rumieniec wstydu wstąpił na jej twarz. Nigdy nie rozumiała, dlaczego matka jest tak pobłażliwa dla służby. Co więcej, starsza siostra również obchodziła się z niższym stanem delikatnie, więc wszyscy pragnęli służyć jej, a nie młodszej córce van der Berga.

– Ci ludzie są z tej samej gliny, co ty. Może masz zbyt długi nos i patrzysz tylko na jego czubek, bo nie dostrzegasz, że biedniejsi tak samo, jak my, mają serca i oczy. I z tych oczu też płaczą, jak i my płaczymy. I tak samo jak możni kochają. Chociaż nam ciężko żyć na świecie, to im jeszcze ciężiej, bo pod nami i dla nas służyć muszą. Nie wykorzystuj serc prostych ludzi, bo te serca często szlachetniej odczuwają niż serca bogaczy.

To powiedziawszy, Wanda wyszła, nie zaszczycając córki spojrzeniem. Lisa przysiadła na łożu i popatrzyła przez okno na biednych stajennych, krzątających się u dołu przy gnoju. Przemowa matki zdumiała ją, nigdy bowiem nie wypowiedziała się tak stanowczo na temat okrutnych żartów córki. Owszem, jeszcze w Amsterdamie wzywała ją do siebie i łagodnie perswadowała pogardę wobec biednych, lecz tak ostrej przemowy nie wygłosiła jeszcze nigdy. Dodatkowo pogląd matki był niepopularny w całym środowisku możnych. I nagle świat stanął dla Lisy na głowie, bo już nawet chłopstwo trzeba było szanować. Parsknęła oburzona,

a potem sięgnęła po grzebień i sama rozczesła włosy, z próżnością przyglądając się jaśniejącym w słońcu pasmom.

\*\*\*

Wanda wyszła z dworku wzburzona. Serce łomotało jej w piersi i za nic nie chciało się uspokoić. Chabrowe oczy zaszyły łzami, wdowa van der Berg złapała się dłonią za serce i popatrzyła w przestrzeń. Przed nią rozpościerały się wody Stawu Młyńskiego. Dalej stały niewzruszenie wielkie wzgórza morenowe, pokryte bujnymi lasami. Krajobraz od wieków prezentował się tak samo – spokojnie i tajemniczo, tak że gdy mgły osiadały na wysokościach, Totenhof stawał się jeszcze bardziej przerażający. Po prawdzie wszystkich ciekawiła ta nazwa, którą po polsku przedstawiano jako Dwór Żałobny. Nieczęsto spotykano podobne określenia, lecz gospodarz Wolfgang Woyciechowski nie zająknął się nawet, skąd wzięło się miano.

Wanda uspokoiła się nieco, patrząc na ogromne, nieruchome wzgórza. Taki pokój powinien być i we mnie. Moje serce powinno bić dokładnie tak wolno, jak bije od dwudziestu lat, ani trochę szybciej – myślała. Jednocześnie już w Amsterdamie wiedziała, że powrót do Rzeczypospolitej będzie się wiązał z nadludzkim poświęceniem. Obawiała się codzienności, znajomych miejsc i wspomnień. Każda, najmniejsza rzecz, mogła wyprowadzić ją z równowagi, na przykład zachowanie córki. Odkąd wjechały na polskie ziemie, słyszała rodzimą mowę i widziała znajome zwyczaje. Wtedy serce ścisnęło się z bólu.

Teraz Wanda wybuchła, bo mogła wziąć odwet za służkę. I zrobiła to tylko dlatego. Dwadzieścia lat wcześniej, gdyby sama znalazła się w takim położeniu, nikt by jej nie obronił. A przecież, gdyby nie szczęśliwy traf, mogła nadal wieść chłopskie życie i każdy bogacz mógł nią pomiatać. Choć stała się patrycjuszką, obiecała sobie po wsze czasy nie dworować z chłopów, pamiętając własny los. Dlatego tak bolało ją zachowanie Lisy, której nigdy nie zwracała uwagi na cięty język, jeśli policzek wymierzała komuś równemu sobie.



Po prawdzie Wanda wcale nie musiała odwiedzać tych ziem. Jako patrycjuszka szybko wyszłaby za mąż na obczyźnie ponownie – jej interesów nie musieli pilnować Francuzi. Cóż jednak z tego, skoro od słowa do słowa Wanda sama weszła w tę nieprzyjemną sytuację, widząc w niej szansę na powrót do korzeni, a więc i do bólu.

Od roku korespondowała z niezamożnym szlachcicem Woyciechowskim. Choć wydawało się, że ma on głowę szaloną i myśl niebezpieczną, zupełnie jak jej chłopski mąż nieboszczyk, coś interesującego było w tych kreślonych nonszalancko i niedbale zdaniach. Pisywał, że Wanda staje się mu droga, a popierając księcia Contiego w walce z Sasem, przyczynia się delikatną ręką niewieścią do przywrócenia spokoju w Rzeczpospolitej. Zaoferował jej dworek letni, by pilnowała stronnictwa francuskiego w Gdańsku, bo on wciąż jest w podróży i pilnuje szlacheckich interesów. Pomiedzy zdaniami dawało się wyczuć skrywaną czułość, która jednak nie potrafiła przyspieszyć bicia kobiecego serca. Wzbudzała w nim raczej smutek albo obojętność. Wanda odpisywała Woyciechowskiemu w podobnym tonie tylko przez grzeczność, siłąc się na uprzejme, poważnie okrojone pochwały.

\*\*\*

Dwór Żałobny prezentował się o tej porze roku mrocznie. Nawet gdy świeciło słońce, nieprzyjemna aura tajemnicy spowijała budowlę niczym mgłą, a w deszczu czy jesiennej szarudze przejeżdżający tędy możni popędzali konie czym prędzej.

Po prawdzie nie wiadomo, co wzbudzało w ludziach niepokój. Gdy kogoś o to pytano, odpowiadał, że „taka już tego dworu uroda”. Był to budynek piętrowy, kryty gontem. Z tyłu znajdowały się stajnia i kuchnie, a dalej mierna stodoła z drewnem, narzędziami i zbożem. Tam spała część służby, stajenni zaś wynieśli się do koni na siano. Mimo sielskiego krajobrazu, chłopci chadzali po obejściu nerwowo, wiecznie coś grabiąc czy przerzucając z jednego miejsca na drugie.

– Tutaj cię złapałem, łaskawa pani! – zawołał Andrzej Kałużyński.

Za dnia wyglądał dostojniej. Teraz widać było wyraźniej jego postawną sylwetkę, nalaną twarz i paciorkowe, ciemne oczy.

Kałużyński otarł dłonią nieproporcjonalnie wielki nos, kończący się dużą naroślą i podbiegł ucałować rękę Wandy na powitanie. Był nie w humorze, widocznie coś się stało.

– Czy wyspałaś się, pani? Czy do rozmowy poważnej jesteś gotowa? Nowe wieści przyszły z Gdańska.

Wanda przytaknęła. W słońcu wciąż wyglądała świeżo i młodo. Letnia opalenizna delikatnie odznaczała się na jej skórze, kontrastując wyraźnie z błękitem sukni.

– Miła pani, nieszczęście się stało i nie wiem, czy można je jeszcze odwrócić. Fortuna nam nie sprzyja. Z rana przyszła do Gdańska wieść, że Fryderyk August, psia mać, Sas jeden, koronował się w Krakowie już piętnastego września! W zamku na Wawelu się koronował! Rozumiesz, pani, co to oznacza? Oznacza, że Rzeczpospolita ma nowego króla i nie po myśli Francji został nim Sas, a nie książę Conti! Czym prędzej trzeba odwołać tę decyzję, tu trzeba działać natychmiast. Czas wpływa na naszą niekorzyść. Kiedyż Conti dopłynie do Gdańska?

Wanda pobladła i zacisnęła pięści. Naraz cała wyprawa do Polski mogła się zakończyć. A przecież włożyła w tę sprawę tyle serca!

– Nie może być! A królowa wdowa nadal w Gdańsku przebywa? Podobno przeciwko Francuzom wystąpiła, co może nam zaszkodzić, bo w Rzeczpospolitej wielki ma posłuch.

– Tak, królowa wdowa wciąż w Gdańsku i mętlik z tego powstał niesłychany. Ciągłe knuje, listy przechwytyje poprzez swoich zaufanych posłów. Mamony nie mamy odpowiednio dużo, żeby rozszerzyć wpływy. W Gdańsku zwolenników Contiego ubywa. Jedni wyjeżdżają, inni się mianują teraz jako przyjaciele Fryderyka Augusta, farbowane lisy! Czy wiesz, pani, kiedy nadpłynie książę? Wszak król Ludwik XIV wysłał go z pierwszym września w drogę morską ku Rzeczpospolitej. Jak nic, powinien być już w Gdańsku. Żeby się tylko jakaś zła przygoda na wodach nie stała!

– Będzie zła przygoda na wodach, to i Sas zostanie królem – odparła Wanda twardo.

Dwadzieścia lat wcześniej sama przebyła niebezpieczną drogę morską z Gdańska aż do Amsterdamu i od tamtej pory uszła z niej

trwoga. Wiedziała, że przy pomyślnych wiatrach jej kandydat bezpiecznie dotrze na miejsce.

– Ależ miła pani, przecież nie wolno się poddawać! Trzeba nam w Polsce porządku i spokoju. Trzeba na Turków ruszać, kraj rozwijać i dobrego króla na tronie posadzić. Wcale mi kolano nie drgnie, jeśli się każą pokłonić Sasowi. Nie mój to kandydat i nie mój król. Trzeba do Gdańska czym prędzej jechać, ale unikać nieprzyjaciół i królowej wdowy Marii Kazimiery Sobieskiej, bo przyjechała zamęt wprowadzać. Należy też sownie zapłacić tym, których można przekupić.

– Co jeszcze do Gdańska przyszło wraz z tą wieścią? Czy Sas nakazał miastu wierność?

– Tak, pani. Może nie nakazał, ale nadzieję wyraził w piśmie specjalnym, że Gdańsk poprze go i wiernym będzie. Rada się zebrała w mieście razem z Ławą i Ordynkiem. Popłoch, wszyscy się naradzają, co robić. Przecież to nie w smak miastu, skoro nadciąga do Gdańska książę Conti, żeby się koronować. Co za afront! Przybędzie – i co? I dowie się, że Rzeczpospolita już króla wybrała? I odpłynie do Francji jak niepyszny?! Toż prymas Radziejowski mu ten tron obiecał!

– Nie czas na szalone ruchy, tu trzeba działać spokojnie... – zaczęła Wanda, ale Kałużyński przerwał jej niecierpliwie:

– Miła pani, ja wiem, żeś niewiasta i z niewieścią delikatnością chcesz postępować, ale tu trzeba twardych, stanowczych decyzji.

– Kiedy księcia nawet jeszcze w porcie nie ma.

Na ten argument Kałużyński odpowiedział bezradnym milczeniem. Chciał widzieć na polskim tronie Francuza, nie Sasa, ale bez pieniędzy nic nie można było uczynić. Mamona skończyła się już wiosną, obiecane bogactwa z Francji nie przysłało, a stronnicy Contiego nie mieli już nawet z czego zaciągać pożyczki. Po prawdzie wcześniejszych zobowiązań też nie spłacili, a Melchior de Polignac – najbardziej oddany i zadłużony stronnik Contiego – świecił oczami wobec pożyczkodawców, obiecując, że odda już niebawem. Tymczasem wysyłał rozpaczliwe listy do Ludwika XIV, ale większość z nich pozostała bez odpowiedzi. W końcu nadeszła instrukcja z Francji – Polignac miał polecić Polakom, by obrali

księcia Contiego królem, a wtedy zobowiązania zostaną spłacone. Zaszkoziło to bardziej, niż pomogło, i już we wrześniu nikt rozsądny nie chciał z dyplomata nawet dyskutować.

– Pani kochana, przecież co dwie głowy, to nie jedna. Pojedź do Gdańska jeszcze dziś i porozmawiaj z Polignakiem. Daj mu trochę mamony od Francuzów na spłatę zobowiązań, bo on już naprawdę nie ma z czego oddać ludziom. Rozejrzyj się w mieście, wysłuchaj możliwych i zapłać im za poparcie, jeśli będzie trzeba. Teraz pozostaje czekać na księcia, aż okręty zawitają do Gdańska. Lada dzień, nadobna pani Barbaro, lada dzień!

Tymi słowy chciał zostawić panią van der Berg samą, ale zatrzymała go.

– Szanowny panie dobrodzieju, na kogo w Gdańsku powinnam uważać? O królowej wdowie wiem, że jest Sasom przychylna, ale przecież i ona ma stronników w mieście. Muszę uważać, by pieniędzy nie stracić.

– Do Polignaca, miła pani, do Polignaca! Ja muszę jeszcze do Tczewa dziś zajechać, do nocy chyba nie dojadę!

W ferworze Kałużyński to odchodził na kilka kroków, to znów zawracał, aby coś jeszcze dodać. Poranna wieść z Gdańska zszargała mu nerwy.

– Cóż, musisz uważać, pani, na stronników Sasa, których teraz w mieście większość. Do miasta zjadą się zwolennicy i przeciwnicy Contiego, rozruchy z pewnością powstaną. Trzeba być silnym i nie ulegać większości, ot co!

Wanda nie dostała odpowiedzi. Liczyła, że Kałużyński wyjawi nazwiska ludzi, których należy się obawiać, ale widocznie spieszył się do Tczewa, bo tym razem skończył naprawdę, a na znak, że już więcej nic nie doda, ucałował w pośpiechu dłoń, ocierając skórę mokrymi wąsami, a potem łypnął paciorkowymi oczami i uciekł do stajen.

Pośpiech Kałużyńskiego rozgniewał Wandę, bo pojęła, że stronnik zostawił ją samą na polu walki politycznej, umywając ręce. Z pewnością spieszyło mu się do Tczewa, by tam przeczekać burzę, a potem opowiedzieć się ostatecznie za Sasem. Co za afront – pomyślała wściekła. Sądziła, że pobyt w Rzeczpospolitej przebiegnie

spokojnie, choć nie bez komplikacji. Teraz wydawało się, że stronnictwo francuskie topnieje i jedynie pieniądze mogą uratować nieobecnego księcia.

Wnet zobaczyła, że ze stajen wytacza się skromna karetka Kałużyńskiego, ciągnięta przez cztery konie. Zabiera wszystko, nawet całego swojego zaprzęgu do jednego powozu użył. Zanosí się na burzę większą, niż przewidywałam. Na marne się wikłałam w całą tę polską intrygę!

Powóz ominął Wandę, jakby była nieruchomą przeszkodą na drodze. Z okienka wychyliła się tłusta głowa Kałużyńskiego, którego widocznie zaczęły trawić wyrzuty sumienia.

– Nadobna pani, uważaj tylko, by się nie dać wrogom przekupić. Znajdziesz pani w mieście wielu. Oto na przykład nadjechał nie dalej niż tydzień temu wielki przyjaciel królowej wdowy Konrad Jezierski. I na takich trzeba uważać!

Konie ciągnęły wóz coraz dalej na trakt, więc Kałużyński ostatnie słowa tylko wykrzyczał w przestrzeń, a potem schował głowę do powozu. Zdumiona Wanda stała przed dworkiem nieruchomo, prawie bez oddechu, usłyszawszy po raz pierwszy od dwudziestu lat nazwisko szlachcica, który kiedyś był jej droższy niż powietrze. Zaraz jednak coś w nią wstąpiło, twarz zalała fala gorąca i niewidzialny prąd przeszył całe jej ciało. Serce ścisnęło się z wściekłości. Nie dość, że Jezierski zdradził ją dwukrotnie i pozostawił na pastwę kapryśnego losu, to jeszcze po dwudziestu latach znów próbuje jej przeszkadzać.

Przypomniała sobie, że dwadzieścia lat wcześniej patrzyła z okrętu na oddalające się budynki gdańskie, przysięgając, że zemści się za ponowne porzucenie. Teraz wspomnienie powróciło ze zdwojoną siłą.

– Proszę zaczekać!

Powóz był już na trakcie i sunął w stronę Gdańska, lecz Wanda podniosła poły sukni i zerwała się, żeby dogonić odjeżdżającą karetkę. Trzewiki na korku zapadały się w piach, więc Wanda wyzuła je bez skrępowania i boso pognęła za Kałużyńskim.

– Każ koniom stanąć, panie – syknęła gniewnie.

Zrównała się z powozem, dysząc ciężko. Patrzyła na speszoną twarz szlachcica, który jedynie zerkał na nią kątem oka. W końcu jednak ulitował się i kazał woźnicy zatrzymać kareta.

– Ten Konrad Jezierski, który był chorążym za panowania umiłowanego króla nieboszczyka Jana III?

Teraz oblicze Wandy wyglądało przerażająco. Chabrowe oczy ciskały błyskawice, a zmierzwione włosy potargały się od szalonego biegu. Czerwoną twarz wykrzywiła wściekłość.

– Miła, piękna pani, ten sam. On nadal jest chorążym, nie udało mu się wydrzeć buławy, choć powiadano, że kiedyś na pewno zostanie hetmanem. Ale mu się nie poszczęściło, dzisiaj mało kto go wspomina. Zapadł się w sobie, małżonka mu pomarła w połogu. Dawno to było, bardzo dawno. Ożenił się drugi raz, ale z taką jędzą i pokutnicą, że nic, tylko wyruszać w świat. I on wyrusza, w dobrach swych prawie nie bywa. Przestał się liczyć w kręgach magnackich, powiadają, że zdziwaczał i nie pragnie pomnażać majątku. A jednak królowa wdowa wielki ma po nim sentyment, ludzi podobno też umie przy sobie trzymać, co do rzadkości w tym świecie należy. Choć pozycja jego zmarniała, pamiętaj, pani, że nadal jest to ten sam człowiek, który dowodził w bitwach największych i wiktoriaми się przysłużył, a kogo król nieboszczyk słuchał nie gorzej niż żony.

To powiedziawszy, Kałużyński skłonił się pokracznie, ledwo podnosząc tłusty zad z siedzenia, a potem zawołał do woźnicy, by ruszał. Powóz zaczął znikać w oddali, zostawiając na trakcie bosą patrycjuszkę, patrzącą w dal za kareta.

### III



Jeszcze tego samego dnia damy van der Berg wsiadły do powozu i ruszyły traktem na Gdańsk. Tylko Lisa siedziała w karecie spokojnie; matka i starsza siostra wierciły się nerwowo.

– Wszy zadomowiły się w poduszkach, droga matko? – zapytała ostrożnie młodsza latorośl.

– Nie, jakoś niewygodnie się jedzie. Chyba nam pióra spod atlasu ta służba wyciąga.

Kłamstwo matki dało Lisie do myślenia. Przez całą drogę zastanawiała się, czemu zarówno Wanda, jak i Ludwika reagują na Gdańsk prawie alergicznie. Coś w tym mieście musiało się wydarzyć, prócz śmierci niejakiego Rudolfa – pierwszego męża matki.

Według Lisy musiał być to człowiek ciemnooki – takie tęczęwki odziedziczyła po nim Ludwika. Jednak rysy, kruche szczęki i usta wyraźnie odzwierciedlały twarz matki. Zbyt wiele po wyglądzie nie udało się odgadnąć.

– Matko moja, siostró droga – zwróciła się do obu dam – jak wyglądał sławetny Rudolf Schwarz?

Wanda spojrzała na Lisę, jakby była wstrętnym karaluchem. W końcu Rudolf Schwarz był jej tak obcy, jak każdy inny mieszczanin. Cóż mogła poradzić na to, że przez pomysł Jezierskiego od dwudziestu lat tytułowali ją Barbarą, zamiast Wandą, i że wszystkim musiała z początku przedstawiać się fałszywym nazwiskiem. Ludwika tylko wbiła wzrok w trzewiki siedzącej przed nią siostry. Nigdy nie wyjawiała jej sekretu, a jeśli kiedykolwiek była na to najgorsza pora, to właśnie nadchodziła. Sama była dla siostry i świata Anną van der Berg, nie zaś Ludwiką. Zapomniane imię dźwięczało w jej uszach, odkąd zatrzymały się pod Gdańskiem. Wszak dla małej banitki również trzeba było znaleźć odpowiedni akt

obywatelstwa. Szczęściem powieszona Barbara Schwarz miała córkę – Annę. Jezierski pomyślał więc o wszystkim.

Żadna nie odpowiedziała, lecz już prawie do końca drogi matka spoglądała na Lisę karcąco, a w jej oczach błyskały dziwne iskry, kiedy dokładnie lustrowała twarz młodszej córki. Inaczej odnosiła się do Ludwiki – surowo jak zawsze, ale bez utajonej niechęci.

\*\*\*

To była ciepła końcówka września. Choć słońce skryło się za chmurami, damy jechały w samych sukniach, bez nakrycia. Wanda planowała rozejrzeć się po mieście, poznać Melchiora de Polignaca i na wieczór wrócić do Totenhofu. W trakcie podróży poleciła córkom zwiedzić główne ulice miasta i nie odstępować sobie nawzajem o krok.

– Nie zaczepiajcie obcych ludzi i nie wdawajcie się w niebezpieczne spory. Dotyczy to zwłaszcza ciebie, Liso. Kiedy dzwony wybiją siódmą wieczór, spotkamy się na Długim Targu przy Dworze Artusa.

– Nie pamiętam miasta zbyt dobrze, matko.

Głos Ludwiki lekko zadrżał. Miała zaledwie dziesięć lat, gdy skazano je z matką na banicję.

– Przejedziemy powozem głównymi ulicami. Szybko sobie przypomnisz.

Wanda pamiętała miasto doskonale. Oczami wyobraźni widziała wąskie uliczki, piękne kamienice i fantazyjne przedproża Gdańska. Przymknęła oczy i przez chwilę tkwiła w zupełnym bezruchu, napawając się wspomnieniami. Tylko jednego nie chciała pamiętać i odpychała od siebie widmo szaroniebieskich tęczówek, masywnych, męskich ramion i cudownego uśmiechu. Tyle lat minęło, a ona pamiętała, lecz tym razem więcej w niej było gorczy niż miłości.

– Matko, widać miasto – rzekła przejęta Lisa.

Teraz pojęła, o co było tyle szumu. Przed nią, w całej swej okazałości, wyrastał Gdańsk otoczony masywnymi murami obronnymi. W oddali kłębiła się masa wysokich wieżyczek



i budowli, a wewnątrz tętniło barwne życie miejskie. Traktów było tu co najmniej kilka, niektóre zaś krzyżowały się lub rozjeżdżały, ale wszystkie, bez wyjątku, prowadziły przed przepyszną bramę, której urok zrobił na Lisie wrażenie. Jednocześnie przeraziła się nie na żarty, spodziewała się bowiem mniejszego miasta.

– Najdroższa matko, pogubimy się tutaj.

Słońce oświetliło przedmiejską polanę, na której kilku mieszczan ćwiczyło konie. Z oddali nadciągały dwie karety patrycjuszowskie, a jeszcze dalej – aż z ziem wiejskich – byle jakie wozy załadowane słomą. Rozległą polanę oraz trakty zapelniali ludzie różnych stanów – jedni konno, inni zaś pieszo. Chłopki niosły koszyki, wieśniacy wychodzili pojedynczo przez drewnianą furtę, prowadząc osiołki. Daleko z tyłu również nadciągali przybysze oraz rodowici gdańszczanie, pokonujący imponujące wzniesienie, zwane Biskupią Górką. Rozemocjonowana Lisa nie wiedziała, gdzie spojrzeć, ponieważ wszędzie działo się coś ciekawego, a ziemie północnej Rzeczypospolitej miały niepowtarzalny klimat, zupełnie odmienny od niderlandzkiego.

Najpiękniej prezentowało się miasto. Im bliżej podjeżdżał wóz, tym wspanialsze widoki odsłaniały się przed Lisą, w tym smukła iglica ratusza i wieża kościoła Mariackiego. Wanda i Ludwika również patrzyły w tę stronę, ale ich uczucia były dużo bardziej powściągliwe. Serce Ludwiki zabiło szybciej – raz chciała pobiec czym prędzej przez znajome uliczki, potem znów zawrócić konie do Totenhofu, a najlepiej do Francji albo Niderlandów. Poczowała znajomy ścisk w żołądku – znak, że nadchodzą wielkie emocje, w szczególności trwoga. Spojrzała wymownie na bladą matkę.

Wanda siedziała nieruchomo i patrzyła na wielkie miejskie budowle, a na jej twarzy widać było determinację. Ani jeden grymas nie przymknął powiek, nie wykrzywił warg. Jedyne ściągnięta, blada twarz zdradzała prawdziwe emocje. Jasne oczy wodziły po panoramie miasta, które kiedyś tak mocno ją upokorzyło, a jednocześnie dało chwilowe poczucie szczęścia.

Samo miasto nie miało na to wpływu – to od ludzi doznała krzywd; jednak łączył ich Gdańsk. Wrogowie podziwiali te same budowle,

wchodzili do tych samych kościołów i pomieszczeń, chadzali jednakowymi drogami. W szczególności – Konrad Jezierski.

\*\*\*

Przed drewnianą furta stało kilku wartowników wpuszczających patrycjuszowski powóz. Była to karetka nie byle jaka, obita aksamitem, z kurdybanowymi zasłonkami w okienkach. Za nią ustawił się woźnica Wąsik.

Z wartowniczej budki wyszedł niedbale odziany strażnik. Spojrzał na damy spod byka, skłonił się i zapytał o dokumenty. Ludwika nerwowo przegryzła wargę aż do krwi, Wanda zaś z ponurą obojętnością podała akty urodzenia i obywatelstwa niderlandzkiego. Wartownik stał przez chwilę, oglądając zaświadczenia i właśnie ten moment dłużył się Ludwice w nieskończoność. Przez głowę przebiegały jej dziesiątki myśli o tym, co nastąpi, jeśli wartownik albo ktoś w mieście rozpozna dawne banitki. Chciała nawet poprosić matkę, by pod byle pretekstem zawróciła konie, ale wystarczył rzut oka na twarz Wandy – za nic nie zrezygnowałaby z wjazdu do miasta.

Wartownik oddał akty sygnowane na Barbarę, Annę i Lisę van der Berg, po czym kazał wpuścić powóz na mostek. Końskie kopyta zastukały na drewnianych deskach; teraz przed damami van der Berg roztaczał się zupełnie inny świat, a jego początkiem była przepiękna Brama Wyzynna, na której widok serce Lisy zabiło szybciej, a Ludwika skurczyło się w bóleści. Ileż razy jako dziecko przebiegała pod nią, by dostać się do niezwykłego gdańskiego świata! Jakże często biegła głównymi ulicami, by pod skrzydłem Zielonej Bramy zobaczyć się z Florkiem Steinem – przyjacielem, którego musiała opuścić.

Ludwika wcale nie zapomniała o dawnym kompanie. Zastanawiała się, czy został podróżnikiem, jak kiedyś marzył, czy kupcem, jak chciała rodzina.

Z pewnością kupcem. Marzenia rzadko się spełniają w świecie pełnym zakazów – pomyślała, wyglądając z powozu. Miała nadzieję, że Florian żyje w zdrowiu i choć wiedziała, jak nierozsądnie byłoby o niego rozpytywać po mieście, dawne sentymenty wnet odżyły.

Powóz minął odwach i wjechał na Plac Dominikański, przy którym od lat stała Wieża Więzienna, a wraz z nią katownia. Każda z dam van der Berg miała inne spojrzenie na jednaki skrawek gdańskiej ziemi, więc jechały w milczeniu, podziwiając, nienawidząc i trwożąc się, zależnie od wrażeń czy wspomnień. Pomost zawieszony przy Wieży był tego dnia opuszczony, co Wanda odnotowała w pamięci jako złowróżbny znak – prawdopodobnie szykowano kogoś na sznur albo właśnie zakończyło się takie widowisko.

Kiedy konie wjechały pod Bramę Długouliczną, zwaną niekiedy Żółtą, napięte ciało Ludwika poczęło lekko drżeć. Z chaosu wyłoniła się ulica Długa w całej okazałości. Wokół zaroilo się od ludzi, a ich spojrzenia wyrażały różnorakie emocje. Był więc znudzony patrycjat, śródkiem przechadzały się damy w zachodnich strojach, z włosami upiętymi wysoko w stylu fontanges. Duchowni luterańscy przemierzali ulicę władczyim krokiem, a w stronę ratusza szło kilku gdańskich rajców.

– Cóż za piękno! – wykrzyknęła podekscytowana Lisa.

Było czym się zachwycać. Ulica Długa otoczona z obu stron wysokimi, wąskimi budynkami przylegającymi do siebie nawzajem jak od linijki, prezentowała wspaniałe przedproża oraz kunsztowne portale. Różne typy fasad, jedne pyszniejsze od drugich, ukazywały przeróżne ślimacznice, rzeźby i maskarony.

– Ludzie, którzy tu mieszkają, muszą być bardzo bogaci – zaczęła Lisa, ale wnet popatrzyła na bladą twarz siostry. – Siostrze moja, czy dobrze się czujesz? Obetrzyj krew z wargi, bo pękła. Wyglądasz jak upiór, blada jesteś i drżąca. Moźni patrzą.

Ludwika uchwyciła ostatnie zdanie jako przestrożę i otarła przegryzioną wargę wierzchem dłoni. Na skórze pozostał niewielki czerwony ślad.

Długa zdawała się oplatać Ludwikę ciasnotą. Ludzie wychodzili z bocznych uliczek wprost na główną drogę, przy której swe domy od lat utrzymywali najmoźniejsi. Pewnie w innych okolicznościach Ludwika z przyjemnością oglądałaby wspaniałości oferowane przyjeźdnym i cieszyła oczy, lecz trwoga nie pozwalała jej na chwilę odpoczynku. Wanda kątem oka obserwowowała córkę i uśmiechała się smutno. Ludwika przypominała jej o dawnych czasach, bowiem

kiedy wdowa van der Berg trafiła pod Gdańsk jako chłopka, również śmiertelnie bała się tego, że ktoś ją rozpozna. Pamiętała strach przed wielkim Gdańskiem, do którego mógł przecież przybyć jakiś łodzianin.

Właśnie z miasteczka Łódź pochodziła Wanda, z panińskiego Sobótkówna. Choć miała wyjść za sąsiada, Wielisława Żelicha, i wszystko od lat było ustalone, odrzuciła go ostatecznie, powodując tym wielki skandal. Wszystko z powodu zakochania, ponieważ najczęściej tak się właśnie dzieje, że to głębokie uczucie wywraca spokój do góry nogami, a czasem zmienia człowieka. I właśnie w ten sposób wpłynęło na Wandę. Nieprzytomnie zakochana w młodym szlachcicu Konradzie Jezierskim, bez szansy na spełnienie skrytej miłości, żyła pośród łodzian w atmosferze wielkiego afrontu. Wtedy to matka Wielisława w zemście zamordowała swoje krowy, a winę zrzuciła na sąsiadki, zarzucając, że czarami przyczyniły się do ich śmierci. Gdy tylko Wanda przypomniała sobie śmierć matki i własną ucieczkę z Łodzi, boleśnie zamknęła oczy, pilnując, by żadna łza nie wydostała się spod powiek.

– Co to za budowla? – zapytała Lisa.

Wskazała dłonią na Ratusz Głównego Miasta, mieszczący się przy końcu Długiej.

– Ratusz, a dalej Długi Targ – odparła Wanda, budząc się z nieprzyjemnych wspomnień.

Wjechały na rzeczony targ – przedłużenie ulicy Długiej – szerszy z obu stron. Tu – znowu zarówno po lewej, jak i prawej – mieściły się najpiękniejsze kamienice, a koniec wieńczyła Zielona Brama z czterema skrzydłami.

Pod ratuszem nadal stały niewielkie stragany, a dalej wznosił się okazały Dwór Artusa, gdzie bawił się gdański patrycjat. Naprzeciwko tkwiła fontanna z rzeźbą Neptuna, ciesząca oczy gdańszczan. Po drugiej stronie, przed kamienicami, rosły drzewa. W rzędzie powznoszono zadaszony studnie.

– Każdy dom wygląda tutaj inaczej, każdy przepiękny. Gdzie nie spojrzeć, tam rzeźby lub łuki wieńczą dach. Jakże pięknie!

Podczas gdy Lisa głośno zachwycała się bogactwem Długiego Targu, Ludwikę męczyły mdłości.

- Matko droga, ujdźmy stąd, bo mnie niestrawność zmogła - poprosiła.

Widząc, że córka nie może poradzić sobie ze zdenerwowaniem, Wanda kazała Wąsikowi stanąć i poleciła Lisie zostać w powozie. Skinęła za Ludwiką, że ma wyjść, po czym obie udały się pod jedno z drzew, gdzie nie było ludzi.

- Wiesz, czego nauczyło mnie życie? Aby się nie lękać, bo prawdopodobnie nie ziści się żaden koszmar, który sobie roisz w głowie. Ja znam te objawy, to nie są niestrawności, to strach chwycił cię i dusi. Nie pozwól mu.

Ludwika oparła rękę na wiotkim konarze i zgięła się wpół.

- Kiedy ja nie wiem jak.

- Popatrz na wspaniałości, jako i twoja młodsza siostra patrzy. Odrzuć wspomnienia i lęki. Niech pójdą w niepamięć. Oczyść głowę i serce, bo te dwa organy będą ci potrzebne, żeby trzeźwo patrzeć na otoczenie. Wsłuchaj się w kroki ludzi, usłysz muzykę, która dobiega z Dworu Artusa. Słyszałaś ją wcześniej?

- Nie, matko. Zajęta byłam strachem.

- Otóż właśnie. Pamiętaj, dla mnie zawsze pozostaniesz Ludwiką, ale ludzie niechaj znają cię jako Annę van der Berg. Nie ma nic wspólnego to imię i nazwisko z twoim dawnym...

- Nie wymawiaj go, matko. Nie wymawiaj go w tym mieście!

Wanda odstąpiła, widząc, że córka i tak wlecze za sobą strach niczym kulę u nogi. Popatrzyła na blade oblicze z dezaprobatą.

- Bądź silna i zajmij się siostrą.

Wróciły do powozu. Wanda nakazała córkom wyjść i obejrzeć miasto, sama zaś pojechała z Wąsikiem wypytać ludzi o Polignaca.

\*\*\*

- Najdroższa siostro, żyłaś kiedyś w tym mieście. Co powinniśmy zobaczyć?

- Wszystko, co warte zobaczenia, jest tu, na Długim Targu. Możemy jeszcze przejść pod Zieloną Bramą, by ujrzeć Długie Pobrzeże oraz port nadmotławski.

– Zróbmy tak! Do siódmej godziny zostało jeszcze dużo czasu. Mogłybyśmy wstąpić do Dworu Artusa, gdzie się schodzą moi. Chyba możemy?

Ludwika najbardziej w świecie pragnęła przejść przez miasto niezauważona, więc pomysł Lisy nie przypadł jej do gustu.

– Najpierw chodźmy obejrzyć stragany. Na Długim Targu możemy wybadać skórę, a tkaniny widziałam na Placu Dominika.

Lisa przystała na propozycję siostry, uznając w niej przewodnika. Przeszły więc pod ratusz, rozprawiając na temat rzekomych niestrawności.

\*\*\*

Słońce wychodziło na trochę, ale zaraz chowało się za mlecznymi chmurami, sunącymi gęsto przez niebo. Na ulicach pojawiało się coraz więcej ludzi. Dzień jeszcze się nie kończył, choć dochodziła szósta. Teraz z portu przychodzili do miasta marynarze z różnych części Polski i Europy. Języki mieszały się ze sobą, najczęściej jednak do uszu sióstr dochodziły znajome słowa polskie i niderlandzkie. Lud różnych stanów szedł we wszystkie strony, próżno było wyglądać w mieście popołudniowego spokoju.

Główne ulice oblegała polska szlachta, rozmaici duchowni luterańscy i katoliccy, patrycjat oraz bogatsi mistrzowie rzemiosł, wcześniej kończący pracę w warsztacie. Kupcy jechali pośrodku dróg, wstrzymując konie stępa, a pomiędzy wszystkimi chodzili okoliczni wieśniacy. Tych Ludwika obawiała się najbardziej; tylko czekała, aż napatoczy się znajoma gęba ze Starych Szkotów. Nikogo jednak nie potrafiła rozpoznać.

Skoro ja zapomniałam, jak wyglądali, to oni też chyba mnie nie poznają – dumiała. Z minuty na minutę stawiała się coraz pewniejsza siebie i śmieiej podążała ulicami, wypatrując jednocześnie, skąd może przyjść ewentualne zagrożenie.

Na Placu Dominikańskim stała moc straganów. Jedne zbite były z prostych desek, inne miały nawet poustawiane drabinki, na których wystawiono kawałki płótna, aby każdy mógł dotknąć i sprawdzić, czy chciałby odmierzyć właśnie ten materiał. Dalej stały

budki z owczą, baranią i dziczą skórą. Przy krytej kramnicy wystawiono skrawek futra sobolego, zaznaczając tym, że w środku znajdują się rzeczy cenne, akurat na zakupy dla patrycjatu. Oprócz materiałów i tkanin różnej maści na placu sprzedawano modne naczynia, stare i nowe, rzeźbione figurki świętych oraz wszelkie dewocjonaalia.

– Latem wystawiają tu na miesiąc stragany sięgające aż do Zbrojowni i wtedy rozpoczyna się Jarmark Świętego Dominika – powiedziała Ludwika.

– I teraz handel nie zamiera w tym miejscu. Widzisz te skóry? Na trzewiki byłyby dobre.

Zanim siostra zdążyła odpowiedzieć, Lisa pomknęła do straganu z rzeczonymi skórami. Odwróciła się, by sprawdzić, czy Ludwika podąża za nią, postąpiła krok naprzód i wnet z kimś się zderzyła.

– A! Co to za obyczaj, by na nieznajomą dziewczkę wpadać? – syknęła ze złością, niepomna tego, że przed nią stoi szlachcic.

Ludwika dogoniła siostrę i zaczęła przeproszać w jej imieniu, choć butna Lisa ani myślała się korzyć. Zresztą wcale nie musiała, bo młody szlachcic tylko uniósł brwi ze zdumienia, po czym wyszczerzył zęby w rozbrajającym uśmiechu.

– I na znajomą wpadać się nie powinno. Bucik się może niechcący gibnąć.

Zanim Ludwika zdołała powstrzymać impertynencką siostrę, Lisa wypaliła:

– Mój się nie gibnie, nie takie afronty przeżyłam.

Zamiast gniewu, na przystojnej twarzy ponownie zagościł szczerzy uśmiech. Szlachcic był ubrany dostojnie i po polsku, za pasem nosił szablę, na co Ludwika delikatnie próbowała zwrócić siostrze uwagę. Na nic się to zdało, bo Lisa patrzyła wciąż wściekle w roześmiane, szarawe oczy, dziwiąc się, że nie potrafi wzbudzić w obcym gwałtownych emocji.

– Może bym jakoś wynagrodził ten niegodny afront panience?

Lisa już miała odpalić kolejny fajerwerk i nazwać obcego bogacza błaznem, ale nawet tak niepokorna dusza pojęła, że lepiej nie pogrywać w ten sposób ze szlachecką dumą. Uniosła więc tylko głowę na znak nieprzejednania.

– Od nieznanymych przeprosin nie przyjmuję. Nie rozmawiam też z nimi, choćby przede mną stali sami magnaci.

Nieznajomy cmoknął ukontentowany na tę odpowiedź, uznając w duchu, że niewiasta jest urocza, choć stara się pokazać hardość charakteru. Zmarszczył gładkie czoło i skłonił się przesadnie, czerpiąc niezwykle dużo zabawy z tej rozmowy.

– Proszę o wybaczenie, piękna pani. Jestem Aleksander Sebastian Jezierski. Czy teraz mogę jakoś wynagrodzić wypadek?

W tym momencie Ludwika zakrztusiła się własną śliną. Zaczęła więc nieprzyjemnie kaszleć i dusić się, aż poczerwieniała i odsunęła się, by ochłonać. Nazwisko Jezierskiego wydało jej się w tym momencie najgorszym z istniejących. Niewątpliwie z Lisą, niczego nieświadomą Lisą, rozmawiał właśnie syn Konrada Jezierskiego.

Mężczyzna przypominał ojca. Gładkie czoło i łagodne, wielkopańskie rysy wskazywały, że jest osobą dobrze urodzoną. Choć włosy młodego Jezierskiego były o wiele ciemniejsze i wpadały w mahoniowy brąz, to wiły się jak węzowisko aż do karku, podobnie jak niegdyś pukle Konrada. Ponadto Ludwika z przerażeniem uświadomiła sobie, że foremny nos oraz kształtne wargi obcego do złudzenia przypominają jej fizjonomię Konrada. Po latach stanął przed nią jak żywy, zatarte wspomnienia stały się realne.

– Widzę, że moje nazwisko wiele znaczy dla szanownych pańienek – zakpił Aleksander.

Choć Ludwika rozkaszała się na dobre, wcale nie zapytał, czy czegoś jej trzeba, wciąż patrząc uparcie na wzburzoną twarz Lisy. Wydała mu się niezwykajna i piękna. Tymczasem ona myślała: Nabija się ze mnie! Myśli, że już jestem jego, bo nosi szablę przy boku. Popamiętasz ty dumny ród van der Bergów, niecny panie.

– Siostra moja droga nie czuje się na siłach, by dalej spacerować. Żegnam jaśnie pana – rzekła wyniośle.

– Nie chcę nagabywać pańienek ani wytykać niegrzeczności, ale przedstawiłem się przecież. Nie ma pańienka do czynienia z byle zbirem, tylko polskim szlachcicem. Chciałbym poznać i twoje nazwisko rodowe, miła panno.

Tym razem nieco go zirytowała. Urażona szlachecka duma domagała się lepszego traktowania od zwykłej patrycjuszki.



- Ani myślę się jaśnie panu spowiadać. Za rozmowę dziękuję, afront wybaczam i żegnam.

Z tymi słowami Lisa zostawiła osłupiałego syna szlacheckiego dostojnika. Wzięła zażawioną Ludwikę pod rękę i bez oglądania się, pociągnęła ją w stronę Długiej. Aleksander Jezierski stał jeszcze przez chwilę, w zdumieniu patrząc na oddalające się postaci. Jeszcze nigdy nie spotkał panny o tak ciętym języku i niemiłym usposobieniu.

## IV



Damy zajechały do Totenhofu, gdy już prawie całkiem się ściemniło. Zaczynała nieprzyjemna, jesienna mżawka, więc służba niechętnie wyglądała ze stodoły i stajen. Ledwo powóz zajechał, a do pani wdowy przybiegł Maciejca.

– Przyszedł list do jaśnie pani van der Berg od umiłowanego pana Woyciechowskiego! Jakiś posłaniec dzisiaj przyjechał, konia uwiązał i chciał zostać, by pomówić specjalnie z tobą, jaśnie pani, ale gdym mu powiedział, że moja pani pojechała do Gdańska i wróci około wieczery, zostawił mi list i odjechał.

– Czemu to poseł chciał ze mną mówić?

– A ja nie wiem, jaśnie pani. Powiedział tylko, że jaśnie pan Wolfgang Woyciechowski jest bardzo ciekawy wyglądu sławetnej damy van der Berg. Chciałby ją sobie móc wyobrazić.

Ponieważ ostatnia uwaga wydała się Wandzie wielce niestosowna, zamiast odpowiedzieć, poleciła Maciejcy, by zawołał stajennych do oporządzenia koni. Sama zaś pochwyciła list z rąk sługi i udała się za córami do Totenhofu.

Wnętrze dworku było urządzone po szlachecku, lecz skromnie. Oprócz pokoju gabinetowego pana Woyciechowskiego, były jeszcze dwie przestronne izby na dole oraz trzy sypialnie u góry.

– Liso, poleć kuchennym podanie wieczery – poprosiła Wanda.

Rozsiadła się przy długiej ławie, zapaliła świece i odpieczętowała list. Liche światło rozjaśniało pomieszczenie. Znajdowało się w nim tylko to, co niezbędne do przeżycia w letnim dworku szlacheckim. Skoro więc pośrodku stała rzeczona ława, pod ścianą umiejscowiony był byle jak rzeźbiony kredens, a w nim cynowe naczynia, pamiętające jeszcze z pewnością lata świetności poprzedniego pokolenia. Dalej zgrzebna skrzynia i dwa zydle oraz biblioteczka pokryta kurzem. Gospodarz widocznie obawiał się, że pod jego

nieobecność służba nakradnie kosztowności i ucieknie, dlatego z dworku zabrano wszystko, co cenniejsze, pozostawiając ledwie garstkę potrzebnych mebli i przedmiotów. Nawet czujne oko Kałużyńskiego oraz listowna zażyłość z panią van der Berg nie przekonały Woyciechowskiego do pozostawienia wartościowych rzeczy. Tak samo biednie urządzone zostały sypialnie, jednak łóżka prezentowały się kunsztownie. Nawet zwisały nad nimi jedwabne zasłonki, tworzące skromne baldachimy.

Ponieważ służba zaczęła rozstawiać talerze i misy, w przestronnej izbie zrobił się rwetes. Zirytowana Wanda najpierw zatkała uszy dłońmi, ale gdy zauważyła, że niewiele to pomogło, wstała naburmuszona, rozglądając się za spokojnym miejscem. Drzwi do gabinetu pana Woyciechowskiego były przymknięte, a za nimi kryło się pomieszczenie, do którego Wanda jeszcze nie zaglądała. Gdy skierowała swe kroki ku wejściu, posłyszała urwany, nieśmiały krzyk służki.

– Nie!

Odwróciła się zdumiona i spojrzała na znieruchomiłą służbę. Przy ławie pełnej naczyń stały cztery chłopki oraz dwóch kuchmistrzów, wnoszących półmiski z sarniną w grochu. Młoda służka, która ośmieliła się krzyknąć, stała teraz z pochyloną głową i oczami wbitymi w drewnianą podłogę. Nikt nie śmiał jej poprzeć ani choćby dopowiedzieć, co znaczył dziwny, urwany zakaz.

– Co „nie”? – zapytała Wanda niemiło.

Czasem przebijała przez nią patrycjuszowska duma i choć świetnie rozumiała rozterki biednych, teraz należała przecież do wyższych sfer. Czekala więc na odpowiedź, ale młoda chłopka milczała, nie śmiąc nawet spojrzeć na Wandę.

– Czy wasz pan zakazał nam wstępu do tego pokoju?

Służba nie odpowiadała. W powietrzu wyczuwało się jednak woń strachu i przez chwilę nawet Wanda przeleżała się nieruchomych, wpatrzonych w nią oczu chłopstwa.

– Nie łypcie ślepiami, jeno odpowiedzcie!

Służka – wiekiem podobna do Wandy, a może nawet starsza – postąpiła kilka kroków w stronę młodej winowajczynie, zdzieliła ją przez łeb otwartą ręką i kazała uklonąć się przed wdową.

– To moja córa, jaśnie pani. Aż wstyd się przyznać do takiego czorta. Niepokorne to dziecię, jaśnie pani. Ukarz ją, jeśli taka jest twoja wola.

Wanda zbliżała się do służek powoli, aż złowrogo stukotały buty na korku. Zaległa cisza pełna trwogi, nikt z chłopstwa nie śmiał nawet chrząknąć. Młoda służka dygotała już na całym ciele, choć Wanda ani myślała się nad nią znęcać. Wiedziała, jak wygląda zamęczony człowiek, kiedy udręka nie pozwala ni jeść, ni spać. Obejrzała dokładnie napuchniętą, czerwoną z emocji twarzą i ujęła dziewczkę za brodę. Kiedy oczy zetknęły się z uważnym spojrzeniem Wandy, ciężkie łzy poczęły spływać po gładkich licach.

– Nie bój się, nie spotka cię kara, jeśli tylko powiesz, dlaczego krzyknęłaś, gdy udałam się do sąsiedniej izby twojego pana.

Choć napięcie narastało, a sekundy mijały, pomieszczenie wciąż wypełniała cisza. Jasne, przerażone oczy służki wpatrywały się w chabrowe tęczówki pani van der Berg, ale usta milczały jak zakłète. Jedynie broda, podtrzymywana przez dłoń patrycjuszki, zaczęła lekko drżeć, a na dziewczęcych wargach pojawił się grymas, zwiastujący płacz.

Wanda puściła brodę służki, widząc, że dziewczka i tak nic nie powie. Przerazenie uwięzło w jej gardle, uniemożliwiając mówienie.

– Precz – nakazała.

Po izbie rozległ się delikatny tupot bosych nóg. Teraz Wanda wbiła wzrok w matkę służki, przeczuwając, że tajemniczy Totenhof skrywa sekrety, o których służba wie, ale ze strachu nie mówi.

Harda chłopka skłoniła się przed panią głęboko, jednak oczy unikały spojrzenia Wandy. Była to kobieta już niemłoda, zaniedbana paskudnie. Okropne kudły zwinięte w kołtuny próbowała zakryć czepcem, dziury w lnianym ubraniu zaś nosiła swobodnie, jakby ich pokazywanie stało się najnowszą modą chłopską.

– Co się dzieje z twoją córą?

– Krnąbrne, niedobre dziewczę, najjaśniejsza pani. Niczego nie umie, wszystkiego się boi, rozrabia. Ot, natura młodego dziewczęcia.

– Spójrz na moje córki. Młode dziewczęta, a uprzejme i nielekliwe. Co się stało, że ona taka?

Porównanie chłopskiej córki do panien z wysokich sfer zdumiało wieśniaczkę. Podniosła wreszcie oczy, chcąc wybadać, czy Wanda podstępem nagabuje, czy rzeczywiście chce się jednać.

– Chłopskie dziewczki inaczej chowane, najjaśniejsza pani.

Wymuszona przez Wandę uwaga, niestosowna ponad miarę, zgorszyła nawet samą wypowiadającą. Skłoniła się po tych słowach trzykrotnie, prawie do ziemi. Jednak na pani van der Berg przytyk nie zrobił większego wrażenia. Dwadzieścia lat temu sama myślała jak chłopka i kiedy teraz patrzyła na biedną wieśniaczkę, do głowy przychodziły jej myśli, że niegdyś była w dużo gorszym położeniu, tak że nawet wiejska służka mogła potraktować ją obelgą.

Nie namyślała się już dłużej i postanowiła zakończyć przesłuchanie, ponieważ z sypialni zeszyły panienki. Zadała więc ostatnie pytanie:

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogę wejść do tamtej izby?

Służba zaczęła patrzeć po sobie, nie dowierzając, czy naprawdę gościni domu pyta ich o zdanie, czy też zastawia na chłopów pułapkę. Podobnie zdezorientowana zdawała się Lisa – ona z pewnością nie pozwoliłaby sobie na podobne dywagacje, a każdy krnąbrny wieśniak wnet znalazłby karę i pożałował każdego krzywego spojrzenia.

– Zapraszamy do izby, jaśnie pani – powiedziała służka na wszelki wypadek.

Chłopki skłoniły się, a kuchmistrzowie wrócili do swych zadań.

\*\*\*

Wnętrze gabinetowe było niewielkie i skromne. Królował w nim krótki rzeźbiony stół z dwoma szufladkami. Nieopodal stało odsunięte dębowe krzesło z oparciem wykończonym po obu stronach mosiężnymi gałkami. W rogu stała skrzynia, a pod małym okienkiem kredens. Wnętrze wyglądało na opuszczone i ponure, a przede wszystkim ledwo dochodziło do niego światło.

Okno usadowiono bowiem nietypowo, bo u góry, i wcale nie szło w dół, lecz poprzecznie, tak że przypominało lufcik. Z pewnością

nikt, nawet bardzo wysoki, nie mógłby zerknąć z zewnątrz do środka.

Wanda zbyt długo już żyła na świecie, by nie zauważyć tej osobliwości. Wydawało się, że gospodarz pragnie, aby pomieszczenie pozostało ukryte, ale przed kim – to pozostawało tajemnicą. Obeszła stół i usiadła na skromnym krześle. Było już nieco wysłużone, jedna z nóg zdawała się niebezpiecznie przechylać, lecz poza tym wszystko wyglądało zwyczajnie.

Pan Woyciechowski skreślił list.

*Droga sercu memu, nadobna Pani Barbaro, światłem mej duszy stały się Twe ostatnie słowa i gdy list otrzymałem, wnet postanowiłem napisać odpowiedź.*

*Piszesz, Pani piękna i rozumna, że trzeźwym wzrokiem najlepiej spojrzeć na sprawę X. Contiego, który przymierza się, aby w końcu zawitać do portu gdańskiego. Niepodobna się nie zgodzić, jednak mam wątpliwość – czy miękka ręka niewieścia przewidziała niebezpieczne ruchy wrogów? W politycznych atakach jeńców się nie bierze i chwyta wszelkich sposobów, aby drugą stroną obalić i zniszczyć to, co fundamentem stoi. Męską poradę muszę zastosować – bij się, Pani, bo to czas wielkich korzyści dla nas i całej Rzeczypospolitej. Ja zadbam o sprawy rodu van der Bergów, a Ty, Pani, zadbaj o moje i rozlicz stronników Sasa.*

*Poza tym rad jestem, że nadobna, miła memu sercu Pani, prawie już do celu dojechałaś wraz z córami swymi. Teraz poślę druha, aby się do Ciebie, Pani, wybrał w podróż i list zawiózł, bo ja sam nie mogę. Polityczne łańchmany tylko czekają na moje potknięcie, a prawdziwy szlachcic swoich spraw pilnować musi. Gdy już jednak wybiję wrogów, z chęcią do Totenhofu zajadę, by Ciebie, Pani, naocznie powitać.*

*Powiadają, że ja szalony i niecierpliwy, ale to wszystko dlatego, że moja dusza samotnie się błąka po lasach oraz puszczech – we dwoje byłoby całkiem inaczej. We dwoje to my byśmy konie puścili galopem i gnali przez łąki aż do utraty tchu. Niebawem zacznie się pora polowań. Koniecznie zostań, Pani, do późnej jesieni w Totenhofie, gdy zaś przybędę, zabiorę Panią z córami do gdańskich przyjaciół i tam wśród stronników ukryję.*

*Pilnuj, miła Pani, pieniędzy danych z Francji, może za Polignaca uda się długi pospłacać. Ja wierzę w rękę niewieścią, bo choć do polityki i żołnierki trzeba twardej, to manipulacje lepiej wychodzą damom, a to wielka zaleta, choć czasami serce boli, jak się człowiek na zbyt chytrą nadzieje. Jeśli zaś chodzi o damy, to mi wychodzi takie porównanie, że Ty, Pani, jesteś w Gdańsku teraz jak królowa wdowa Maria Kazimiera Sobieska, tylko po drugiej stronie walczysz. Ciekaw jestem, jak się skończy ta potyczka.*

*Jeszcze jedną rzecz mam – w Rzeczypospolitej znów sławne staje się nazwisko Jezierskich, których z pewnością tak obyta dama kojarzy. Stary Konrad Jezierski już nowych wyzwań nie podejmuje, ale w Gdańsku przebywa i musisz, Pani kochana, na niego zważać, bo to wróg Burbonów, X. Contiego nie lubi, z królową wdową spiskuje. Ma on synów – jeden Aleksander, w Gdańsku też jest i wraz z ojcem mąci, ale drugi – to jest sprawa ciekawa – w Prusach Książęcych bawi, jak i ja. W interesie mi wadzi, a i ojca mu nie mogę zapomnieć, bo to wróg nasz przecież. Oby mi się nie napatoczył pod szablę, bo rozum mu do głowy wtłoczę siłą, nie słowem.*

*Bądź zdrowa, pociecho serca mojego i jedyna nadziejo na zakończenie męki samotności.*

*Nobilis<sub>1</sub> Wolfgang Woyciechowski*

– Czy wszędzie musi pojawiać się nazwisko tego łotra? – syknęła Wanda przez zęby.

Z wściekłości rąbnęła pięścią w ławę i wyszła z izby, zostawiając list na stole.

Do wieczery zasiadła w ponurym nastroju. Zmówiwszy pacierz, damyabrały się za sarninę, popijając ją podmiejskim piwem. Ludwika wyczuwała, że wzburzenie matki nie polityki, lecz serca dotyka, i lękała się, by niesforna Lisa nie opowiedziała o popołudniowym incydencie na Placu Dominikańskim. Jak na złość, w tym momencie młodsza siostra odezwała się:

– Matko najdroższa, czy wiesz, jak nieprzyjemna bywa polska szlachta?

– Wiem doskonale – mruknęła Wanda w odpowiedzi.

– Dzisiaj i my przeżyliśmy gorszące wydarzenie w mieście.

Wanda nachmurzyła się jeszcze bardziej.

– Żebyście wy mi tylko nie popsowały w mieście interesów. Wypuścić cię gdziekolwiek, Liso, to jak wydać lwa na rzymską arenę.

– Ależ to nie moja wina! – zaperzyła się Lisa. – Szlachcic wpadł prosto na mnie przy straganach, gdyśmy oglądały różne tkaniny. Nieprzyjemny kazał się spowiadać z imienia i nazwiska, ale nie podałam.

Ponieważ matka pobladła, z pomocą przysła Ludwika.

– Liso, szlachcic wcale nie był nieprzyjemny. Twoje ostre słowa zbywał z uśmiechem i grzecznością. Powinnaś się bardziej miarkować, bo następny ci zamiast uśmiechu nadstawi szablę pod gardło.

– Jestem Aleksander Sebastian Jezierski... – zaczęła Lisa, parodiując wyniośle szlachcica.

W tym momencie Ludwika uchwyciła kostniejącą twarz matki, sama zaś tylko zatrzepotała w strachu rżęsami. Wydało się najgorsze. Nazwisko Jezierskiego zadziało jak podpalony lont i po chwili słuchania wyglupów Lisy Wanda wybuchła.

– Przestań się błaźnić!

Lisa zamilkła i ze zdumieniem wpatrywała się w matkę.

– Od tej pory nazwisko Jezierskich nie będzie przy mnie wypowiedane, a która się sprzeciwi lub zacznie wyglupiać, dostanie chłostę rzemieniem po nagich plecach. Macie się w mieście nie odzywać do nikogo. Może wpaść na was królowa wdowa Sobieska, słowa nie piśnecie ani do niej, ani do żadnej innej osobistości. Macie się grzecznie kłaniać stronnikom, których wam wskażę, i milczeć, bo z bzdurnych popisów tylko błazen wychodzi cało. Precz wam od polityki i pieniędzy, które daję, by umocnić francuskiego księcia. Precz wam od rozmów w mieście, a dla ciebie, Liso, radę mam nie byle jaką – pohamuj język, bo niczego jeszcze o świecie nie pojęłaś i nie wiesz, jacy bywają ludzie. Szlachcic się uśmiechnie, a ty już wierzysz, że można się z nim obejść jak z chłopem. Oj, żebyś potem gardła nie nadstawiła pod czyjąś szablą, bo ja tu trumien nie chcę oglądać, co najwyżej ożenek. Ale do tego ty się nie nadajesz zupełnie i swoim ciętym językiem zniechęcasz każdego do przychylnego wejrzenia. Ze starszej siostry weź przykład. Jeszcze



jeden nietakt i odeślę cię samą do Amsterdamu, a nawet służby nie będę z tobą wysyłać, bo wyniszczysz tych biednych ludzi.

To powiedziawszy, wzburzona Wanda wstała znad pełnego talerza i oznajmiła koniec wieczerzy. Potem zamknęła się w izbie gabinetowej szlachcica Woyciechowskiego i zaczęła odpisywać na list.

*Łaskawy JaśniePanie Dobrodzieju,*

*list Twój sprawił mi radość, bo wiem, że znalazłam tu bezpieczną przystań, w której mogę odpocząć po trudach dnia – dziękuję za to. Dziękuję też za poręczenie, że mogę wraz z córami zostać w dworku aż do jesieni. Niebawem w mieście zacznie się splot zboża i z pewnością Gdańsk zaludni się, zatem nie będzie gdzie spać.*

*Wierzę, że dobry Bóg przygna pomyślne wiatry na morzu i księżę Conti lada dzień przybędzie. Dzisiaj widziałam się z jegomościem de Polignakiem, przekazałam mu trochę francuskich pieniędzy, ale długów zaciągnął dużo więcej, tak że nie mam nawet słów, by to opisać. Trudno będzie pozyskać nowych stronników, gdy starzy wciąż oczekują zaległej mamony i wieść się po mieście niesie, że za Burbonem nie ma co stać, bo jego zwolennicy pożyczek nie oddają, a wciąż tylko obiecują i zaciągają nowe.*

*Najgorsze długi i najpilniejsze już dziś zostały spłacone, ale to wciąż mało. Liczę, że gospodarność Polignaca i rozum nie pozwolą mi na zaciąganie kolejnych pożyczek. Jednocześnie wiem, że wciąż listy śle do króla jegomości Ludwika XIV, aby mu z Francji więcej pieniędzy podostał albo czeki, tym razem mające pokrycie.*

*We dworze niewiele się dzieje, służba bardzo porządna, zatem nie mogę narzekać. O tej porze Totenhof wygląda pięknie i jeszcze zimno nie przenika do środka. Z rana piękne mgły pojawiają się na wzniesieniach, więc winszuję umiejscowienia letniej rezydencji.*

*Co do Jezierskich – dziękuję, żeś mnie ostrzegł, szanowny panie dobrodzieju. Zamierzam uważać na cały ich ród, bo pomnożyli się jak insekty. Jeśli gdzieś natkniesz się na młodszego Jezierskiego, który w Prusach bawi, od siebie i od razu ode mnie wymierz mu lekcję pokory. Przyda mu się, bo słyszałam, że ojca ma wstrętne.*

*Tymi słowy list zakończę. Szkoda, że postaniec twój, jasnie panie, nie zastał mnie. Może uda się następnym razem.*

*Bądź zdrów*

*Barbara van der Berg*

„Słyszałam, że ojca ma wstrętne” – przytaczała Wanda w myślach własne słowa. Odłożyła list, by atrament wysechł, i zaczęła rozmyślać, czy taka zawziętość ma sens.

Z pewnością Konrad Jezierski inaczej widział sytuację sprzed dwudziestu lat. Pomógł banitce oraz jej córce – to nie ulegało wątpliwości. Czy zrobił to z miłości – co za różnica, skoro dzięki dokumentom po powieszanej patrycjuszce Wanda przeżyła? Przecież z chłopki stała się możną panią. Jednak po wspólnie spędzonej nocy oczekiwała czegoś zupełnie innego, a mianowicie tego, że piękny Jezierski wywiezie ją do Warszawy i tam ukryje pod swoją protekcją. Jaka byłam naiwna! – przyznała w myślach, wracając do tamtych chwil. Jednak wciąż pamiętała swój strach, gdy spienione fale kołysały okręt pełen obcych marynarzy, z którymi nie mogła zamienić ani słowa, bo znała tylko polski. Ich ulubionym zajęciem było straszenie jej oraz małej Ludwiki, najczęściej dla zabawy. Nastawali też na godność Wandy niewybrednymi gestami, a nawet próbowali przysuwać się do niej w nocy; ganił ich tylko przekupiony kapitan.

Strach, który wówczas wypełniał Wandę, oraz żal przyćmiły ślepą miłość, którą była owładnięta od lat. Na okręcie poczuła, jak mocno osłabło jej uczucie do Jezierskiego, a na miejscu afektu pojawiły się nowe emocje – wrogość i chęć odwetu.

W Amsterdamie chłopka, przebrana w strój powieszanej patrycjuszki i z jej aktem obywatelstwa, próbowała porozumieć się w nowym języku, ale bez większych rezultatów. Zapłaciła srebrną spinką za trzymiesięczny pobyt w niewielkiej kamienicy, gdzie zaczęła w pełni pojmować swoje położenie. Dodatkowo Ludwika ciągle płakała i marudziła, że nie chce być żadną Anną, a jej matka ma przecież na imię Wanda, a nie Barbara. Długo nie mogły pogodzić się z nową tożsamością – w nowym miejscu, bez obycia i języka, Wanda próżno poszukiwała ochrony. Po trzech miesiącach,

gdy nie wiedziała, czy znów płacić za pokoje, czy udać się do Rzeczpospolitej, napotkała mężczyznę.

Rudolf van der Berg uznał Wandę za patrycjuszkę – wszak na dobrą majątność wskazywała jej suknia po Barbarze Schwarz oraz wszelkie kosztowności, które ze sobą zabrała. Ponieważ jednak niczego nie mogła mu wytłumaczyć, zaprowadził ją do polskiej służki mieszczańskiej, mówiącej po niderlandzku. Wysłuchawszy ostrożnych opowieści o tym, że pochodzi z Gdańska, a mąż niedawno zmarł i samej trudno żyć, Rudolf van der Berg bez mrugnięcia okiem zaproponował jej ożenek. Służka trzy razy musiała tłumaczyć Wandzie, że na pewno o to właśnie chodzi. Gdyby tylko wiedział, że jestem chłopką w przebraniu, a mój prawdziwy mąż umarł na szubienicy za kradzież w królewskiej sypialni i podwójne morderstwo, w tym za mord na mężu prawdziwej Barbary Schwarz... – pomyślała i mimowolnie przekorny uśmiech wystąpił na jej twarzy.

Wyszła więc za patrycjusza Rudolfa van der Berga, a gdy urodziła się Lisa, wmawiała jej, że jej ojcem jest nie kto inny, tylko zmarły w Gdańsku patrycjusz Rudolf Schwarz. Nowy mąż Wandy też uważał to za prawdę. Przyjął dziecię jak swoje, nie skąpiąc mu zbyt wiele. Całe lata dziękował Bogu za zesłanie młodej żony, która w podzięce za małżeństwo będzie opiekować się nim do śmierci.

Bowiem Rudolf van der Berg nie był już młody. Przez życie szedł jako stary kawaler, co prawda dobrotliwy, ale do ożenku się nienadający. Żadna nie podobała mu się na tyle, by właśnie z nią założyć rodzinę. W pięćdziesiąte urodziny obudził się nieszczęśliwy, bez drugiej osoby przy boku. Obawiał się o przyszłość i żałował trochę przeszłości, choć kochliwy nie był nigdy. Od tamtej pory zaczął rozglądać się i szukać, która go na stare lata zechce, ale nie podobała mu się żadna. Dobiał wreszcie sześćdziesiątki, gdy spotkał zahukaną patrycjuszkę o wątpliwym rodowodzie, w dodatku z bojaźliwą córką. Spadły mu obie jak z nieba – za małżeńską protekcję opiekowały się nim do śmierci. W zamian za to wynajął im profesorów do nauki języka i etykiety, widząc niedostatki. Potem przyszły domowe lekcje czytania i pisanie w obu językach – niderlandzkim i rodzimym. Rudolf nie żałował pieniędzy na

wykształcenie żony i córek. Wreszcie po latach skonał – szczęśliwy, że odchodzi w otoczeniu rodziny.

Gdyby nie ten łotr Jezierski, zginęłabym z córą, to pewne – pomyślała Wanda. Mimo to opieczętowała list, nic w nim nie zmieniając, i zniosła Maciejcy.

– Jutro rano wskoczysz na koń i zawieziesz ten list do Prus Książęcych. Popytaj, gdzie teraz bawi szlachcic Wolfgang Woyciechowski, i oddaj mu to. Lud z pewnością ci powie, gdzie znaleźć jaśnie pana.

– Tak, jaśnie pani – skłonił się Maciejca.

---

<sup>1</sup> *Nobilis* (łac.) – szlachetny.

## V



Wśród gdańskiej elity zapanował chaos. Władni prześcigali się w pomysłach, wietrząc nowe problemy, które powstaną, gdy do miasta przybędzie książę Conti. Wydawało się jednak, że nawet taki obrót spraw nie zmieni prosaskiego nastawienia większości możnych. Zwoływano więc posiedzenia, naradzano się i próbowano przekonać stronników Contiego, by odstąpili. Ważyły się losy miasta – w każdej chwili jeden z urażonych porażką lwów mógł zaatakować.

Dodatkowo władze Torunia zwróciły się z pytaniem, kogo poprze Gdańsk, żeby nie wyjść na durniów przy organizacji uroczystości na cześć nowego króla Augusta II. W końcu już nikt w Rzeczypospolitej nie wiedział, czy nowy monarcha został wybrany, czy też jeszcze wszystko może się zmienić. Ponadto nadciągały niepokojące wieści, że Sapiehowie szykują armię, by pomóc Contiemu. Gniew Francuza mógł obrócić się przeciwko miastu, ale Sasa gdańszczanie również nie chcieli mieć za wroga. Rozjuszony z powodu nieposłuszeństwa, szybko wysłałby wojska, by napaść na miasto lub okoliczne wsie.

Zwrócono się wtedy do szacownych panów przebywających w Gdańsku, co należy uczynić. Każdy postulował coś innego – dowódcy, oficerowie i wszelkiej maści szlachta. Po prawdzie w Gdańsku bawiło właśnie wielu możnych z całej Rzeczypospolitej; nieliczni magnaci zjechali na koronację do Krakowa.

– Po cóż nam zjeżdżać aż do Krakowa, skoro królem mogą zaraz obwołać Burbona, a Sas będzie musiał jak niepyszny pójść precz z Rzeczypospolitej? Wkoło rokosz przeciwko nowemu monarsze, na co konie gnać?

Tak powiadano najczęściej, toteż w całej Rzeczypospolitej zapanował wielki nieporządek. Przekupieni stronnicy zmieniali

zdanie, korzyli się przed innymi, pożyczali i oddawali pieniądze albo obiecywali, że oddadzą lada dzień.

\*\*\*

Conti nie nadpływał. Za to rozpoczął się doroczny jesienny spław zboża i w porcie nadmotławskim robota paliła się ludziom w rękach. Przypływały niewielkie nadwiślańskie dubasy i byle jak zbite komięgi, a w całym ferworze dało się też dostrzec duże holenderskie, angielskie i francuskie okrętowce.

Pertraktowano. Trzeci Ordynek od początku opowiedział się za Sasem, ale Ława tkwiła w zawahaniu i nie chciała publicznie wyjawić, co postanowiła. Najważniejszy organ władzy – Rada – miotał się wśród tego galimatiasu, aż w końcu postanowiono zasięgnąć opinii Konrada Jezierskiego.

Pierwszy burmistrz miasta Johann Ernst Schmieden przybył do kamienicy przy Długim Targu, którą tymczasowo zamieszkiwał chorąży wraz z synem. Za namową wielkiego szlachcica usiadł w przestronnej izbie i przez chwilę obaj oczekiwali na podanie piwa. Pozornie zajęci rozmową, przypatrywali się sobie nawzajem uważnie, a za uśmiechami grzeczności kryły się myśli.

Schmieden dokładnie lustrował zmarszczki na twarzy Konrada. W ciągu dwudziestu lat przy oczach chorążego porobiły się kurze łapki, które stawały się widoczne zwłaszcza, gdy Jezierski darzył gościa swym, niezmiennie czarującym, uśmiechem. Dodatkowo widać było, że przynajmniej od paru nocy Konrad źle sypia – nieprzyjemnie uwydatniły się cienie pod oczami. Nadal jednak zachowywał nadprzeciętną siłę żołnierza i choć dawny urok nieco przygasł, szaroniebieskie oczy wciąż błyszczały żywo.

Konrad patrzył z kolei na burmistrza prezentującego swoje atuty. Peruka imponujących rozmiarów, z przedziałkiem pośrodku, wiła się lokami aż poniżej ramion. Patrycjusz przyszedł ubrany w strój zachodni – w luźnym purpurowym kaftanie oraz fantazyjnej bluzce podkreślającej bufami bogactwo. Nogi zdobiły również purpurowe spodnie zakończone chwostami, a pod kolanami zaczynały się białe

pończochy. Trzewiki z bursztynowymi klamrami dopełniały majestatu.

Na spotkanie z zacną personą Schmieden przygotował się starannie. Włożył na palce kosztowne pierścienie ze złota i terazu, gestykulując, podkreślał z dumą dłonie. Pochwalił Jezierskiego za wybór kamienicy, wskazując na kaflowy zegar oraz szafę z hebanowymi gałkami.

Kamienice Długiego Targu zawsze trzymały poziom. Konrad ulokował się nieco bliżej Zielonej Bramy, zajmując z synem piętro. Do kiedy planował zostać – tego nie wiedział. Chciał jednak odłożyć powrót do swoich dóbr, bo nowa żona stawała się nie do zniesienia. Marudziła, nadużywała piwa i wódki, a przede wszystkim okrutnie pokrzykiwała na służbę. Obojgu nie udał się ten ożenek, z czego szybko zdali sobie sprawę.

Konrad wraz z synami pojechał, by rozpocząć polityczne rozmowy. Chciał nauczyć Aleksandra i Jerzego obycia w wielkim świecie oraz dbania o interesy. Starszy syn wyjechał w Prusy Książęce, Aleksander zaś został przy ojcu, by pilnować gdańskich spraw. Rozmawiał już ze stronnikami Sasa, których przybywało z każdym dniem. Wydawało się, że w tym mieście wrogowie księcia Contiego triumfowali.

Dostali piwo. Schmieden upił łyk i grzecznie podziękował za trunek, choć jednocześnie poczuł w sercu nieprzyjemne ukłucie. Rozpoznał bowiem, że Konrad pija podmiejską gorzałkę, wspierając tym samym wiejskich, a nie gdańskich browarników. Mimo to uśmiechnął się, kryjąc prawdziwe myśli. Surowe, lekko zmarszczone czoło, wypogodziło się.

– Słyszałem, że popierasz stronę saską, jaśnie panie Konradzie.

Konrad poprawił się na zdobionym fotelu. Oparł wygodnie łokcie na podbiciach i przytaknął.

– Prawda, panie Johannie. Syna nawet przywiozłem ze sobą, aby mi towarzyszył w rozmowach i uczył się politycznego rzemiosła. Ja pragnę usunąć się w cień i tylko stanowiska wraz z przywilejami zachować. Nie dla mnie to, co się w Rzeczpospolitej wyprawia. Wkoło chaos, darcie szat. Wszyscy kłócą się ze wszystkimi, stare przyjaźnie, jeśli były kiedyś szczerze, rozpadają się i dwóch

stronników największymi wrogami zostaje. Nie takiej Rzeczpospolitej pragnę, gdzie naród podzielony.

- A jednak opowiadasz się sam za stronę saską, jaśnie panie Konradzie. Czy twoim zdaniem Fryderyk August ma szansę utrzymać tron? Co będzie, gdy przyplynie Conti?

- Burbon się nie spieszy, nie wiadomo, czy w ogóle zechce wpłynąć. Podobno admirał Bart jest bardzo zacięty i może z tego powstać konflikt na redzie lub w samym mieście... O ile Conti odważy się zejść do Gdańska. Co się zaś tyczy tronu - Fryderyk August już został królem, jest to fakt, który trzeba zaakceptować. Nie było Contiego, to i jego strata. Tronu się zaocznie nie zdobywa.

Schmieden ponownie zmarszczył brwi i zafrasowany siedział w fotelu. Potarł długi, garbaty nos i na znak, że zgadza się ze szlachcicem, wznosił toast.

- Jaśnie panie Konradzie, stary już jestem i - co tu kryć - przybyłem, żeby zasięgnąć porady. Jako pierwszy burmistrz muszę coś w końcu ogłosić. Jeśli twoim zdaniem Sas na tronie pozostanie i bezpieczniej dla miasta będzie go poprzeć, to Gdańsk wystosuje oficjalne pismo o poddaństwie wobec nowego monarchy. Liczę się z twoim zdaniem, jaśnie panie, bo choć pozostajesz w cieniu i do wielkiej polityki już się nie garniesz, to jesteś przecież wspaniałym żołnierzem i wszyscy twoje imię osławione znają. Skoro taka jest twoja wizja i pokrywa się z wizją Trzeciego Ordynku, Ławy i większości rajców gdańskich - dobrze, miasto poprze Sasa.

Widać było, że choć Schmiedena zadowoliła rozmowa, jednocześnie się zafrasował. Patrzył na Konrada dużymi oczami, zastanawiając się, jak wielki będzie gniew francuskiego księcia, gdy już przybędzie do redy gdańskiej i zastanie miasto fetujące na cześć nowego króla. Wiedział, że taki afront nie przejdzie bez echa, a na mieszczan i okolicznych chłopów może spaść srogi gniew. Odwet był niemal pewny.

Konrad w lot pojął myśli burmistrza.

- Niepokój nie schodzi z twojej twarzy, panie Johannie. Pomyśl, że wściekłość Sasa, którego już obrano królem, może być znacznie większa niż zawiść Burbona. Conti najwyżej porwie kilka statków gdańskich, a za Fryderykiem Augustem stoi teraz cała armia



Rzeczpospolitej. Nie chcesz tu chyba wściekłej szlachty, miastu na pohybel?

– Oczywiście, że nie – zaperzył się Schmieden.

A jednak nie podzielał spokoju Konrada. Wszystko wskazywało na to, że Gdańsk czekają trudne chwile.

Konrad przypatrywał się zmęczonej twarzy burmistrza i zgadywał jego myśli. Wiedział, że spokojną rozmową może przekonać Schmiedena do zaakceptowania Sasa, a tym samym odsunąć Francuzów od władzy. Na tym zależało mu najbardziej, więc musiał w pełni przekonać burmistrza do swoich racji, by nie wycofał się ze strachu zaraz po rozmowie.

– Szanowny panie Johannie – zaczął znowu z czarującym uśmiechem, obezwładniającym niegdyś wszystkie damy dworu. – Widzę, że martwisz się o miasto. To dobrze, widać właściwy człowiek zasiada w tym roku na stanowisku pierwszego burmistrza. Przypomnę jednak o sprawie istotnej w całym sporze, rozwiewającej chyba wszystkie wątpliwości. Wszak powołany został nie dalej jak w maju nowy dowódca garnizonu gdańskiego – Jakub von Kemphen. Za cóż on pobiera żołd, jeśli nie za obronę miasta? Powołany został z troski i z przewidywań Rady, bo mądrzy ludzie w mieście zauważyli, że nadchodzą trudne czasy i zewsząd Gdańsk mogą zaatakować nieprzyjaciele. Zważ, szanowny panie Johannie, że w czas pokoju Kemphen bierze sobie żołd w wysokości sześciu tysięcy polskich złotych i dodatkowo, za nadzór nad fortyfikacjami oraz artylerią, kolejne dwa tysiące. Jest to razem osiem tysięcy polskich złotych, idących z kasy miasta. Czas już chyba, aby Kemphen się wykazał?

Ostatnie pytanie zawisło w powietrzu. Schmieden nie śmiał bronić Kemphena wobec przytyku od tak ważnej osoby, więc jedynie uśmiechnął się półgębkiem, zamachał rękami i nerwowo kiwnął głową.

Pomieszczenie spowijał przyjemny półmrok. Ciężkie kurdybany przysłaniały światło słoneczne, tak że tylko niewielka smuga docierała przez okiennicę i kładła się blaskiem na wzorzystej podłodze pokrytej malowanymi liśćmi akantu. Światło przecinało przestronną izbę prawie na pół – po prawej stronie, tuż przy ścianie

widniał piec kaflowy, a dalej szafa, spory zegar i cztery złote skrzynie. Po lewej stronie siedzieli panowie, a ich fotele oddzielał tylko ciężki prostokątny stolik z hebanowymi nogami, na których jakiś mistrz stolarstwa wyrzeźbił antycznych bogów greckich.

– Cóż zrobić? Tak czy inaczej, czeka nas gniew. Jeśli mamy wybierać, lepiej, żeby to Conti się obraził – wydusił w końcu Schmieden.

Wiedział, że ciąży na nim ogromna odpowiedzialność, ale argumenty Konrada pokrywały się z jego własnymi, poza tym w duszy też stał za Sasem.

Panowie rozmawiali jeszcze dłuższą chwilę, wymieniając uprzejmości. Choć z twarzy burmistrza nie schodził wyraz frasunku, Konrad próbował go rozchmurzyć, opowiadając żarty. Schmieden śmiał się kulturalnie, ale tak naprawdę wciąż rozmyślał, czy aby nie ma innego rozwiązania. Postanowił przytoczyć ostatni temat.

– Jaśnie panie Konradzie, czy wiesz, że w mieście i pod miastem przebywają też stronnicy Burbona? Nie wygonimy ich przecież.

Konrad spoważniał i nachmurzył czoło. Jego zachowanie, choć szczere, zdawało się podszyte grą polityczną. Należało uważać problem za poważny, skoro na szali ważyło się przekonanie burmistrza. Zatem, choć Jeziński nie przejmował się mniejszością popierającą Contiego, udał, że kłopot i jemu przyszedł na myśl.

– Wiem, że w Gdańsku przebywa co najmniej setka możliwych opowiadających się za Contim, ale to wciąż niewielu. Przyjechali, by z Polignakiem tworzyć stronnictwo, jednak Polignac więcej Burbonowi zaszkodził, niż pomógł; zresztą wszystko szło z polecenia króla jegomości Ludwika XIV. Pożyczek zaciągnął masę i nie spłacił, a dodatkowo powiedział ludziom, że jak na tronie polskim zasiądzie Conti, wszystkie zobowiązania wnet zostaną oddane.

Tu Konrad zaśmiał się trochę z politowaniem, trochę z pogardą. Jako wybitny żołnierz i polityk z czasów Jana III wiedział, że takie posunięcie nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem i ściągnie więcej trosk. Gdy już spoważniał, kontynuował:

– Myślę, że stronnicy Burbona wnet opuszczą miasto i nie będą walczyć z Gdańskiem, kiedy okaże się, że Conti przegrał. Choć ma poparcie i podobno nawet Sapiehowie wystawiają swoją armię, by go

bronić i na tronie obsadzić, nie trzeba się tym zbytnio przejmować. Znam Sapiehów, to ród wiecznie niezdecydowany, wahają się, czy na wieczerzę postawić patroszone cietrzewie czy sarninę. Gdy im przyjdzie wystawić armię przeciwko królowi już obsadzonemu, zdradzą swoje zamiary i pogrążą nazwisko u nowego władcy. Żadnych wakansów król jegomość im nie zapewni, a przeciwnie – jeszcze będzie z Litwinami zwada. Natomiast hetman litewski Kazimierz Sapieha – kiedyś awanturnik – dziś lata dobre ma za sobą, zupełnie jak ja. I trzeba rozumem ogarnąć, kiedy czas się wycofać, a kiedy wypada z szablą szaleć.

Szczerłość zrobiła na Schmiedenie wielkie wrażenie. Mimo to sprostował słowa o Polignacu.

– Wielkie mądrości prawisz, jaśnie panie Konradzie. Jedno tylko muszę powiedzieć, bo najnowsze wieści dostałem, że Polignac spłacił część długów. Przybyła bowiem nieznana patrycjuszka z Zachodu. Powiadają, że wielkie z Francją ma układy. Przywiozła monety i czeki z pokryciem. Dała część pieniędzy Polignacowi i zapowiedziała, by więcej pożyczek nie zaciągał, a skupił się na łataniu tego, co może.

– Co to za mieszcza? Czy teraz mieszka w Gdańsku?

– Nazywa się Barbara van der Berg, nazwisko zupełnie mi nieznane. Jest Polką, ale od dawna mieszkała w mieście Amsterdam. Dziwne to trochę, bo ze szlachcicem Wolfgangiem Woyciechowskim się układa i nawet odstąpił jej do zamieszkania letni dworek Totenhof.

Konrad zmarszczył brwi. Żołnierskie palce zacisnęły się mimowolnie na poręczach fotela.

– Znam ja Woyciechowskiego, to człowiek oszalały i wściekły, zupełnie nad sobą niepanujący. Powiadają, że mu choroba rozum zmała. Sądzę, że nie bez powodu nazwał swój dwór Żałobnym. Trupy za sobą zostawia, kto w jego sidła wpadnie, musi mieć szablę gotową i nie odwracać się plecami, bo ten nikczemnik gotów zniecka przyatakować. Co to za patrycjuszka, która się ustawia z takim jegomościem? Chyba też szalona.

– Albo natury Woyciechowskiego nieznająca. Z Zachodu przybyła, tylko z nim pisuje, więc pewnie mało wie.

– Ale, że jej dwór odstąpił... – zamyślił się Konrad.

\*\*\*

Władze Gdańska postanowiły ogłosić, że uznają Fryderyka Augusta królem, a co więcej, przyłączają się do Torunia i Elbląga w kwestii organizacji uroczystości na cześć nowego monarchy. Termin wyznaczono na dwudziestego dziewiątego września, odpowiedzi zostały rozesłane.

Mimo takiego obrotu spraw, nikt prócz przyjezdnych zwolenników Sasa nie był zadowolony. Wkrótce do redy miał wpłynąć książę Conti, a jego gniew i obiecany atak armii Sapiehów spędzały sen z powiek rajców i ławników. Jednocześnie w mieście zrobiło się niespokojnie. Wciąż przecież przebywali w nim zwolennicy i przeciwnicy Sasa. Pomni swych interesów, próbowali wpływać na rajców, obiecując góry pieniędzy.

Później sytuacja stała się jeszcze bardziej napięta, bowiem trzy dni przed planowanymi uroczystościami na cześć Sasa do gdańskiej redy wpłynęły okręty księcia Contiego. Wymieniły salwy z Wisłoujściem i zakotwiczyły.

## VI



Czy naprawdę nic już nie można zrobić?! – to pytanie padało z ust stronników Francji.

Sytuacja w mieście i okolicznych wsiach była napięta. Wśród patrycjatu szeptano o skandalu, bowiem księżę Conti nie zszedł na ląd ani nie odpływał, jedynie przeniósł się z gdańskiej redy na oliwską. Była z nim cała eskadra, dowodzona przez Jeana Barta. Z pokładu swojego L'Adroit Burbon obserwował przygotowania Gdańska do uczczenia nowego króla – Fryderyka Augusta, mianującego się teraz Augustem II.

Wanda chodziła po głównej izbie Totenhofu i załamywała ręce. Nie dość, że zawsze będzie gorsza od Konrada Jezierskiego, to w dodatku jego stronnictwo znowu triumfowało, a ona prawdopodobnie trwoni czas i siłę w Rzeczpospolitej. Dodatkowo zdawała sobie sprawę z tego, jak czuje się jej kandydat do tronu.

– Co za upokorzenie – mruzczała wściekła.

Nie przestawała chodzić, zupełnie jakby miało jej to pomóc w zrozumieniu natury rzeczy. Tymczasem jawiła się ona prosto – Sas wykorzystał nieobecność konkurenta i po prostu przybył po tron. Teraz padały kolejne sojusznicze stronnictwa, coraz więcej możliwych godziło się z faktem albo przechodziło bez żalu na stronę nowego monarchy.

Zaszeleściły suknie córek, wchodzących do dworu. Były dziś ubrane skromnie, ale nieco bardziej odświętnie – zwłaszcza Lisa, która wpięła w kasztanowe włosy perłowe spiny, usta zaś musnęła czerwienią. Gładka, smukła twarz prezentowała się nad wyraz czarująco. Matka spojrzała na nią wrogo.

– Na jakiś bal się szykujesz?

– Nie, droga matko. Dzisiaj są w mieście uroczystości. Nowego króla obrała Rzeczpospolita.

W odpowiedzi matka jedynie fuknęła:

– Co ty tam wiesz.

Córki rzeczywiście miały nikłe pojęcie o sprawach matki oraz pieniądzach, które miały uratować honor stronników Burbona. Lisy nie obchodziło to w ogóle, Ludwikę tylko trochę.

Widząc gniew matki, Lisa stężała. W planach były przecież uroczystości, zabawy wielkiego miasta. Zrozumiała, że nie pojedą, a jeśli nawet, to fetować nie sposób.

– Nie jedziemy do miasta?

– Jedziemy, jedziemy – Wanda nieprzyjemnie przedrzeźniła córkę – przecież właśnie teraz trzeba umacniać stronnictwo, gdy księżę nadpłynął. Nie można go tak zostawić w oliwskiej redzie bez honorów.

Po prawdzie Wanda była srodze zagniewana na Francuzów, ale nie dawała po sobie niczego poznać. Drażniła ją opieszałość księcia, czekającego na swoim okręcie pośród znajomych twarzy. Czy taki człowiek, który uczciwie nawet na ląd nie potrafi zejść, by się porozumieć i walczyć, ma widoki na tron? Czy taki człowiek w ogóle powinien rządzić państwem? – dumiała. Nawet ona, tak zaciekle wspierająca Burbona i opłacająca długi Polignaca francuskimi pieniędzmi, zaczynała przechodzić na stronę Sasa. Jednak w jej przypadku nie było to przejście jałowe ani oczywiste, nie było też bezrefleksyjne czy fałszywe – wynikało z rozumnych wniosków.

Wanda kazała zaprzęgać czwórkę do powozu, po czym wyruszyła do miasta z zaniepokojoną Ludwiką i beztroską Lisą. Młodsza córka cieszyła się na ten wyjazd, nie przejmując się sprawami politycznymi. Jej nie obchodził świat układów i stronnictw – wierzyła mocno w siłę swojego nazwiska, piękne stroje i władczych ludzi. Kto zaś zasiadał na tronie – ten czy tamten – nie tylko nie zajmowało głowy, ale nawet nudziło.

\*\*\*

Gdańskie władze postanowiły, że uroczystości powinny przebiegać zwyczajnie, a obecność Contiego na oliwskich wodach nie może zakłócić ceremoniału. Mimo to, możni byli całą sytuacją nieco

skrępowani, a zwykli mieszczanie – rzemieślnicy i kupcy – radowali się bez troski.

Powóz van der Bergów skręcił z Długiej i wjechał w kręte uliczki. Zewsząd wychodziła masa ludzi, jedni ubrani odświętniej od drugich. Lisa przybrała znudzoną patrycjuszowską minę na znak, że jest wielką osobistością i wyglądała z okien powozu, patrząc ponad głowami ludzi. Po prawdzie miała wywołać fale rzewnych spojrzeń, ale nie udało jej się to – Gdańsk przyzwyczajony był do młodych twarzy, lawendowych sukien i pięknych ozdób. Patrzono więc na Lisę jak na zachodnią patrycjuszkę, którą w rzeczywistości była, ale nie kpiono z niej ani jej nie podziwiano.

Kiedy panna van der Berg zdała sobie sprawę, że wielki wjazd na nikiem nie zrobił wrażenia, a jej znudzona mina nie różni się od wydętych warg pozostałych patrycjuszy, jak niepyszna schowała głowę z powrotem do karety.

– Matko, gdzie jedziemy?

Przejeżdżały właśnie ulicą Świętego Ducha. Powóz stanął.

– Udam się do szanownego pana Melchiora de Polignaca w sprawie pieniędzy. Wąsik zawiezie was przed Zieloną Bramę i tam się zatrzyma. Przejdziecie pod nią i jeśli koniecznie chcecie, to popatrzcie sobie na te uroczystości. Ale z nikiem nie waźcie się rozmów zaczynać! Wąsik odczeka, a potem po mnie wróci.

Ostatnie słowa Wanda skierowała już do wysłużonego woźnicy. Ten tylko skłonił się na koźle, poczekał, aż pani wysiądzie, a potem trzasnął batem i konie ruszyły w stronę Długiego Pobrzeża.

Siostry jechały w milczeniu. Lisa rozsiadła się wygodnie, ale gdy powóz przejechał pod Bramą Chlebnicką i wjechał na Długie Pobrzeże, znowu niecierpliwie wyjrzała przez zasłonki. Było warto – przed nią rozpościerały się wody nadmotławskiego portu wraz z wielkimi okrętami i mniejszymi, wiślanymi łodziami. Ruch w porcie był duży. Po drugiej stronie, na którą prowadził zwodzony Zielony Most, rozpościerała się Wyspa Spichrzów, a dalej, już za nimi, Ołowianka wraz ze Spichrzem Królewskim.

Naraz Ludwika, która uważała młodszą siostrę za wiercipiętę, sama przypadła do okienka powozu. Kareta zachybotowała się pod

wpływem nagłego wstrząsu, aż woźnica Wąsik obrócił się zaniepokojony.

– Siostró, co wyprawiasz? Na co patrzysz? Na tę kramnicę z szyldem Stein? Znałaś może taką rodzinę w dzieciństwie?

– Nie! – oburzyła się Ludwika, trochę zbyt mocno.

Odsunęła się nieznacznie od okienka, by nie wzbudzać więcej podejrzeń i zaczęła przeliczać, ile rodzin o nazwisku Stein mogło znajdować się w Gdańsku. Wyszło jej, że choćby więcej, niż jedna, to i tak mało prawdopodobne, że kto inny zajmuje się kupiectwem, tak samo jak ród Floriana Steina.

Wąsik zatrzymał powóz przy Zielonej Bramie. Lisa wyszła z godnością, ale wciąż podpatrywała na siostrę nieufnie.

– Powiesz mi, czemu jak urzeczona wpatrywałaś się w tę kramnicę?

Ludwika nie odpowiedziała, co Lisa natychmiast uznała za przejaw złej woli. Westchnęła głośno i rozejrzała się dookoła.

Byli tu ludzie wszystkich stanów i majątności – od nędzarzy po szlachtę. Tu i ówdzie ślaniali się żebracy w podartych łachach, gdzieś wędrowni kupcy głośno oferowali wyroby. Zewsząd rozlegały się urywki różnojęzycznych rozmów, krzyki, wrzaski i wiwaty. Chichoty możnych panien mieszały się z muzyką dobiegającą z Długiego Targu.

Za mostem marynarze rozładowywali towar – ogromne beczki z ostrygami, solą i przeróżnymi owocami, które w Polsce nie rosły. Inni, już po robocie, charkali nieprzyjemnie do Motławy i raczyli się gdańską gorzałką. Na marynarzy każdy prócz szlachty uważał, bo byli to ludzie znani z awantur, skorzy do bitek.

Zielona Brama oddzielała dwa światy gdańskie – patrycjuszowski i portowy. Kiedy damy przeszły pod skrzydłem, cuchnąca mułem Motława została za nimi. Wyłoniły się za to wspaniałości Długiego Targu, znanego wszem i wobec z przepychu. Lisa ogarnęła wzrokiem cudowne kamieniczki i przypomniał jej się Amsterdam. Ponieważ jednak nikogo w nim nie zostawiła, a przyjaźnie urywały się szybko, bez żalu chłonęła teraz wspomnienia, napawając się wielkomięską, portową strukturą miasta.



Wrzawa niosła się aż do Długiego Pobrzeża, ale dopiero teraz uszy Lisy wyłowiły dźwięki trąb oraz bębnow. Muzyka dobiegała z wielu patrycjuszowskich domów, a także z Dworu Artusa, słynącego z hucznych zabaw. Po Długim Targu przechadzało się mrowie ludzi, jedni prezentowali się pyszniej od drugich. Wszyscy świętowali tutaj – w sercu Gdańska.

– Matce spodobają się te uroczystości – oznajmiła Lisa.

Ludwika pokręciła głową w odpowiedzi. Zaczęła docierać do niej powaga sytuacji i martwiła się, co będzie, jeśli nieprzyjazny matce Sas rzeczywiście umocni się na tronie, a przychylny im książę odpłynie jak niepyszny. Teraz Ludwika zrozumiała wyraźniej, że chodzi nie tylko o wpływy czy francuskie pieniądze, ale przede wszystkim o przychylność zwycięzców. Bez ich poparcia francuska mamona oraz grosiwo po van der Bergach rozplynie się w niebycie, a wraz z nim wszystkie trzy damy. I trzeba będzie wrócić do Amsterdamu, gdzie matka nas wyda rychło za mąż, by tylko zapewnić nam godny byt i sobie spokojną starość – myślała, patrząc w tłum. I z jakiegoś powodu wcale nie miała ochoty wracać do Niderlandów ani szykować się na kolejny ożenek. Poczwała w sercu ukłucie – zapragnęła dowiedzieć się, czy Florian Stein mieszka w mieście.

Tymczasem Lisa w tłumie dostrzegła kątem oka wysokiego szlachcica, którego obawiała się spotkać. Długim Targiem pewnym krokiem przechadzał się Aleksander Sebastian Jezierski w całym majestacie. Ubrany był w piękny bordowy kontusz z lśniącymi guzami, a smukłą talię oplatał pas przetykany złotymi nićmi. Pod kontuszem lśnił jasny żupan, którego rękawy również zdobiły złote guzy. Przy boku szlachcica spoczywała szabla. Upierścienione dłonie poprawiały właśnie zagięty haft, gdy szaroniebieskie tęczęwki Aleksandra spoczęły na przerażonym wejrzeniu Lisy.

– Ten to się z pewnością do nas przyczepi, jak poprzednio. Matka nas pozabija – szepnęła Lisa.

– Nie myślę, że się przyczepi. Ostatnio skutecznie go zniechęciłaś...

Ludwika nie zdołała dokończyć myśli, bo wokół powstał niespodziewany chaos. Lisa, niepomna swojej van der Bergowskiej

dumy, po prostu się za nią schowała, Aleksander Jezierski wybałuszył na to oczy ze zdumienia, po czym wybuchnął gromkim śmiechem, a idący z tyłu ojciec szlachcica rozejrzał się zdumiony, szukając powodu nagłej uciechy syna. I w ten właśnie sposób Ludwika dostrzegła postarzałą, ale wciąż piękną, twarz Konrada Jezierskiego.

Damy zamarły – każda z innego powodu. Lisy w ogóle nie wzruszał Konrad – wszak go nie znała. Zza ramienia starszej siostry spoglądała na młodego Aleksandra, który w tym momencie śmiał się już nieprzytomnie, stojąc pośrodku Długiego Targu. Ludwika, zdjeta przerażeniem z powodu widoku Konrada, stała nieruchomo, jakby została wmurowana.

Konrad przemówił do syna, nachylając się nad jego uchem. Na jego twarzy widać było dezaprobatę – musiał przywołać Aleksandra do porządku, bo ludzie poczęli patrzeć ze zdumieniem, a nawet nieco zwalniali. Można było szeptać między sobą, zasłaniając usta wachlarzami, panowie zaś patrzyli na szlachtę z gniewem lub uciechą, zależnie od poglądów politycznych. Wśród nich nie zabrakło zgorszonych rajców, karcących w duchu młodzieńcze skłonności do swawoli oraz złe wychowanie szlachty.

Lisa nie słyszała słów Konrada, ponieważ stały z Ludwiką zbyt daleko. Uznała, że ten moment należy wykorzystać na ulotnienie się z Długiego Targu – im szybciej, tym lepiej. Jednak nie dane jej to było. W tym momencie muzyka grana we Dworze Artusa przestała grać, za to z ratusza popłynęły poważne dźwięki *Te Deum Laudamus*. Jednocześnie pod Zieloną Bramę wjechał powóz van der Bergów wraz z Wandą. Wskazała Wąsikowi, gdzie znajdują się córki. Trzymając konie stępem, poprowadził w stronę dwóch postaci w sukniach. Tu i ówdzie zaczęto szeptać, że nadjeżdżają „van der Bergi z francuskimi pieniędzmi”.

Wieść ta roznosiła się falą po całym Długim Targu, bowiem już od kilku dni zastanawiano się, kim jest tajemnicza dama, która wspomogła Polignaca i utrzymuje całe stronnictwo francuskie w regionie gdańskim. Ci, którzy już ją widzieli, szepotali teraz innym wszystkie nowiny, a każdy przyglądał się pani van der Berg z niekłamaną ciekawością.

Powóz zajechał do pańienek i Wanda wysiadła, czując na sobie spojrzenia możnych. Poczwała niepokój, czy przypadkiem nikt jej nie pozna – była przecież banitką, igrającą swoim życiem w sposób absolutnie bezczelny. Naraz jednak dumnie uniosła głowę, pokazując tym samym godne pochodzenie. Dołączyła do przestraszonych pańien, zupełnie nie pojmując ich sztywnego zachowania. Tymczasem należało rozpocząć śpiewanie, bo kolejne dźwięki sączyły się z ratusza. Lud przystanął i wszyscy pomiędzy szeptami wyśpiewywali głośno.

– *Te Deum laudamus, Te Dominum confitemur. Te aeternum Patrem omnis terra veneratur!*<sup>2</sup>

Głosy kobiece i męskie, wysokie oraz niskie – tony mieszały się ze sobą, tworząc chór. Muzyka z ratusza z pewnością docierała do redy oliwskiej, ale właśnie teraz nikogo to nie obchodziło – Gdańsk oddał Augustowi II symboliczny pokłon.

\*\*\*

Konrad też śpiewał, wpatrując się w wieżę ratuszową. Dochodziły do niego irytujące szeptu gawiedzi, więc kiedy skończyła się zwrotka, wychylił się nieco w stronę czterech dam, by zwrócić im uwagę. Powstrzymał się jednak, bowiem to, co usłyszał, bardzo go zainteresowało.

– Ta karetu Barbary van der Berg nad wyraz skromna. Powiadają, że roztrwonila majątek na długi Polignaca i musiała swój powóz sprzedać.

– Ja słyszałam, że Barbara van der Berg już jak niepyszna odjeżdża z Żałobnego Dworu do Amsterdamu.

– To na pewno ona?

– Tak, nie dalej jak kilka dni temu widziałam ją w towarzystwie Polignaca.

– Stara się wydaje.

– O, bo ty młoda!

Tak rozprawały szeptem gdańskie patrycjuszki, zważając, by w odpowiedniej chwili włączyć się w chór przy kolejnej zwrotce.

Konrad, który słyszał już przecież o tajemniczej damie van der Berg, spojrział w stronę powozu. Nieco w oddali dostrzegł skromną karete, ciągniętą przez czworo koni. Na koźle siedział wąsaty chłop, a przy tylnym kole stały trzy damy w sukniach. Jedna z nich, najstarsza, nie śpiewała wraz ze wszystkimi, lecz rozglądała się w tłumie. Odległość była spora, ale Konrad dostrzegł, że twarz tajemniczej patrycjuszki niezmiernie mu kogoś przypomina. Postąpił kilka kroków naprzód, zmrużył oczy i nagle jego serce zakołatało jak młotem.

Wanda nie od razu zauważyła, że przygląda jej się Konrad Jezierski. Przez chwilę po prostu czuła się obserwowana, ale sądziła, że to oczy możnych mieszczan. Tymczasem, gdy czyis wzrok wyraźnie zaczął ją palić, rozejrzała się intensywniej. Szybko napotkała uważny wzrok.

Nagle fala gorąca wpłynęła na jej twarz, ciało zadrżało. To był on – jej największa miłość i najgorsze przekleństwo. Człowiek, którego niegdyś kochała nieprzytomnie i który tak boleśnie ją zranił, zabierając siebie, a w zamian dając życie.

Jakże mogła czuć się Wanda po dwudziestu latach od tamtych wypadków? Jeśli komuś wydawało się, że emocje z niej opadły i rozpatrywała dawne wydarzenia trzeźwo, srodze się pomylił. Pani van der Berg poczuła, że ciało się naprężyło, ale równocześnie słabnie. Reakcja organizmu tak ją przeraziła, że musiała przytrzymać się powozu, aby nie omdleć. Córki przypadły ku niej i przytrzymały za ramiona, ale odepchnęła je stanowczo, trochę zbyt brutalnie. Choć lica płonęły jej żywym ogniem, odwróciła wzrok od swojej dawnej miłości i prędko schowała się za wozem.

Córki popatrzyły po sobie. Wzrok Lisy był pełen pytań, Ludwika – politowania. Starsza siostra zdała sobie sprawę, że dwie bratnie dusze znów się połączyły, jeśli nawet nie mową, to spojrzeniem, a przecież spojrzenie często wyraża więcej niż słowa. Z tego powodu Ludwika poczuła żal i nagle cały pobyt w Rzeczypospolitej wydał jej się głupi.

\*\*\*

Skończono odśpiewywać *Te Deum*. Tłum począł ruszać się z początku niemrawo, ale zaraz w gdańszczan wstąpił wigor – w końcu obrano króla. Wierzono, że nowy monarcha może uleczyć Rzeczpospolitą, przywrócić Polsce dawną świetność, pojednać magnatów i szlachtę, a pospolite ruszenie odzyska zagrabione ziemie.

– Do powozu, ale już – nakazała Wanda.

Panienki nie zdążyły wsiaść, bo już ktoś z tłumu zakrzyknął.

– Miła pani Barbaro!

Zatrzymały się wszystkie trzy, wiedząc, jak nietaktownie byłoby teraz odjechać. Choć Wanda obawiała się, że Jezierski podejdzie, by porozmawiać, a także obawiała się, że wcale nie podejdzie, zaczęła przy powozie, przybierając grzeczny uśmiech. Przez tłum przepychał się przyjaciel Polignaca – pan Jean Sorel.

– Szanowna, miła pani Barbaro, ale my im jeszcze pokażemy, co? Jeszcze Conti nie odpłynął, tylko trzeba rozmowy zacząć. Nie przypuszczałem, że tutaj miłą, piękną panią spotkam. Jak Boga szczerze miłuję – co za widowisko! Jeszcze tylko bram triumfalnych brakuje i rzeźb z antycznymi boginiami na cześć tego rozpustnika, tego bezbożnika, a fe! Podobno Sas tam tylko panienki wyszukuje, którą by tu... A zresztą, nie będę przy damach powiadał, bo to wstyd. Wybaczcie, panienki moje niegrzeczne zachowanie. A to córy, tak? A jak się córy mianują? Jak...? Ach, piękne panienki, piękne. Ale już chyba czas na ożenek? Ach, pomarł? Pomarł panience mąż? Ot, tak się czasem zdarza, głowa do góry, trzeba następnego znaleźć, bo żeby tak całe życie w staropanieństwie?

Sorel wypluwał z siebie potok słów, trzęsąc posiwiałą głową w stronę panien. Wanda nienawidziła w tej chwili i jego, i całego Gdańska, i w ogóle całej Rzeczpospolitej. Jednak wrogość nie odbijała się w jej oczach, skryła ją głęboko na czas rozmowy politycznej. Nieznacznie uśmiechnęła się jeszcze kilka razy, odpowiedziała obojętnie na kilka życzliwych pytań, a potem z ulgą podała dłoń do pożegnania pocałunku.

– Mógłbym i ja się z szanowną panią rozmówić? – usłyszała czyiś głos.

To był jego głos. Sorel odwrócił się niechętnie w stronę Jezierskiego, zmierzył politycznego oponenta wrogim spojrzeniem

i jak niepyszny opuścił damy van der Berg.

Wanda bała się spojrzeć na dawną miłość. Chabrowe oczy omiotły postawną sylwetkę i spoczęły na synu Konrada. Dygnęła przed szlachtą uprzejmie, a zaraz za nią tak samo skłoniły się panny.

– Pani Barbaro – zwrócił się do Wandy Konrad – oto syn mój Aleksander Sebastian Jezierski.

– A oto córki moje – Anna i Lisa, jaśnie panie.

Panny ponownie się skłoniły. Ludwika zmieszała się tym teatrem. W końcu matka nazwała ją Anną przed osobą doskonale znającą jej prawdziwe imię. Natomiast Lisa zarumieniła się pod wpływem spojrzenia Aleksandra. Było ono wyzywające, ale nie obraźliwe. Co za niewychowane panisko – pomyślała. Jednak na wszelki wypadek nie odzywała się, pamiętając gniew matki.

– Pani nie patrzy na mnie – zwrócił uwagę Konrad.

Uwaga była nieśmiała, a zarazem czarująca. Wanda powoli podniosła wzrok, choć bała się ponownie spojrzeć w oczy szlachcica, którego kiedyś kochała do szaleństwa i przez którego cierpiała niewymownie.

– Rozumiem, że rozmowa z politycznym przeciwnikiem nie cieszy sławetnej pani i ciąży na dobrym sercu.

Konrad nie tracił rezonu i mówił składnie jak zawsze, choć w tonie jego głosu dawało się wyczuć miękkość.

– Rzeczywiście, nie widzę powodów, dla których polityczni wrogowie mieliby ze sobą rozprawiać.

Niemiała uwaga Wandy pozornie dotyczyła polityki, ale tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. Przynajmniej nie muszę udawać, że się lubimy – pomyślała. Wreszcie odważyła się spojrzeć na Konrada celowo i wnikliwie, nie zaś przelotnie jak wcześniej.

Z lekkim grymasem na twarzy lustrowała jego oblicze. Źrenice wyłapywały każdą zmarszczkę i zmianę w rysach. Przy skroniach srebrzyła się siwizna, piękne loki przerzedziły się nieco. Był to jednak ten sam człowiek, co kiedyś – ten sam Konrad Jezierski z całą swoją pamięcią, karminowymi ustami, które kiedyś całowały jej wargi, i z żołnierskimi dłońmi, spoczywającymi dwadzieścia lat wcześniej na jej nagich piersiach. I cóż miała mu teraz powiedzieć?

– Nawet polityczni wrogowie mogą znaleźć nic porozumienia – uśmiechnął się.

Odwróciła wzrok i przez moment wydawało jej się, że nie wytrzyma tego uśmiechu. W owej chwili wołała już pójść na tortury, byle tylko Konrad Jezierski zszedł jej z oczu i pozwolił zapomnieć. Przez głowę przemknęło, że szlachcic też nie mówi o polityce, tylko chce się pojednać i jest pod wrażeniem nowej Wandy – teraz właściwie Barbary van der Berg.

Konrad istotnie był pod wrażeniem. Dwadzieścia lat wcześniej zegnał przy porcie żalostną chłopkę, teraz rozmawiał z możną panią, której pieniądze spędzały sen z powiek Marii Kazimiery i stronnictwa saskiego. To zmiana wręcz niesłychana. Widział oczywiście, że Wanda jest mu niechętna i prawdopodobnie dawne urazy w niej pozostały, lecz uznał, że to chwilowe; zaraz będzie jak dawniej.

Wszystko mu się w niej podobało – i ozdobna chusta, skrywająca włosy, i suknia, nade wszystko twarz. Pozostała krucha i piękna, ożywiona dwoma chabrowymi punktami, patrzącymi teraz wszędzie, byle nie na niego. Niewielkie zmarszczki dodawały Wandzie lat, ale Konrad miał świadomość upływającego czasu, wiedział, że sam również bardzo się zmienił. Zatem, nic sobie z tego nie robiąc, wciąż próbował pozyskać choć cień sympatii.

– Może byś, miła pani, stronnictwo zmieniła? Z Burbona już raczej nic nie będzie.

Uwaga miała zabrzmieć żartobliwie, lecz Wanda wyczuła ironię. Gniew w niej odżył i uderzył z całą mocą – nie dość bowiem, że szlachcic porzucił ją uprzednio na obcym okręcie, to jeszcze teraz miał czelność wyśmiewać się z jej porażki! Niedoczekanie twoje, psi synu – pomyślała zawistnie. Choć dawne uczucie zmieniło oboje, Wandę dużo bardziej.

– Nie musisz się, jaśnie panie, zajmować moimi sprawami. Za troskę dziękuję. Musimy jechać.

Liczyła, że nie zatrzyma jej, widząc na twarzy zaciętość. Konrad istotnie zmarszczył brwi, pojmując powagę sytuacji. Poczul w sercu ukłucie żalu, sam nie wiedział, czy ma coś dopowiedzieć, czy jedynie zmilczeć ukłony trzech dam. Zaczekał, aż wsiądą do powozu,

gorączkowo szukając w myślach pretekstu do wymiany kilku słów więcej.

W końcu położył dłoń na kole, dając Wąsikowi znak, by jeszcze nie ruszał.

– Słyszałem, szanowna pani, żeś się zatrzymała w Dworze Żałobnym szlachcica Wolfganga Woyciechowskiego.

– Jakże szybko się wieści rozchodzą, jaśnie panie.

– Czy wiesz, pani, jaki z niego awanturnik?

Pytanie zabrzmiało tak natarczywie, że z kozła odwrócił się nawet zdumiony Wąsik. Konrad wbił w chłopca stalowe oczy, dając do zrozumienia, by nie podsłuchiwał, a potem przeniósł wzrok na Wandę. Kryła się w nim niema prośba, na którą pani van der Berg odpowiedziała surowym wejrzeniem chabrowych tęczówek.

– Ja nie mam żadnych frasunków z powodu jaśnie pana Woyciechowskiego. Listy wymieniamy między sobą, a niebawem nadjedzie, by mnie odwiedzić i przenieść się ze mną z dworu do Gdańska. Po słowie jestem z jaśnie panem Woyciechowskim – dodała nieco zniżonym głosem.

Nie była to prawda, choć Woyciechowski pisywał coraz czulsze listy i wyrażał nadzieję, że Wanda pozostanie w północnej Rzeczypospolitej. Stąd daleko było jeszcze do ożenku, jednak teraz dla pani van der Berg liczyło się tylko to, by Konrad poczuł zazdrość. Z satysfakcją obserwowała tężejącą twarz pięknego szlachcica. W jasnych oczach ujrziała dwa gniewne ogniki.

– Dobrze, miła pani Barbaro. Wracaj więc do włości Woyciechowskiego, lecz uważaj na jego niespokojną naturę. Oboje dobrze wiemy, że awanturnik i zabijaka to niedobry materiał na męża.

Purpura wystąpiła na lica Wandy. Co za nikczemnik. Ostrzega mnie przed Woyciechowskim, jakby dorównywał okrucieństwu Schulzowi – pomyślała. Wiedział, że właśnie pierwszego zmarłego męża Wandy miał na myśli Konrad.

Skłoniła się lekko w powozie i dała znak Wąsikowi, by ruszał. Konie poniosły karete przez Długi Targ i choć Wanda nie odwróciła się ani razu, wciąż czuła na sobie spojrzenie. Zacisnęła zęby, by powstrzymać wzruszenie.



---

2 *Te Deum laudamus, Te Dominum confitemur. Te aeternum Patrem omnis terra veneratur* –  
Ciebie, Boże chwalimy, Ciebie, Panie, wysławiamy. Tobie, Ojcu Przedwiecznemu  
wszystka ziemia cześć oddaje.

## VII



Zrobiło się chłodno i zaczęła się pora nieprzyjemnych deszczy. Słota panowała w całej północnej Rzeczypospolitej, więc początek października damy spędziły w Totenhofie. Wynudziły się okrutnie, zwłaszcza Lisa, przyzwyczajona do towarzyskich uroków Amsterdamu. W dodatku nocą bywało w letniej rezydencji już dość zimno.

Księżę Conti nie poczynił żadnego kroku, by zjednać sobie nowych stronników. Tkwił wciąż na redzie oliwskiej w swym okręcie L'Adroit, a wraz z nim pozostałe statki francuskie. Coraz częściej powiadano, że Burbon to po prostu pierdoła albo że tronu wcale nie chce. Niechętnie patrzyli na niego nie tylko władarze Gdańska, ale też opat klasztoru oliwskiego i bogaci rezydenci podmiejskich dworów. Wszyscy uważali, że wybrano elekta, który bardziej się postarał i pierwszy dokonał koronacji.

Jednak – pomimo opieszałości francuskiego księcia – pod Gdańsk przybywali stronnicy Contiego z całej Rzeczypospolitej, wraz z wojskiem. Władze miasta obserwowały nowe wypadki ze zmartwieniem – wypadało działać prewencyjnie. Zwerbowano więc trzystu dodatkowych żołnierzy oraz dwudziestu kawalerzystów. Powołano chorągwie obywatelskie i wzmocniono garnizony. Pobrano też nowy podatek, na co mieszczanie zareagowali niechęcią.

Garnizonom gdańskim dowodził Jakub Kemphen, o którym wcześniej burmistrz Schmieden rozmawiał z Konradem. Pomny słów szlachcica, postanowił wypytać pułkownika o przygotowania obronne. Ku jego zaskoczeniu – wszak Jezierski zasugerował, że Kemphen to bumelant i nie wykazuje inicjatywy – dowodzący przedstawił listę żądań, uznając poczynione kroki za

niewystarczające. Na polecenia Kemphena władze zareagowały sceptycznie.

- Tysiąca żołnierzy żąda pan pułkownik do obrony garnizonu? Trzech oficerów i tylu też kaprali dla sześćdziesięciu kawalerzystów? A ponadto pięćdziesięciu dragonów? Wolne żarty, czy Kemphen uważa, że kasa miejska się rozciąga? Skąd my mu weźmiemy? I skąd tylu ludzi?

Naradzano się. Ostatecznie z tysiąca żołnierzy zrobiło się czterystu. Powołano też dwie kompanie obywatelskie i spełniono część żądań. Gdańsk oczekiwał na dalsze poczynania wojsk. W mieście zrobiło się nieprzyjemnie i trwoga wstąpiła w serca mieszkańców. Nawet po szynkach opowiadano o nowych rewelacjach. Zakłady rzemieślnicze, choć otwarte jak zwykle, zajmowały się teraz nie tylko robotą, ale też wymianianiem poglądów. Obwoźni kupcy, młynarze, naukowcy, duchowni – wszyscy z niepokojem oczekiwali dalszych wydarzeń.

\*\*\*

Konrad był niespokojny. Przechadzał się po mieście, z łatwością rozpoznając nastroje mieszczan. Większość patrzyła na niego z lękiem lub niechęcią. Szybko ludziom przychodzi nienawiść, gdy sytuacja się zmienia. Najpierw śpiewali *Te Deum* na środku Długiego Targu, a teraz najchętniej obwołaliby królem kogokolwiek, byle nie Sasa. Oto, co bojaźń robi z człowiekiem – rozmyślał. Dalej jego rozważania szły w kierunku dworku Totenhof, w którym mieszkała istota niczego się nieobawiająca, z premedytacją mieszkająca w polityce miasta, z którego niegdyś została wyrzucona.

Konrad zastanawiał się, czy złożyć polityczną wizytę pani van der Berg, czy zaniechać i czekać na rozwój wypadków. Jednak wiedział doskonale, że jest mu niechętna i dawna rana wcale się nie zagoiła. Wynikał z tego prosty, logiczny wniosek – jeśli tylko Wanda poczuje, że przegrała, wyjedzie z północnej Rzeczypospolitej, być może na zawsze.

Ale przecież jest po słowie z Wolfgangiem Woyciechowskim. Tak właśnie powiedziała, że jest z nim po słowie – dumiał i nagle uczucie

irytacji szarpnęło mu w żołądku, promieniując do serca. Przysunął fotel do kaflowego pieca i usiadł na nim, rozmyślając. Czuł, że Wanda zmieniła się bezpowrotnie, ale w kogo – tego nie potrafił ocenić.

Wydawała mu się dużo bardziej harda niż kiedyś. Zniknęła jej trwoźna natura, wyostrzył się za to buntowniczy charakter. Niewątpliwie musiała przejść wiele, w końcu z banitki stała się możliwą panią. W dodatku przy powozie stały dwie córki, czyli oprócz Ludwiki musiała urodzić się jeszcze jedna – z pewnością poczęta z owego van der Berga.

Do izby wszedł Aleksander i przerwał rozmyślenia ojca.

– Umiłowany ojcze, władze miasta nie wiedzą, co robić. Książę Conti naradza się właśnie na statku ze swoimi stronnikami, nawet na ład tchórz nie schodzi. Tymczasem chłopcy uzbroili się jako wolni strzelcy, bo niespokojnie we wsiach podmiejskich się robi. Choć zwolenników Contiego wcześniej ubywało, to naraz zaroilo się od nich, poprzyjeżdżali, żeby pertraktować i wpłynąć na rajców, ławników i ordynki. Rada okrutnie się martwi, bo powstają grupy wspierające Contiego, a przecież zaledwie kilka dni temu miasto uznało Sasa królem.

Konrad zasępił się. Teraz wyglądał rzeczywiście jak stary żołnierz, mający lata świetności dawno za sobą. Siedział w fotelu zgarbiony, niechętny politycznym dyskusjom.

– Cóż postanowiła Rada?

– Milczy, ojcze. Z ratusza wypłynęły poufne wieści, że rajcy chcą ograniczyć napływ francuskich szkodników do miasta. Magnatów chcą też bez świty wpuszczać lub zaledwie z dwiema osobami do pomocy. Już się słyszy tu i ówdzie, że będzie zakaz dla obywateli, by z wrogim obozem nie rozprawiał wcale.

– Będą karać zwolenników Contiego.

Aleksander popatrzył na ojca z niekłamanym podziwem. Stary Jezierski nauczył się wiele od Jana III i umiał trafnie przewidzieć, co się stanie.

– Co się jeszcze wydarzy, ojcze?

– Bóg raczy wiedzieć, ale wygląda to bardzo niedobrze. Już od kilku dni wstrzymano wywóz broni z miasta, bo mogła trafić we

francuskie ręce. A dzisiaj jeszcze słyszałem, że odbyło się przemówienie w jednej z karczm na cześć Contiego, władzom miasta na pohybel. Jeśli nie powstaną zamieszki wewnątrz Gdańska, to z zewnątrz nas zaatakują.

– Co robimy, ojczy? Czy wyjeżdżamy?

Konrad spojrział ostro na syna.

– W żadnym wypadku. Nas nikt przecież nie tknie, a jeśli są sprawy żołnierskie do zakończenia w tym mieście, to zamierzam działać. Conti nie zostanie królem Rzeczypospolitej, choćby teraz na głowie stawał. Póki co Francuzi nie dostali zakazu wstępu do miasta i nawet Bart wstąpił, by zaopatrzyć statki w świeżą żywność.

– A więc miasto jest bezpieczne?

Konrad wstał. Zaczął miarowo przechadzać się po pokoju i tłumaczyć synowi, jak się sprawy mają.

– Miasto pomiędzy dwoma lwami się znalazło. Próbuje rzucać kawałki mięsa jednemu i drugiemu w nadziei, że żaden nie skoczy do gardła. Jeśli Gdańsk nie będzie wierny monarsze, Sas gotowy wysłać wojsko, a do tego nie można dopuścić. Jak Conti się obrazi, a wojska Sapiehy tu dotrą, miasto będzie musiało się bronić nie tylko z zewnątrz, ale też od wewnątrz, bo rosą naciski przyjezdnych na Radę.

– Czy nie można wyłożyć więcej na obronę miasta?

– Nie ma na to mamony. Żądania Kemphena odrzucono jako wygórowane, a przecież on się nie domagał złotego słonia na łańcuchu, tylko tysiąca ludzi. Weź jednak zwerbuj ich, powołaj i daj im żołd. Nie ma z czego.

Cisza zawisła w powietrzu. Tylko z Długiego Targu dochodziły okrzyki straganiarzy i śmiechy. Zbliżał się wieczór. Konrad rozmyślał, jak dalece może zmienić się położenie Wandy, jeśli nadal będzie wspierała Burbona i trwała przy Woyciechowskim.

– Każ służbie zaprzęgać konie – powiedział znienacka. – Jedziemy do pani van der Berg.

\*\*\*

W tym czasie Ludwika, za zgodą Wandy, wyruszyła do miasta. W jej głowie kłębiły się myśli o dawnych ulicach, sentyment odżywał z każdą chwilą. Przejazdźka do Gdańska miała zakończyć się u wrót kramnicy Steinów – takie powzięła postanowienie.

Powóz stanął na Długim Pobrzeżu, kiedy akurat przestało mżyć. Mimo to wieczór był chłodny, a port wyglądał na opuszczony. Wpływał doń tylko jeden okazały okręt, powoli wylaniający się z mgły. Po drugiej stronie, na Wyspie Spichrzów, miernicy zbożowi kończyli pracę.

– Jaśnie panienko, niebawem pocznie się ściemniać. Czy będziemy wracać w mroku? – zapytał z kozła chłop Wąsik.

– Nie, wracać będziemy za dnia, tylko się rozmówię. Czekaj tu.

Do bogatej kramnicy wchodziło się przez ozdobne drzwi opatrzone żeliwną kratą. Widocznie znaczenie kupieckiej rodziny Steinów wzrosło, bo na takie zbytki mało który handlarz mógł sobie pozwolić. Serce Ludwiki ścisnęło się z nerwów. Tyle potrzebowała – zobaczyć znowu piegowatą twarz, spojrzeć w rozmarzone oczy, wychwycić zawadiacki uśmiech.

Kramnica Steinów prezentowała się dostojnie. Skąpane w półmroku wewnątrz oświetlało jedynie kilka świec ustawionych w kandelabrach, z daleka od wyrobów. A tych było mnóstwo; Ludwika przechadzała się między długimi regałami, podziwiając gdańskie kufle, zastawy z herbem miasta, drogie zegary i przede wszystkim tkaniny – od delikatnego zamorskiego jedwabiu po ciężkie kurdybany. Na drabinach wystawiono też atlas, bombasyn i różne rodzaje sukna, jedne gładkie, inne zaś przetykane srebrnymi i złotymi nićmi. Tuż przy materiałach, w oszklonych gablotach, Steinowie wystawili złote guzy, bursztynowe spiny oraz wszelkie inne ozdoby, perłowe i tańsze – cynowe.

Im dalej szła, tym więcej wspaniałości gdańskiego kupiectwa pieściło jej oczy – wszystko kunsztowne, wykonane przez najlepszych rzemieślników, nierzadko kiedy sprowadzane z Holandii.

– Kłaniam się uprzejmej pani do stóp – usłyszała głos z końca długiej kramnicy.

Wyjrzała zza regałów i zobaczyła, jak starszy, przygarbiony nieco, mężczyzna istotnie kłania się przed nią po kupiecku, a jednocześnie po patrycjuszowsku – z nabożnym szacunkiem, głęboko i powoli.

– Czego potrzebujesz, nadobna pani? Pewnie materiału? Mamy tu sukno flandryjskie najwyższej próby, wczoraj sam sprawdzałem. Jeśli jednak flandryjskie niedobre, to proszę dotknąć angielskiego – przecież to jak dotknąć nieba.

Tu podstarzały kupiec uważnie spojrział na twarz Ludwiki, by wyczytać, czy tego właśnie potrzebuje.

– Nie po sukno przybyłam – odpowiedziała.

Przyjrzała się rudej, poważnie siwiejącej już czuprynie. Zadarty nos, tak przypominający nos dawnego przyjaciela, jasne oczy i piegi – ten mężczyzna był niewątpliwie ojcem Florka, czyli samym panem Steinem.

– W takim razie wybacz, pani, że od sukna zacząłem. Sukno najbardziej oczywiste mi się zdało.

Tu stary Stein znowu skłonił się z nabożnym szacunkiem, przywykły do obsługiwania najbardziej wymagających klientów, czasem nawet z magnackich rodów.

– Mam tu najlepszy aksamit w mieście, nigdzie nie dostaniesz, pani, takiego jak u Steina, to ci powiedzą wszyscy. Tu jest aksamit czysty, a ten oblekli srebrem i złotem najwięksi mistrzowie. Mam też unikat – aksamit z guzami bursztynowymi.

Tu pan Stein zaprezentował kosztowny materiał. Ludwika zdołała jedynie pokręcić głową, że wcale nie o to jej chodzi. Już otwierała usta, ale sprytny kupiec ją ubiegł:

– Jakże niedomyślny byłem! Tobie, szanowna pani, pewnie wcale nie o aksamit szło. Zatem filc? Bombasyn? Mamy bombasynu wiele, z Niderlandów przyplynał w zeszły piątek. Nie bombasyn jednak? To może zegary? Jednak meble?

Ludwika kręciła głową, aż w końcu wykorzystwała chwilę przerwy.

– Floriana Steina szukam!

Stary Stein myślał, że ma przygotowaną odpowiedź na wszystko. Tymczasem usłyszawszy, że patrycjuszka niczego nie chce kupić, tylko rozmówić się z jego synem, zaniemówił ze zdumienia. Zmarszczył brwi, przybierając urażoną minę.

– Zaraz go zawołam, pani.

Poszedł wprost do przybudówki kramnicy, wciąż obrażony, że patrycjuszka zawraca mu głowę, choć wcale nie przyszła niczego kupić.

Ludwika została sama. Z bijącym sercem oczekiwała na przyście przyjaciela, gorączkowo zastanawiając się, czy ją pozna, czy pamięta. Była dziwnie spokojna, że jej nie wyda, choć przecież to on przed laty rozczytał dla niej list Barbary Schwarz. Wtedy widzieli się po raz ostatni.

Kurdybanowa zasłona oddzielająca przybudówkę od kramnicy zatrzepotała, po czym z ciemności wyszedł postawny, młody mężczyzna – niewątpliwie Florian Stein.

Zmienił się bardzo – urósł prawie na dwa metry, zmężniał, choć pozostał szczupły. Niegdyś uśmiechnięta twarz ściągnęła się w powadze, a dawniej rozmarzone spojrzenie spowiała senna mgła. Długie, rude włosy spływały falami po zmęczonej twarzy i wydawało się, że Florian Stein wcale nie poznaje Ludwiki, co więcej – nie cieszy się z odwiedzin nieznajomej.

– Kim jesteś, pani? Dlaczego mnie szukałaś? – zapytał.

Miał niski, piękny głos, ale nawet przy powitaniu nie obdarzył jej uśmiechem.

– Wybacz, panie, że niepokoję. Jestem Anna van der Berg. Możemy pomówić na zewnątrz?

Słyszac nazwisko, zdziwiony Florian uniósł rude brwi. Co prawda przy powitaniu musnął jej dłoń niedługimi wąsami, ale gościł ją wyraźnie niechętny.

– Czy damy van der Berg porzuciły już Burbona? – zapytał.

Pytanie było zaczepne. Ludwika wyczuła, że Steinowie popierają Sasa.

– Czy moja matka porzuciła, w to wątpię. Ja nie popieram nikogo, nie znam się na polityce.

Tu posępna, znudzona twarz Floriana na chwilę się ożywiła. Wreszcie spojrział na Ludwikę z ciekawością, aż oczy błysnęły dawnym blaskiem. Pod wpływem ciepłych wspomnień, postanowiła ostrożnie się upewnić.

– Pamiętasz Ludwikę Schulz, panie?



Teraz senność całkiem zniknęła z oblicza Floriana. Nachylił się, patrząc przenikliwie. Potem zapytał cicho:

– Masz od niej wieści, nadobna pani? Przeżyła?

A więc nie poznał jej, nie miał nawet prawa. Zresztą przedstawiła mu się jako inna osoba – osoba, którą tak naprawdę nigdy się nie czuła, choć przez lata uważała Amsterdam za swój dom, a van der Berga za ojca. Naraz uszła z niej pewność. W tym przykrym wrażeniu kryło się jednak poczucie bezpieczeństwa. Była całkiem anonimowa, mogła do woli kryć się za fałszywym nazwiskiem.

– Czy możemy porozmawiać w ustronnym miejscu?

Do kramnicy weszły dwie patrycjuszki. Florian przytaknął.

– Zawołam ojca, niech dogląda dziś wieczorem.

\*\*\*

Tymczasem do Totenhofu zajechał powóz Jezierskich.

– Niemiło tu, ojcie – zagadnął Aleksander.

– To tylko twoja wyobraźnia. Nazwa dworu i zła sława Woyciechowskiego na ciebie działają. Spójrz na te przepyszne wzgórza porośnięte lasami. Piękne miejsce na letni dwór.

Wyszli ze szlacheckiego powozu. Sługa zjawił się natychmiast.

– Powiedz swojej pani, że przybyli do niej goście – Konrad i Aleksander Jezierscy.

Słyszając sławne nazwisko sługa skłonił się w pas kilka razy, dla pewności. Ciekawsko przyjrzał się Konradowi Jezierskiemu, niegdyś wielkiemu, sławnemu żołnierzowi, który po śmierci żony popadł w marazm i usunął się w cień, nie walcząc o hetmaństwo.

– Idź, Aleksandrze, pannie Lisie dotrzyмай towarzystwa, zabaw rozmową.

Syn spojrział na ojca ze zdumieniem.

– Ależ ojcie, czy wypada? Poza tym to panna narowista, nie znosi mnie.

– Chcę zostać sam z panią van der Berg. Ty zachęć panienkę do rozmowy, polityki przy niej unikaj. I usuń mi się z oczu. Widzisz, że panna w ogrodach z tyłu spoczywa.

Aleksander poczuł się nagle tak szczególnie, jakby ojciec wręczył mu nową szablę w prezencie. Nie wiedział, co prawda, jak Lisa go przyjmie i czy w ogóle wypada do niej podchodzić, ale skoro ojciec nakazał, nie mógł nie usłuchać.

Konrad patrzył za oddalającym się Aleksandrem i czekał na wdowę van der Berg. Myśl, by wysłać syna do Lisy pojawiła się pod wpływem chwili, gdy zobaczył pannę, siedzącą na tyłach ogrodu, skąd niełatwo było ją wypatrzyć. Widziałem, jak na siebie patrzy. Jeśli zakochają się w sobie, to Wanda nie będzie miała wyboru – związę nasze rody choćby tak. Teraz pochodzenie ma dobre, patrycjuszowskie, mniej będzie gadania niezadowolonych. Nie zostawię jej na pastwę tego szaleńca Woyciechowskiego – tak właśnie myślał ucieszony, że pomoże wszystkim – Wandzie, młodemu, a na końcu też sobie. Odczuwał bowiem wyrzuty sumienia wobec Wandy, choć wiedział, że to dzięki niemu przeżyła i teraz miesza się w politykę pod zmienionym nazwiskiem. Nie ma chyba na świecie drugiej takiej. Z mieszczańki w chłopkę się zmieniła, z chłopki zaś w banitkę. I kiedy myślisz, że tym razem utonie, ona wynurza się, łapie powietrze i żyje. I to jak żyje!

Takie myśli przewijały się przez głowę Konrada. Uśmiechnął się czule, gdy zobaczył, że Wanda wychodzi z dworku. Mrok powoli kładł się cieniem na Rzeczpospolitą, robiło się coraz chłodniej.

Stała naprzeciwko, podając dłoń do pocałunku.

– A gdzie syn Aleksander, jaśnie panie?

– Do lasu poszedł, żeby do zajęcy postrzelać. Lubuje się w polowaniach, a rozmowy polityczne nie do niego należą – skłamał Konrad.

Wanda zerknęła na niego podejrzliwie, ale nie odpowiedziała.

\*\*\*

Kiedy sługa przybiegł do niej zdyszany i oznajmił przybycie Jezierskich, rozgniewała się nie na żarty. Zaraz jednak postanowiła, że uspokoi emocje i pokaże Konradowi swój kamienny, patrycjuszowski spokój. Zmieniło się w niej przecież wiele, dlatego nie mogła reagować nerwowo. Tym właśnie pokazałaby

Jezierskiemu, że znowu z nią wygrał i już na zawsze będzie miał władzę nad jej emocjami.

Zaprosiła Konrada do dworu. Było to zaproszenie zimne, wręcz lodowate, ale nawet przez chwilę nie zadrżał jej głos. Usiedli przy ławie. W słabym świetle twarz Konrada wyglądała młodziej – ledwo odznaczały się na niej zmarszczki, rysy wygładziły się.

Czuła się dziwnie. Nowy rodzaj niepokoju targał teraz jej sercem i Wandzie ta zmiana wcale się nie podobała. Kiedyś zastanawiała się, co szlachcic chce jej powiedzieć, co właściwie odważy się powiedzieć, zgadywała, jakie żywi do niej uczucia i co znaczą jego spojrzenia. Teraz gdy oboje siedzieli naprzeciwko siebie w ponurym dworku Woyciechowskiego, patrzyła na niego z żalem i rozczarowaniem. Wydawało się, że raczej boi się go, niż kocha, że nie chce już niczego od niego słyszeć, a w ogóle to najlepiej by było, gdyby sobie poszedł. Nowy niepokój dotyczył teraz nie Konrada, lecz samej Wandy oraz tego, że reagowała na dawną miłość alergicznie.

Konrad uważnie patrzył na Wandę i rozumiał, że ją zawiódł. Choć z początku chciał mówić o polityce, pod wpływem ponurego spojrzenia, zdobył się na szczerość.

– Czy mogę ci mówić po dawnym imieniu, pani? Widzę cię wciąż jako Wandę, nie zaś jako Barbarę.

Przytaknęła.

– Nie spodziewałem się, że niepokorna Barbara van der Berg, która ratuje stronnictwo francuskie, to ty, pani. Cały Gdańsk już ciebie zna.

– Znał mnie i dwadzieścia lat temu.

Odpowiedź Wandy była harda, ale ona sama, w środku, kuliła się pod spojrzeniem szaroniebieskich oczu. Wychwytywała każdy grymas i uśmiech Jezierskiego, i narastał w niej coraz większy gniew. Wzburzenie chwytalo ją za gardło, ponieważ się bała.

Po raz pierwszy odczuwała strach przed samą sobą. Obawiała się, że znowu się zakocha lub że w ogóle kochać nie przestała i teraz dawne uczucie wybuchnie w niej znowu, rwąc wszystkie tamy wypracowanego rozsądku. Zaufać Jezierskiemu ponownie oznaczało zhańbić siebie samą i przyznać, że zawsze ktoś będzie nad nią górował. A tej myśli Barbara van der Berg nie mogła znieść. Dlatego

właśnie patrzyła prosto w oczy swojemu wrogowi, powstrzymując się choćby od grymasu.

A przecież to był on – właśnie on. Istniał nie tylko w świadomości Wandy, siłą honoru zepchnięty na margines, ale też w dworze Totenhof, co akurat Wolfgangowi Woyciechowskiemu z pewnością nie przypadłoby do gustu. Do tego, nie tyle istniał, ale żył – oddychał, mówił i szafował swoimi czarującymi przymiotami. Teraz jednak w każdym uśmiechu szlachcica, geście czy spojrzeniu Wanda wyczuwała fałsz. I chciała, by wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia, nawet czasem miała wrażenie, że rzeczywiście drży.

– Nie chcę mówić o polityce, pani – oznajmił Konrad.

– W takim razie o czym?

– Chcę wyrazić podziw dla twego położenia, pani. Oczywiście nie musisz się obawiać o brak dyskrecji, przy mnie nigdy nic ci nie groziło.

Wanda mocno wciągnęła powietrze. Ostatnie zdanie Jezierskiego zabrzmiało dla niej jak policzek.

– Więc wyszłaś, pani, za patrycjusza van der Berga? Jak to się mogło zdarzyć? W obcym mieście, bez wpływów, bez pieniędzy... Niebawem. – Uśmiechnął się. – Dlaczego wróciłaś do Rzeczypospolitej?

– Bo małżonek zmarł.

Suche odpowiedzi Wandy coraz bardziej smuciły Konrada. Nie wiedział, jak dotrzeć do tej nieprzystępnej kobiety, a przede wszystkim, czym skruszyć niewidzialny mur, którym się otoczyła. Dawna Wanda – jeśli istniała – zabarykadowała się w nie byle jakiej twierdzy.

Do tej pory Konrad nie brał pod uwagę, że jej miłość mogła się skończyć. Wiedział, że ma do niego żal, czasem nawet wydawał mu się dziecinny. Jednak afekt miał przecież trwać wiecznie. Cieszył się, że ją widzi, nie była mu obojętna i kochał ją mimo lat. Odrzucenia nie brał pod uwagę. Teraz, siedząc w krępującej ciszy naprzeciwko prawie już nieznałomej kobiety, zaczynał pojmować, że zachowuje się nietaktownie. Wanda miała przecież własne życie, tak inne od życia możnego chorążego. Nic o nim nie wiedział, nie znał jego esencji. Jedyne, czym dysponował, to plotki zazdrosnych ludzi

i strzępki wiadomości, z których próżno układać panoramę egzystencji wdowy van der Berg.

\*\*\*

Tymczasem Aleksander siedział na skromnej ławeczce obok narowistej Lisy. Nie patrzyła na niego, tylko udawała, że zajmuje się układaniem halek przy kostkach. Gdy zaczynał rozmowę, zaraz piorunowała go bezczelną, ale jednak grzeczną uwagą, nie odrywając wzroku od dołu sukni.

- Co ty lubisz, panienko? Czy ty w ogóle coś lubisz? Czy ty w ogóle kogokolwiek lubisz? - pytał kolejno.

Był wściekły. Jeszcze żadna panna tak go nie potraktowała, a dodatkowo ta arogancka patrycjuszka pochodziła z miejskiego motłochu. Nie do pomyślenia, chamstwo całkiem się rozpasало. Ta niewiasta skóry padłego na zarazę cielaka nie jest warta. Co za afront! Dlaczego w ogóle daję się tak poniżać? Po co ją wypytyję? Przecież to aroganckie dziewczę nie ma nic do powiedzenia - myślał.

- Lubię suknie. I lubię, kiedy mężczyzna ma taki głos jak ty, jaśnie panie.

Jej odpowiedzi były bezczelne, ale subtelne, a dodatkowo przyjemnie łechtaly jego ego. Nie zauważał nawet, że coraz gorliwiej o niej myśli, pragnie za wszelką cenę zwrócić na siebie jej uwagę, a im bardziej mu się nie udaje, tym boleśniej odczuwa zniewagi.

- Panienko, kpisz ze mnie?

- Skądże, lubię mówić szczerze.

Chciał, by prawdziwie się nim zainteresowała. Wyciągnął z pochwy szablę.

- Dzierżyłaś kiedyś szablę w dłoniach, pani?

Zaciekawiona Lisa odwróciła się do Aleksandra, ale nie patrzyła na jego twarz. Oglądała lśniącą szablę i nieśmiało wyciągnęła rękę, by dotknąć ostrza. On tymczasem ukradkiem zerkał na jej poważne oblicze. Wszystko mu się w niej podobało, a najbardziej delikatne rysy i kształtne usta.

- Uważaj, panienko. Naostrzona.

Jak na znak, Lisa przejechała opuszką wskazującego palca po ostrzu. Krew została na szabli, dziewczyna lekko westchnęła, czując piekący ból.

- Mówiłem, panienko, żebyś uważała - doskoczył do niej Aleksander. Ujął zimną dłoń, przyglądając się rozcięciu.

- Rzeczywiście - zgodziła się z nim po raz pierwszy.

Wreszcie uniosła głowę. Spojrzała na szlachcica poważnie, aż zakręciło mu się w głowie. Siedzieli naprzeciwko siebie i świat zdawał się dla nich nie istnieć. Z palca Lisy wprost na jasną suknię kapały duże krople krwi.

## VIII



Wandę zaczęła nużyć obecność Konrada. Im bardziej starał się jej przypodobać, tym mocniej się denerwowała. W końcu poruszył temat Wolfganga Woyciechowskiego, wokół którego kluczył wcześniej kilka razy. Zapytał o niego z wyraźną zazdrością.

- Za waćpana Woyciechowskiego istotnie wyjdiesz, pani? To awanturnik, nie znasz go jeszcze.

- Pisujemy ze sobą. Nie zauważyłam, by był awanturnikiem. Wierzę, że to dobry człowiek.

- Czy dba o ciebie, pani...? Czy gdyby dbał o ciebie, to dalej pomieszkiwałabyś w chłodzie jego letniej rezydencji, prawie bez mebli?

To pytanie Wanda zadawała sobie wielokrotnie. Wszystko wskazywało na to, że Woyciechowski o niej zapomniał. Jednak Konrad był ostatnią osobą, z którą chciała podzielić się tym przypuszczeniem.

- Jaśnie pan Woyciechowski wkrótce przybędzie. Zapowiedział się już w liście.

Słyszając te słowa, Konrad zacisnął szczęki. Zgryzota odbiła się na jego twarzy.

Po raz pierwszy tego dnia w Wandzie zaczęło coś pękać i wezbrała w niej litość. Skruszone serce zadrżało, gdy przypatrywała się smutnej twarzy. Przez chwilę pomyślała, że oceniła Konrada zbyt surowo, a przecież uratował jej życie. Gdy tylko doznała wyrzutów sumienia, otrząsnęła się spłoszona i postanowiła nie ulegać podszeptom współczucia.

Ukradkiem zerknęła na żołnierską dłoń spoczywającą na ławie. Sama myśl o tym, by ją pochwycić lub przynajmniej zbliżyć do niej swoją rękę, przyspieszała bicie Wandzinego serca. Zaplątała się w myślach, gorycz zaczęła mieszać się z dawnym echem miłości.

Chciała pozostać wobec Jezierskiego obojętna lub przynajmniej udawać, lecz było jej coraz trudniej.

– Pani, chciałbym powiedzieć tyle słów. Lecz nie umiem, minęło tak wiele czasu... Skończyłem już lat pięćdziesiąt i nie znam większego durnia od siebie. Jedna żona mi pomarła, a kochałem ją szczerze. Drugą wziąłem sobie z rozpacz, nie jestem szczęśliwy. Zresztą, czymże jest szczęście człowieka, gdy wokół wieczne udręczenie, śmierć? Ty, pani, choć jesteś mi droga nade wszystko, nie chcesz mówić ze mną.

– Czy wiesz, dlaczego nie chcę mówić z tobą, jaśnie panie?

Patrzyła na niego wyzywająco, zastanawiając się, czy próbuje wzbudzić w niej litość, czy rzeczywiście żali się jej na swój los. W obu przypadkach nie miała mu nic do powiedzenia, ponieważ przeżył o wiele mniej złego niż ona. Nastroszyła się zatem i uważnie słuchała. Jedna ze świec wypaliła się i zgasła. Dwie pozostałe dopalały się.

– Masz mi za złe, że cię wraz z córą posadziłem na obcy statek i wysłałem w podróż morską, wielce niebezpieczną, do dalekiego miasta Amsterdam. I zrobiłem to bez pytania o twe zdanie, ale kierowałem się, pani, tylko twoim dobrem. Pomarłaś przecież, gdyby nie to, Wando. Skazana na banicję wraz z córką, brodząca donikąd w śnieżycy – ileż wytrzymałabyś?

Zwracał się do niej jak do patrycjuszki, chociaż równie dobrze mógł wzgardzić nabytym statusem. Choć przyjął do świadomości jej nową tożsamość, imię Barbara nie mogło mu przejść przez gardło.

Mimo że oczywiście powiedział prawdę i właśnie to miała mu za złe, było coś jeszcze – według Wandy o wiele gorszego. Chciała więc rzucić szlachcicowi prosto w twarz, że poza tym wszystkim wykorzystał ją, wziął sobie na noc w kamienicy prawdziwej Barbary Schwarz, nie mówiąc ani słowa o tym, że później zamierza odesłać ją w daleką podróż, by nie zawadzała mu w Warszawie. Zamiast wybuchnąć, wycodziła tylko, że nigdy nie była murwą.

Jezierski spojrzał na nią zdziwiony, widocznie inaczej wspominając tamtą noc, kiedy kochali się na łożu Schwarzów. Zmieszał się jednak, bo oto w pełni pojął punkt widzenia Wandy i zrozumiał, czego tak naprawdę nie może mu przebaczyć. Przez



dwadzieścia lat żywiła gorzkie rozczarowanie, tłumiała wspomnienia o ich pierwszej prawdziwej nocnej rozmowie oraz silnych dłoniach, pieszczących jej ciało z delikatnością. Pamiętała też o zrównanych oddechach i szaroniebieskich oczach, przyglądających się nie tylko z pożądaniem, ale przede wszystkim z miłością. A później to wszystko okazało się iluzją – bez słowa wyjaśnienia wcisnął jej akt obywatelstwa gdańskiego Barbary Schwarz, a Ludwice dziewięcioletniej Anny Schwarz, wsadził na statek z obcojęzycznymi marynarzami i wysłał do miasta Amsterdam, o którym tylko słyszała. Dlatego właśnie po latach Wanda uznała, że wszystko zawdzięcza sobie i drżała z obrzydzenia na samą myśl o dobroci Jezierskiego oraz o tym, że sam o sobie myśli jak najszlachetniej.

– Godna pani, nigdy nie miałem cię za...

Druga świeca wypaliła się. Wanda powstała z ławy, by włożyć w jej miejsce nową. W letniej rezydencji szlachcica Woyciechowskiego robiło się coraz chłodniej, mrok zagościł w izbie.

– Powinieneś ruszać, jaśnie panie. Jaśnie pan Aleksander może się zaziębić. Długo nie wraca z polowania.

Zapaliła nową świecę od ostatniej płonącej, po czym włożyła ją do kandelabru.

– W powozie zostały ciepłe okrycia, nic mu nie będzie.

Chciał jeszcze przez chwilę pobyc z Wandą, ale wiedział, że byłoby to niestosowne. Wstał ciężko i podążył do drzwi, zastanawiając się, czy Aleksandrowi lepiej poszła rozmowa. Liczył na to, że młodzi przypadli sobie do gustu. Dał im bardzo wiele czasu, przekraczając granice przyzwoitości. Jeśli nie jest możliwe, by Wanda znowu mi zaufała, inaczej ją ochronię przed tym zbójem Woyciechowskim. Jeśli Aleksander wybierze Lisę, zgodzę się na mezalians. Wtedy nie będzie mogła mnie przepędzić – dumiał.

– Pani, wobec wszystkiego, co się dokonało przed laty, nie mam śmiałości wskazywać ci, jak powinnaś żyć. Wiedz jednak, że Woyciechowskiemu płynie w żyłach nie krew, tylko szaleństwo. Już jednego takiego męża miałaś, prawie przypłaciłaś to życiem. Jeśli za niego wyjdiesz, może mnie nie być w pobliżu.

– Nikt cię, jaśnie panie, o ratunek nie prosi.

Stanowczy głos Wandy zabrzmiał w ciemnościach lodowato. Ma czelność mnie pouczać ten szlachcic! Kimże jestem, aby obcy mężczyzna mówił mi, jak mam żyć i kogo poślubić? – myślała wzburzona. Jednocześnie zagłuszała nagłe porywy serca spowodowane troską Jezierskiego.

– Cóż... może i niepotrzebnie się wtrącam, pani, wybacz. Powinnaś jednak chronić również swoje córki. Pod protekcją Woyciechowskiego zmarnieją, zwłaszcza Lisa. Słyszałem, że ma trudny charakter, a twój przyszły małżonek wyjątkowo źle znosi nieposłuszeństwo. Niewieściej krnąbrności wcale pod uwagę nie bierze.

Ich oczy przywykły już do mroku, więc patrzyli na siebie bez skrępowania, czując, że oplata ich intymność ciszy i ciemności.

– Może to ty powinienesz ochronić Lisę, jasnie panie – powiedziała cicho.

– Czy naprawdę myślałaś o tym, pani? Czyżbyś wpadła na ten sam pomysł, co ja?

Wanda zmarszczyła brwi. Znowu się nie rozumieli, tym razem natychmiast to wyczuła.

– Pomysł?

– Tylko nie denerwuj się na mnie, nadobna pani. Chciałbym, żeby twoja córka Lisa połączyła się z rodem Jezierskich.

– Nie pojmuję. W jaki sposób? – Wanda zapytała ostro.

– Czy widziałaś, jak patrzą na siebie z moim synem? Aleksander byłby dla Lisy znakomitą partią, przyznasz sama, że o lepszą trudno. Wiem, że możesz mieć obawy, pani. Pomysł jednak o połączeniu ze szlacheckim rodem. Ja bym na to zezwolił, a jeśli inni będą gadać o mezaliansie, cóż, niech gadają.

Wanda patrzyła na Jezierskiego z przerażeniem.

– Niechaj Aleksander trzyma się od Lisy z daleka – wydusiła.

– Pani, nie bądź dziecinna... – zaczął Konrad ostro.

Tym razem nie chodziło jednak o dumę czy zranione uczucia. Wanda nabrała powietrza i powiedziała to, co ciążyło jej na sercu od lat:

– Nie i już! Lisa jest twoją córką.

\*\*\*

Wśród listowia, pośród róż i wrzosów, Lisa van der Berg oddawała się pierwszym nieśmiałym pocałunkom z mężczyzną. Nie rozumiała dlaczego jest jej gorąco, pomimo październikowego chłodu. Czuła zupełnie nowe emocje, a ich różnorodność zdumiewała ją i doprowadzała do szaleństwa. Okryci grubym płaszczem, podbitym lisimi skórami, kosztowali nawzajem swych warg.

Naraz posłyszeli nerwowe nawoływania, więc odsunęli się od siebie na całą szerokość ławki. Aleksander podał Lisie płaszcz, sam zaś założył nogę na nogę, niby znudzony, czekając przyjscia Konrada i wdowy van der Berg. W końcu rodziciele wkroczyli do ogrodu, patrząc na nich jakby ujrzeli ducha, a nie parę siedzącą na ławce.

- Idziemy - oznajmił nerwowo Konrad.

Spojrzał na Lisę szczególnie intensywnie, aż spuściła wzrok zażenowana. Wanda, równie wzburzona, podeszła do córki, zdjęła szlachecki płaszcz i podała go Aleksandrowi. Stanowczo ujęła Lisę pod ramię i bez pożegnania ruszyła z nią do dworku, nie oglądając się za siebie.

- Kto to widział, żeby miejska panna tyle czasu siedziała z nieznanym szlachcicem? - zapytała już w izbie. - A ty, Ludwiko, gdzie się podziewałaś? Powozem wracałaś w ciemnościach z Gdańska? Co za brak rozsądku! Co robiłaś w mieście tak długo? Ach, zresztą o ciebie się nie boję, ty jesteś rozsądna. Twoja siostra jak zwykle psoci. Całą godzinę przesiedziała na ławce w ogrodzie z młodym paniczem Jezierskim. Doprawdy, Liso, gdzie twoja godność? Co za nieprzyzwoitość! Mam nadzieję, że nikt was nie widział, bo służba będzie gadać. Jeszcze mi kłopotu w mieście narobisz, jak się to rozniesie.

Damy van der Berg zasiadły do wieczerzy, wszystkie trzy zamyślane. Służba w ciszy wносиła posiłki, zerkając po sobie ciekawsko. Po zmówieniu modlitwy, nad którą żadna nie mogła się skupić, nachyliły się nad talerzami, w ciszy jedząc dziczyznę z kluskami.

Lisie posiłek smakował wyjątkowo, czuła się lekka niczym piórko. Siłą zmuszała się, by zachować powagę, pierwszy raz w życiu tak

bardzo chciało jej się tańczyć i śmiać. Zamiast tego zachowała powściągliwość, ale jadła zachłannie i opróżniała szklance z winem nie wolniej od rasowego marynarza. Pozostałe dwie damy nie zauważyły osobliwego zachowania Lisy, miały bowiem własne troski.

Dla Wandy nie był to spokojny wieczór, gdyż przejmowała się rozmową z Konradem. Z tego powodu miała zły humor, nie tak szlachcic miał się dowiedzieć o Lisie, zresztą wcale miał się nie dowiedzieć. Wanda uznała bowiem, że to najlepsza kara za porzucenie jej i wysłanie do Amsterdamu po upojonej nocy. A poza tym im mniej osób wie, tym lepiej. Wiedziała tylko ja i Ludwika, teraz wie i on. Cóż z tym jednak zrobi – nie wiadomo – rozmyślała. Lisa sama o sobie wiedziała, że jest córką zrodzoną z niejakiego Rudolfa Schwarza, podobnie jak Ludwika, wszystko to zaś było kłamstwem.

Ludwika, dla odmiany, jadła niewiele i kiedy młodsza siostra skończyła posiłek, ona wciąż miała na talerzu solidną porcję dzika, nie mówiąc już o kluskach, których wcale nie tknęła. Wspominała wieczorną rozmowę z Florkiem – dziwną o tyle, że dawny przyjaciel nie przypominał siebie. A może właśnie teraz był sobą – ukształtowanym, dorosłym Florianem Steinem, odartym z dziecięcych złudzeń mężczyzną.

Zaprowadził ją do swojej kamienicy, mieszczącej się na Świętego Ducha. Tam polecił usiąść, podał gdańskiego piwa i wysłuchał opowieści, tajemniczo milcząc. Kilka razy uniósł brwi ze zdumienia, raz zaś zakrztusił się piwem, a było to wtedy, gdy Ludwika wyjawiała mu swoje prawdziwe nazwisko. Jednak nie przerywał i nie zamęczał pytaniami, jakby wszystko toczyło się gdzie indziej i jakby Ludwika opowiadała swoją historię komuś innemu.

Wyglądał na zmęczonego życiem. Zresztą nawet wewnątrz jego kamienicy prezentowało się nieciekawie, choć był wielkim kupcem i mógł sprawić sobie najlepsze meble. Wszystkie przedmioty spowijał kurz.

– Wiesz, że cię nie wydam, prawda? – zapytał w końcu.

Wiedziała, ale skąd? Czy to intuicja, czy znajomość Florkowego charakteru – dość, że właśnie jemu mogła powierzyć wszystkie swoje sekrety. Młody Stein patrzył na nią poważnie, nawet

z ciekawością, ale oczy miał wciąż zimne, do uśmiechu też się nie garnał.

– Widzę, że zostałeś wielkim kupcem, panie Florianie.

– Jak wszyscy z mojej rodziny. Nie tego chciałem i nie tego oczekiwałem od życia. Lecz cóż, czyż nie jest ono pasmem cierpień?

– Pasmem cierpień?

– A tak. Czy pamiętasz, pani, że chciałem zostać marynarzem albo artystą? Nie udało mi się zupełnie, zresztą kiedy człowiek jest młody, to mu się wydaje, że wszystko może. Co za okrutne złudzenie! Wszystkie drogi otwarte, tyle możliwości. Dopiero później zauważasz, że tego ci nie wolno, a na tamto nie waz się porywać, bo zdrada rodu, bo wydziedziczą, bo awantury rodzinne będą trwać latami. Masz być kupcem, pracować w kramnicy – oto, co mi pozostało. I cóż z tego, że męczyżna, cóż z tego, że sam powinienem stanowić o własnym życiu? Cóż wreszcie z tego, że pochodzę z patrycjatu? Kupiectwo i praca naukowa – to satysfakcjonuje mego ojca. A jeszcze najlepiej, żeby to połączyć...

Ludwika słuchała monologu dawnego przyjaciela z niesmakiem, choć jej gładka twarz nie zdradzała emocji. Żalił jej się człowiek od dziecka mający wszystko, czego ona była pozbawiona – pochodzenia, majątku, wykształcenia.

Spotkanie przebiegło zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. W końcu wstała i zawiedziona ruszyła w stronę drzwi, nadal wysłuchując żalonych wywodów. Kiedy spróbowała zażartować, że powinni się zamienić, bo ona – choć wcale nie chciała – płynęła statkiem, a zatem porwała się na coś, czego Florek zawsze chciał doświadczyć, dawny przyjaciel uśmiechnął się smutno. Zaraz jednak spoważniał.

– Nie daj się zwieść, gdy widzisz blask wesołości w mych oczach, nadobna pani Ludwiko. Są marne i puste, a radość uleciała z mojej duszy dawno, pozostawiając w środku ciemność. Gdybym mógł ulżyć sobie w cierpieniu, niechybnie bym to uczynił, lecz jako człowiek prawy, muszę nadal chodzić po ziemi, czyniąc krok za krokiem niczym skazaniec z kulą u nogi.

Ludwika stała w progu speszona, z dłońmi splecionymi luźno na podbrzuszu i zastanawiała się, kim jest ta marna, tajemnicza postać,

wyzuta ze wszelkiej radości. Czy to w istocie Florek Stein, czy też jakaś posepna maska?

– Co cię trapi? – zapytała po prostu.

– Małżonka mi pomarła rok temu. Razem z dziecieniem, które nosiła w łonie.

Jakby na zawołanie w jasnych oczach Florka zalśniły łzy. Ludwika chciała pocieszać, lecz nie mogła się na to zdobyć, więc tylko patrzyła współczująco. Jej też pomarł mąż, od tamtego czasu nie miała mężczyzny, nawet przestała o to zabiegać, godząc się ze statusem wdowy. Jednak jej miłość nie równała się miłości Florka. Musiał darzyć żonę ogromnym uczuciem; straty nie leczył nawet upływający czas.

– Rzadko się zdarza taka miłość – rzekła w zamyśleniu.

Od razu wydało jej się, że powiedziała głupotę. Przez chwilę przestraszyła się, że jej słowa urażą Florka, ale on tylko pokiwał głową na znak zgody.

– Mnie też pomarł mąż. Bóg nam dzieci nie dał.

Florek spojrział na nią ciepłej.

– Czy po sześciu latach to mniej boli? – zapytał.

Nie umiała odpowiedzieć, za to pozwoliła mu się przytulić.

\*\*\*

Tak oto damy van der Berg spędzały październikowy wieczór w letniej rezydencji Wolfganga Woyciechowskiego. Zerwał się wiatr i znów deszcz rozpoczął swój koncert, uderzając w drewniane ściany. Totenhof pogrążył się w mroku.

## IX



Zapowiadał się piękny dzień. Deszcze ustały i do północnej Rzeczypospolitej znowu zagościło ciepło. Ciemnozielone liście na drzewach żółkły niespiesznie. Miejski patrycjat zjeżdżał do letnich rezydencji, by nacieszyć się przyrodą.

Lisa siedziała na ławce w ogrodzie, gdzie kilkanaście godzin wcześniej ukrywała się w ramionach Aleksandra Jezierskiego. Choć nie spała prawie przez całą noc, wszystko ją cieszyło. Na samo wspomnienie przystojnego szlachcica uśmiechała się do siebie.

Wraz z uczuciami właściwymi szaleńczej miłości w jej serce wkradł się niepokój. Nie mogła przecież zakładać, że Jezierscy zaczną odwiedzać van der Bergów regularnie. Sama myśl, że miałyby już nigdy nie ujrzeć Aleksandra, była nie do zniesienia. Podobał jej się jak nikt wcześniej, właśnie taki – nieustraszony, ciekawski i przede wszystkim odpowiadający na każdą zaczepkę. Był zupełnie inny od ułożonych synów miejskich dostojników, poszukujących panienek gładkich w obejściu i posłusznych wobec mężczyzn. Aleksander tego nie oczekiwał; choć nie przyznałby się nawet przed sobą, w głębi serca spodobała mu się krnąbrna natura panny van der Berg.

Lisa ujęła w dłonie swój długi, bursztynowy warkocz i wciąż rozmyślała, przypatrując się słonecznym refleksom, padającym na włosy. Odtwarzała w pamięci każdą scenę, analizowała spojrzenia oraz pocałunki. W pewnym momencie poczuła palący ból – taki sam towarzyszył jej dzień wcześniej i wiele by dała, by ugasić rodzące się pragnienia.

Wtem marzenia brutalnie przerwały hałasy. Do Totenhofu zmierzał Maciejca. Siedział niedbale na bułanym koniu, jak zwykle zadowolony z siebie. Z pewnością wiozł list od pana Woyciechowskiego, na pewno też widział osławionego szlachetkę.

Wanda wybiegła chłopu na spotkanie. Była już mocno zafrasowana brakiem odpowiedzi od gospodarza dworu, pobyt w letniej rezydencji dłużył się nieskończenie. Poza tym wdowa van der Berg nie widziała dla siebie kolejnych zadań w związku z sytuacją elekcyjną. Conti rozmawiał z dostojnikami, ale nade wszystko z mężczyznami. Raz pragnął schodzić na ląd, potem oferował pertraktacje na pokładzie swojego L'Adroit. Dość, że rola Wandy zakończyła się wcześniej, niż spodziewała się sama zainteresowana – teraz należało dać ostatnie pieniądze francuskie Polignacowi i odsunąć się od polityki.

Maciejca nie umiał dobrze trzymać się w siodle, toteż z konia zszedł niedbale, prawie spadając na plecy. Dźwignął się jednak i uratował w ostatniej chwili. Potargane czarne włosy zasłoniły całą twarz, więc uprzednio zgarnął je z oczu, a dopiero potem oddał chłopski ukłon pani.

– Osobliwie z konia zsiadasz, Maciejca – upomniała Wanda.

Delikatny uśmiech wstąpił na jej surowe oblicze. Maciejca był jej ulubionym sługą. Zawsze uczynny i roześmiany, zjednywał sobie sympatię wszystkich dookoła. Nawet podejrzliwa służba Woyciechowskiego lubiła z nim rozmawiać, bo z ciekawością słuchał, co inni mają do powiedzenia. Ponadto doskonale wyczuwał nastroje ludzi, wiedział, co lubią, a czego nie, i jak mówić, żeby trafić do serca każdego człowieka.

Teraz wyszczerzył nierówne zęby i skłonił się ponownie, jeszcze głębiej.

– Listy nowe masz?

– Mam, moja pani.

Podał Wandzie opieczętowany zwój. Już miał usunąć się z oczu, ale wdowa chwyciła go za ramię.

– A dokąd ty idziesz? Powiadaj, jak było.

– Szukałem ja trochę i nie mogłem znaleźć jaśnie pana gospodarza. W Prusach Książących powiedzieli mi, że już ujechał do Torunia. To ja tam żem się skierował. I jechałem, jechałem. Myślałem, że już całą Rzeczpospolitą zjeździłem i zaraz w obcym narzeczu przyjdzie mi z ludźmi mówić. A to wszystko Polska, w dodatku tylko kawałek!



Wanda przerwała niecierpliwie.

– I znalazłeś?

– W Toruniu? A gdzie tam, jaśnie pani! W Toruniu to mi powiedzieli, że jaśnie pan gospodarz do jakiej karczmy się udał podmiejskiej. Zmierzać miał w stronę Gdańska. Powiadali mi, że on narowisty i po całej Europie przyjdzie mi go szukać, jak wszystkim innym.

– Znalazłeś czy nie?

– Ja dla ciebie wszystko, jaśnie pani! Szukałem, szukałem. Mówili mi, żebym się na północ kierował. I jadę, i sobie rozmyślam, że jeszcze chwila, to tutaj znowu zajadę. Potem kazali odbić na zachód. Chłopu trudno wymierzyć, gdzie to. Pytałem ludzi, gdzie ten zachód się znajduje. Głupi, jak ja, nie wiedzieli, ale mądrzy mi odpowiadali, że zachód to pewno tam, gdzie zachodzi słońce.

Wanda parsknęła.

– I zajechałem ja do jakiejś osady, co tam umrzyk powieszony zdobił drzewo. Chłopi mi powiedzieli, że tu właśnie jaśnie pan gospodarz Woyciechowski przejeżdżał niedawno. I tego chłopa, niebożę, powiesił dla kaprysu, bo mu grudę błota rzucił pod końskie kopyta. Nie zauważył chłop.

Tu Maciejca trochę się zasepił.

– Trochę kręciłem, trochę brodziłem. Ażem w końcu znalazł karczmę jak z widziadeł strasznych. Mleczna mgła była i upiornie mi się tamtędy jechało. Podumałem chwilę i coś mnie tknęło, że tam może się jaśnie pan gospodarz Woyciechowski znajdować. Ale nie dlatego, że upiornie było – Maciejca zaraz się wycofał. – Podumałem tak jeno dlatego, że mrowie koni uwiązanych przed tą karczmą stało. To i swego przywiązałem.

– Maciejca, czemu się płaczesz? Opowiadaj, jak jaśnie pan wygląda, bo będziemy stać na trakcie do zmierzchu i wreszcie zobaczysz, gdzie słońce zachodzi.

Maciejca pokręcił głową. Zdumiało to Wandę, bo chłop nie bał się byle czego. Serce zabiło niespokojnie – teraz musiała dowiedzieć się, kim jest jej dobrodziej, a być może przyszły małżonek. Złapała chłopca za nadgarstek.

– Maciejca – zaczęła groźnie – bo cię wychłostać na sianie rozkażę.

– Ach, jaśnie pani, nie każ dobrego chłopca! Powiem, tylko tak mi się nieswojo zrobiło.

Uklonił się niezgrabnie kilka razy i w końcu Wanda puściła zaczerwieniony nadgarstek.

– Był on tam rzeczywiście. Był w karczmie jaśnie pan, zobaczyłem go od razu, bo pił gorzałkę z kompanami. Siedzieli w sześciu przy ławie. Jak zobaczył, że pachół w lnianej koszulinie podchodzi, zaraz uśmiechnął się i zaprosił. Ale nie tak, jak się zaprasza, kiedy naprawdę się chce kogoś ugościć. Tylko tak, jak się zaprasza, kiedy się chce zrobić potem coś złego...

– Maciejca, czy tobie wiatr nie wywiał rozumu z łba? Szlachcic zaprosił cię do gorzałki przy ławie?

– To przecie mówię, jaśnie pani, że zamiarów nie miał dobrych. Ale to zapewne dlatego, że nie wiedział, komu służyć. Zaraz jak zobaczyłem iskry w oczach, to się przedstawiłem. I skłoniłem się nisko, bo iskry z oczu dalej leciały, tylko już mniejsze.

– Jak wygląda jaśnie pan dobrodziej?

Maciejca zamyslił się. Nie było mu łatwo opisać Woyciechowskiego.

– Niecodziennie się spotyka tak wyglądających panów. Włosy krucze, długie, do tyłu przyczesane. Nos wąski i zadarty. Co bym mógł jeszcze dodać... porywczy...

Wanda patrzyła na Maciejcę, który wił się przed nią jak piskorz. Widocznie nie chciał urazić swojej pani i nastawać na godność nieobecnego szlachcica, ale Woyciechowski z pewnością nie przypadł mu do gustu. Nawet jeśli z damą van der Berg mógł być szczery, to coś go przed ową szczerością hamowało i Wanda poznała, że Maciejcą targają nieprzyjemne uczucia.

– Wspomniałeś, że jaśnie pan Woyciechowski jest porywczy. Dlaczego?

Pytanie było napastliwe. Maciejca próbował się z niego wykręcić, ale Wanda uznała, że nie spocznie – musiała poznać prawdę.

– Nie sap mi tu jak chore zwierzę, tylko mów. Choćby prawda była najstraszniejsza – dodała ciszej.

– Jaśnie pan Woyciechowski list ode mnie odebrał, a potem przywiązał mnie sznurami do pała, podłożył z kompanami drewna

i udawał, że chce mnie spalić. A ja żem krzyczał, że jeszcze do mojej jaśnie pani muszę wrócić, żeby darował, bo jej listu nie doniosę. A on wtedy podpalał jedno drewno i nim zajęła się reszta, to je odejmował i gasił. Za każdym razem myślałem, że tym razem już stos cały się zapali i żywo z tej zabawy nie wyjdę.

Wanda wybałuszyła oczy, a to wcale nie był kres opowieści.

– Jaśnie pani, na koniec tej zabawy oni mnie zostawili na noc całą, przywiązanego do tego pala sznurami, a jaśnie pan Woyciechowski rzekł, że musi podumać, co w liście napisać, i dopiero rano mi go znieśie i z pala uwolni. Całą noc drętwiałem przy karczmie, ręce przy tułowiu i nijak nie mogłem się ruszyć. Zimna noc była, mgły wszędzie, wilki się mogły na mnie skusić. Więc najpierw jęczałem, żeby mnie wypuścić, i zaklinałem, ale potem już zamknąłem gębę, żeby mnie naprawdę jakaś poczwara nie usłyszała. Kiedym już myślał, że to koniec i głowa mi sama wisiała, przyszedł jaśnie pan gospodarz. A to dniało już. Rozwiązał i śmiał się ze mnie okrutnie, kazał też karczmarzowi patrzeć, bo jak nie, to szablą głowę skróci. W zdrętwiałe ręce dał zwój, a jak go unieść nie mogłem, to mnie kopał... Jaśnie pani, jam twój chłop. Jeśli ty pobijesz lub okrutnie się ze mną zabawisz, przyjmę to z pokorą, bo przecież do ciebie należę i tobie służę. Ale jaśnie panu gospodarzowi nie służę.

Wanda bladła z każdym usłyszonym słowem. Potwierdziło się to, w co nie chciała wierzyć. Widząc, że słowa robią na pani ogromne wrażenie, chłop postanowił otworzyć całkiem swą zranioną duszę. Skarżył się zatem dalej, o wiele śmieiej.

– Na konia wsiąść nie mogłem, nogi zdrętwiały. A jaśnie pan Woyciechowski wielką uciechę miał z tego. Na koniec przyszli jego kompani i powiedzieli, że jak zaraz na konia nie wsiądę, to mnie posiekają szablami, a ich pan list mi odbierze i przy okazji sam przyjedzie do Dworu Żałobnego, żeby go oddać tobie, jaśnie pani. Jego kompani zwą go Wolfgangiem Szalonym i się go boją. Nie są to ludzie prawi.

– Odejdź – szepnęła Wanda.

Maciejca skłonił się i odszedł smutny, bo poznał, że jego pani znalazła się w kłopotcie. A skoro ona będzie miała zwadę z okrutnym szlachcicem, to on z pewnością też. Postanowił trzymać się jak

najdalej od Woyciechowskiego i w miarę skromnych możliwości przekonywać panią, by wynieśli się z Totenhofu póki czas.

Choć Wandę przeszedł zimny dreszcz, dziarsko odpieczętowała list. Widmo ożenku z Woyciechowskim zaczęło się oddalać, rozważała nawet ucieczkę do Amsterdamu. Jednak najpierw zaszyła się w niewielkiej izbie gabinetowej, wzbudzającej w służbie popłoch, i zaczęła czytać.

*Najdroższa pociecho mego serca, Duszo,  
za Twój list dziękuję. Zawsze wracam w rzewnych wspomnieniach do Twoich słów, zapamiętuję, co napisałaś. Jesteś mi coraz bliższa, choć jeszcze się nie widzieliśmy, nie podniosłem do pocałunku Twojej pięknej ręki.*

*I nie zajrzałem w Twe oczy. Pachotł mi rzekł, że są niebieskie, ale ja mu nie wierzę. Jest tyle odcieni niebieskiego! Mogą być zatem błękitne jak niebo albo i jaśniejsze – jak pokrywa lodowa. Mogą mieć barwę chabrową, które rosną na łące. Mogą mieszać się z zielenią lub brązem, a wokół źrenic promienieć słonecznie. Tyle możliwości!*

*Zatem nie ufam w słowa Twego chłopca. Zaraz wymierzyłem mu solidnego kopniaka, bo na pytanie o barwę Twych włosów odrzekł, że są jasne. Jakże to jasne? – zapytałem go wtedy. Czy jasne jak kłosa pszeniczne? A może trochę ciemniejsze, niby snopki siana? Bursztyn w słońcu też jaśnieje i miód.*

*Niebawem będę mógł się przekonać, jak wyglądasz naprawdę, nadobna pani, pociecho mego serca. Jestem niebogaty, ale szlachcic przecież. Myślę, że dobrze Ci będzie przy mnie, jeśli się zdecydujesz na ożenek. Pod protekcję wezmę Twe córki, dobrze je za mąż wydam, bo już na obie czas. Jedna nie może wiecznie jako wdowa marnieć, a druga to już latorośl prawie dwudziestoletnia, jak rzekł Twój pachotł, zwany Maciejcą.*

*Co zaś się tyczy polityki, to słyszałem, że X. Conti wreszcie przyptynał. Dobrze się, pani, sprawiłaś z francuską mamoną. Teraz nic, tylko czekać. Wszystko w rękach Boga Najwyższego. Niechaj oni już tam rozprawiają między sobą, a jak nie po dobroci, to siłą zniemiemy Sasa z tronu.*

*Mam nadzieję, że mnie oczekujesz, pani. Przybędę niebawem, bądź pewna.*

*Twój protektor i pocieszyciel serca*

Już mi chce córy za mąż wydawać – zasepiła się Wanda. Jednocześnie stropiła się nie na żarty, bo Woyciechowski wyraźnie zachęcał ją do ożenku i zdawał się zupełnie nie przejmować różnicą stanową. Czyżby żaden szlachecki ród go nie chciał przyjąć jako męża dla córy? – zamyśliła się.

Choć w liście było wiele czułości, Wanda postanowiła mieć się na baczności. Ostatecznie zdecydowała, że zostanie w Totenhofie i poczeka na przyjazd szlachcica. Jeśli zaś nie będzie jej odpowiadał, po prostu mu odmówi.

\*\*\*

Starą chłopkę, która złażała swoją córkę, gdy Wanda zmierzała po raz pierwszy do izby gabinetowej, znalazła w stodole. Służka dosypywała koniom owsa. Wyglądała na zgnębioną i przytłoczoną obowiązkami.

- Jak ci na imię? – zapytała Wanda.
- Kazikowa.
- Gdzie twój małżonek?
- Pomarł dawno, najjaśniejsza pani.
- A czemu to Kazikowa taka smutna?

Wanda doskonale zdawała sobie sprawę z powodu, jednak zapytała, by wydobyć od chłopki więcej wieści na temat słynnego gospodarza Woyciechowskiego. Odkąd wrócił Maciejca z wiadomością, że pan wraca, cała służba ucichła. Po niedawnej wesołości nie został nawet ślad.

- A, bo żywot ciężki, jaśnie pani. Człowiek się stara pocziwie żyć, pracować... i ma nadzieję, że po śmierci się zacznie radować dopiero, w niebie.

Wyglądało na to, że trudno będzie cokolwiek wydobyć z tej chłopki. Wanda postanowiła przełamać klasowe różnice i dobrotliwie wypytać o życie Kazikowej. Miała niemałe doświadczenie, wszak kiedyś sama żyła wśród chłopstwa i wiedziała, jakie tematy zajmują wieśniaków.

– Gospodarz dobrodziej lżejsze wam teraz zadania przydzielił. Poletko tutaj niewielkie, w polu nie musicie robić.

– Teraz robota lżejsza, niż w gospodarstwie, wiadomo. Pan nasz najjaśniejszy jeden mały folwark ma nieopodał, to tam część służby została i jaśnie pan Kałużyński dogląda robót, bo po sąsiedzku rezyduje. Ale my tutaj musimy pilnować obejścia i wszystkiego wokół. Bydła tutaj nie ma, ale są świnie i kury. Gdyby jakaś uciekła, to by najjaśniejszy pan głowy poucinał, jeno by szabla świszczła.

– Jedną wieś ma wasz pan?

– Pan nasz najjaśniejszy niezwykły człowiek jest – stara rozmarzyła się. – Pan nasz najjaśniejszy ma tylko jedną wioseczkę, to prawda. Ale za to jak zadbana, jak on jej dogląda.

Wanda wyczuła fałsz, choć Kazikowej kłamstwa przychodziły z łatwością, nawet się nie zarumieniła.

– A ile wy, Kazikowa, macie dzieci?

– Czterech synów urodziłam, jaśnie pani. I cztery córki. Dwóch synów mi pomarło w małości i jedna córka też pomarła, to trzy się ostały. Stary mój Kazina też mi pomarł, ale jak okrutnie! Nieczyste moce się wdały i mi odebrały mojego Kazinę.

– Co się stało z waszym mężem?

– Podczas wigilii Narodzenia Pańskiego pan nasz kazał mi zanieść siano bydłu. I zanieść też wszystko, co się ostało po wieczerzy. Sam się tam nie zapuszczał tego dnia, bo strach, że zwierzęta do niego przemówią. A wiadomo, jak to jest – krowa coś powie w wigilię, to wnet umrzeć od tego można. I Kazina poszedł do obory. Długo nie wracał, ale każdy się bał tam wejść. Ja już przeczuwałam, że go tam co dopadło i umarł. W końcu z płaczem poszłam do naszego najjaśniejszego pana i mówię mu, co się dzieje w obejściu. Zezwolił, żebym poszła po Kazinę, ale ostrzegł, że już do rana będę siedzieć z nim w oborze, bo on mnie nie wypuści. Biedziłam się okrutnie, czy się zgodzić, ale wnet mówię sobie, że przecież Kazina ważniejszy niż ja i o męża trzeba zadbać, może mu tam pomocy potrzeba. To i się zgodziłam. Weszłam do obory i zobaczyłam, że mój kochany leży nieżywy. Głowa w sianie, ciało ułożone tak, że tylko po wielkich plecach mogłam poznać. Dopadłam do niego i poczęłam lamentować, a pan mój, jako przykazał, tak zasunął skobel i już nie

wyszłam do rana. Uszy sobie zatykałam dłońmi i na bydło nie patrzyłam, żeby które nie przemówiło do mnie. Nad ranem usłyszałam, że kur pieje. Był już dzień, wtedy się uspokołam. Ciało nie rozkładało się jeszcze, zresztą warunki sprzyjały. Kostniał wokół świat i kostniał mój Kazina. Patrzyłam na niego – on, ale jakby nie on. Inny człowiek, a nawet nie człowiek już, a rzecz, którą można przesuwac, obracać, dotykać, nieść jak ciężki śmieć. I jak tu teraz myśleć o nim? Martwy jest jak głaz, ale jeszcze niedawno, chwilę temu, śmiał się na własnym weselu. Kiedy to było... lata temu.

Wanda westchnęła.

– Rano pan twój cię wypuścił?

– Tak, rano. Ja urazy do mojego najjaśniejszego pana nie żywię, pewno, że musiał mnie w tej oborze zostawić, bo to strach bydło piastować w wigilię. Chociaż najjaśniejszy pan nasz niczego się nie boi, trwogi w sobie nie ma.

– Tak, o tym słyszałam. A czemu ten dwór się tak niezwykle nazywa?

Kazikowa spuściła oczy. Nie chciała odpowiedzieć.

– Czy tu się jakieś zło stało?

– Ach, to już pan nasz tak nazwał, ja nie wiem.

Chłopka międlila w brudnych rękach siano. Wbiła w nie wzrok i rozdzielała cienkie paseczki.

– Pan nasz najjaśniejszy to dobry, bardzo dobry człowiek. Bardzo, bardzo dobry.

## X



Polscy i francuscy stronnicy Contiego wciąż rozmawiali, ale nic z tego nie wynikało. W mieście i w podgdańskich osadach wrzało od emocji – jedni zbroili się w razie najazdu, inni grozili Radzie, a pozostali zmieniali stronnictwa, przechodzili do wrogich obozów albo opuszczali Gdańsk. Miasto wyludniło się, jedynie port tętnił życiem, bowiem nadal dopływały wiślane statki ze zbożem oraz wielkie holenderskie okręty.

Choć damy van der Berg nie uczestniczyły już w politycznych utarczkach, znano je w całej północnej Rzeczypospolitej. Rozsławiał je nieroztropny Polignac, na nie też powoływał się Woyciechowski. Wanda czuła, że Dwór Żałobny stał się obiektem zainteresowania, nawet parę razy przyjechał doń Polignac z prośbą o więcej mamony. Wdowa van der Berg stale odmawiała, wszak oddała mu już wszystkie pieniądze, które przywiozła. Sobie zostawiła tylko oszczędności mężowskie, które prędko topniały.

Do Wandy dochodziły słuchy, że niedowiarki chcą napaść na Totenhof, niektórzy nie wierzyli bowiem w brak funduszy. Dlatego damy nie opuszczały dworu prawie wcale, a służbie przykazano pracować krócej i wieczorem szybciej zaganiać kury. Obawiano się też podpalenia, więc nakazywano służbie czatować nocą i zmieniać wartę co kilka godzin.

W duszy Wanda przeklinała powrót do Polski. Na cóż ja wracałam? Nie dość, że lada dzień zjedzie tu nikczemnik Woyciechowski, to w dodatku mogą mu spalić dwór, a mnie z córkami powyrzynać. I znowu Jeziński triumfuje – myślała. Ostatnia refleksja była dla niej trudna do zniesienia.

Wkrótce wybuchł nowy skandal. Polignac zarzucił Radzie, że źle obchodzi się w Francuzami przybywającymi do miasta. Według niego byli traktowani niegodnie, przeszukiwani i obciążani



niepotrzebnymi obawami. Polignac jątrzył konflikt, a oburzona Rada odpierała zarzuty.

\*\*\*

Niedługo potem Florek Stein świętował urodziny. Ludwika wybrała się do Gdańska, by wesprzeć przyjaciela, ponieważ wciąż chadzał smutny, obojętny na wszystko. Zamówiła służbę, by posprzątała w jego kamienicy i potajemnie udała się do Hieronima Korewicza – gdańszczanina tworzącego wiersze na zamówienie. Przygotowała się do Florkowych urodzin, upatrując w nich szansę na kolejną poufną rozmowę. Wiedziała, że Steinowi można zaufać, i to właśnie ją przyciągało. Wcześniej nikomu nie powierzała tajemnic, uważając, by nawet przed matką zachowywać pozory. Stein milczał na temat jej sekretów, tak że Ludwice zdawało się, że nie inaczej zachowałby się wobec jej tajemnic kamień.

Służbę domową Stein przyjął ze zdumieniem, ale wpuścił i polecił oporządzić wszystkie pomieszczenia, usłyszawszy, kto wynajął dziewczki. W kamienicy zrobiło się przestronniej i czyściej, po piętrach rozchodził się słodkawy zapach oporządzanych graneli. Kupiec otworzył drzwi do sypialni, ułożył się na wznak w łóżu, skrzyżował ręce za głową i zamknął oczy, przypominając sobie lepsze czasy. Granele jedli kiedyś z żoną, pachniały tak samo, jak teraz.

Jednocześnie pojął, że Ludwika jako jedyna świętuje jego urodziny, stara się mu dogodzić i poleciła przygotować najlepsze dania. Kiep by pojął, że jej na mnie zależy – rozmyślał. I o dziwo ta refleksja nie przyniosła bólu ani zażenowania. Przeciwnie – otuliła jego zmęczony umysł niczym kołdra.

Pod wieczór Ludwika zjawiała się w kamienicy Steina z podarkiem od literata Korewicza. Wiersz urodzinowy wydrukowano na jedwabiu. Florian trzymał delikatny materiał i odczytywał pochwały na temat kupieckiego pochodzenia, majątności i wszelkich przymiotów, które można było mu przypisać. Przy końcu zaśmiał się w głos.

– Ale z przyrównaniem mnie do Adonisa chyba imć pan Korewicz przesadził.

Ludwika nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na roześmianą twarz przyjaciela i z ulgą odczytywała z niej znamiona dawnej radości. Teraz Florek przypominał wesołe dziecko, skrzyło się nawet jego spojrzenie.

Zasiedli do wieczerzy. Z początku tylko jedli i patrzyli w talerze, nie śmiąc rozpocząć rozmowy. Cisza stawała się nieznośna, a przyjaciele czuli skrępowanie. Oboje zdawali sobie sprawę, że coś między nimi powstało – nowy rodzaj relacji, którego nie sposób nazwać od razu.

W końcu gospodarz podniósł wzrok znad talerza i zagadnął nieśmiało:

– Dziękuję, żeś mi zrobiła tę przyjemność i jesz ze mną, pani dobrodziejko. Granele bardzo smaczne. I wino cypryjskie.

– Urodzin tak zacnego człowieka nie sposób ominąć. Dojdą jeszcze przekąski, służba przygotowuje. Będą migdały, rodzynki i śledzie z chlebem.

– Pani... – uśmiechnął się z wdzięcznością Florian. Nic więcej nie powiedział, bo wzruszenie odebrało mu mowę.

Do tej pory troszczyła się o niego tylko żona. Gdy jej zabrakło, Stein odprawił służbę i nędzniał. Nie dojadał, wysypiał się tylko po gorzałce, a ponadto często dręczyły go koszmary. Poczłł więc silne wzruszenie, tym bardziej że krucha istota siedząca po drugiej stronie ławy była Ludwiką, a więc wspomnieniem ze szczęśliwych lat dziecięcych.

Z uśmiechem obserwowała reakcję Florka, serce biło jej szybciej. Wydawał się taki, jak dawniej. Patrzyła na niego bez skrępowania, szukając spojrzeniem uciekającego wzroku, a do jedzenia powróciła dopiero, gdy służba wniosła półmiski z ostrygami.

– Czy Totenhof jest bezpieczny? – zapytał Florek.

Widocznie chciał zamaskować wzruszenie. Jednak pytanie zadał nieśmiało, cudownie zmiękł mu nagle głos. Natychmiast usłyszała tę zmianę.

– Nigdzie teraz nie jest bezpiecznie, nawet w samym Gdańsku. Wartownicy wpuścili mnie ze złym spojrzeniem, bo jestem od van

der Bergów. A teraz większość za Sasem. Myślą, że przyjeżdżam tu prowadzić rozmowy polityczne i wzniecać bunty.

– Na pewno tak nie myślą, pani. Niechaj który krzywo spojrzy raz jeszcze, to mu grymasy z głowy wybiję. Wartownik ma wpuszczać lud do miasta, a nie brać się za politykę.

Floriana szczerze oburzyło to, że ktokolwiek mógłby nastawać na godność Ludwika. Wino zaczęło mu mieszać w głowie, stawał się pewniejszy siebie.

Ludwika, również odurzona porządną porcją trunku, rozparła się wygodniej na krześle. Pochwyciła zgrabną dłonią garść rodzynek i jadła je, słuchając przyjaciela.

– Wkoło niebezpiecznie, pani. Conti nie odpływa, choć na tron ma mierne widoki. Kupcy gadają między sobą, że ma go wspomóc armia Sapiehów. Choć to mało prawdopodobne, bo jeszcze żadnego ich żołnierza nikt pod Gdańskiem nie widział. Za to Sas może liczną armię zgromadzić. Dlatego teraz lepiej z Sasem trzymać. Powinnyście, panie, zmienić front. Kto was w razie najazdu obroni?

– Ja się do polityki nie mieszam, szanowny panie. Moja matka wszystkim zarządza. To ona wydawała francuskie pieniądze na Polignaca, co zresztą nie jest tajemnicą, wszyscy o tym wiedzą. Jeśli zaś o mnie chodzi, mogę popierać Sasa i popieram go, jeśli większość mówi, że tak trzeba.

Florian spojrzał bystro na przyjaciółkę.

– Podziwiam twoją matkę. Dokonała niemożliwego, stając się z chłopki wielką panią. Nikt by tego nie potrafił, a ona wróciła do miasta, z którego ją wyrzucono pod groźbą śmierci. I pod zmienionym nazwiskiem miesza się w politykę państwową. Oto niesłychana historia! Jednak pomimo podziwu uważam, że powinna już ustąpić. I nie zadawać się z imć panem Woyciechowskim, bo to podobno temperament szalony, w całej północnej Rzeczypospolitej się o nim mówi.

Ludwika poczerwieniała. Nie spodziewała się, że Florian zacznie tak szczerze z nią rozmawiać. Oczywiście wszystko było prawdą, a jednak nie powinno wybrzmieć.

– Wypiłeś dużo wina, panie. Proszę, byś nie poruszał więcej tematu mojej matki i przeszłości. Przecież – dodała zniżonym

głosem – służba może nas usłyszeć. Może ty nie chcesz naszej zguby, ale ludzie złej woli tylko na nią czekają.

Przez chwilę milczała w złości, lustrując jego nieszczęśliwą minę, a potem dodała:

– Dziwi mnie, że nie czujesz do mnie wstrętu, panie. Czyżby wszystko było ci obojętne?

Tym razem to w jego spojrzeniu odbiła się złość.

– Wybacz mi nieostrożność, pani. Być może nie powinienem głośno mówić o twoim pochodzeniu. Ale ty nie powinnaś zohydzać się w moich oczach. Czy naprawdę chciałabyś, bym tobą gardził? Z powodu twojego pochodzenia? Znam je i nie obchodzi mnie ono. Czy tak trudno w to uwierzyć?

– Bardzo trudno. Przed chwilą streściłeś całe moje życie, panie.

– Ach, więc mamy rozmawiać nieszczercze? Ty sama opowiedziałaś mi wcześniej wszystko. Więc ty, pani, możesz głośno opowiadać mi o swoich sprawach, ale mnie nie wolno?

– Otwierasz moje stare rany, panie.

Ostatnie zdanie Ludwika wypowiedziała już cicho, patrząc w ławę. Wreszcie nastąpiło nieuniknione – rozmowa o niskim pochodzeniu, której nigdy przedtem nie odbyli. Za nią kryło się więcej – to, że ojciec Ludwika był brutalnym chłopem, złodziejem i podwójnym mordercą. Zabił królewskiego sługę, zabrał kosztowności z gdańskiej sypialni Jana III Sobieskiego, a potem udusił męża prawdziwej Barbary Schwarz, by po roku zdobyć jej rękę. Gdy zaś oboje zawisli na szubienicy, a Wandę i Ludwikę skazano na banicję, pomógł im Konrad Jezierski. Dał damom akty obywatelstwa Barbary Schwarz i jej córki Anny, po czym wsadził na holenderski statek.

Dyskusja nagle się ucięła, obojgu pozostał po niej niesmak. Ludwika siedziała w ciszy jeszcze przez chwilę, ale nie doczekawszy się przeprosin ani słowa pojednania, wstała i podziękowała za gościnę.

– Nie musisz mi dziękować, pani. To ty wszystko przygotowałaś. Gdybyś nie wynajęła służby i nie poleciła kupić jedzenia, siedziałbym teraz sam, głodny.

– Służbę polecam trzymać na stałe, by mieć zawsze czyste pokoje i ciepłą strawę.

Żegnali się, ale inaczej niż dotychczas. Cień niezgody padł na ich więź, dlatego unikali swojego wzroku ze ściśniętymi sercami. Czy to już koniec? Tak głupio się skończyło? – rozważali oboje. Jednak ani Ludwika, ani Florek tym razem nie wypowiedzieli na głos prawdziwych myśli.

\*\*\*

Kiedy dotarła do Totenhofu, była już pewna swojego uczucia do Florka. Przez całą drogę wierciła się w powozie, wspominała niefortunną dyskusję i martwiła się, że już nie ma dla nich szansy. Skoro tak mi na nim zależy i cały czas o nim myślę, to znaczy, że go kocham – rozważała. Z tego powodu postanowiła zasięgnąć porady matki, choć wstyd jej było poruszać z nią tak delikatny temat.

Kiedy zajechała do Dworu Żałobnego, ze stajni wychyliła się część ciekawskiej służby. Ostatnio plotkowano o damach van der Berg i nawet chłopci pojęli, że pobyt obcych patrycjuszek może spowodować pożar lub napaść. Z tego powodu każdy wyjazd i powrót z miasta był komentowany zarówno przez dziewczki służebne, jak i kuchennych czy stajennych. Naradzano się nawet, co zwiastuje ubiór i mimika dam.

\*\*\*

Totenhof stał niewzruszenie. Z jednej strony otaczały go wzgórza morenowe porośnięte drzewami, drugą stronę porastały łąki przecięte szerokim traktem. W oddali, za dworem, wznosiły się dwie wieże katedry oliwskiej i mury cysterskiej wsi Oliwa. Krajobraz spowijała lekka popołudniowa mgła, a nad Stawem Młyńskim latały różnobarwne ważki.

Był to chłodny dzień, więc Ludwika nakryła się szczelnie sukiennym pledem i wyszła z powozu, polecając stajennym odprowadzić konie na spoczynek. Wciąż rozmyślała o Florianie – jego cierpieniu i życiowych porażkach. Kiedy docierało do niej, że zawiniło raczej wino niż on sam, miała ochotę ponownie wsiąść do powozu i wrócić do Gdańska. Cóż by mu jednak mogła powiedzieć,

skoro był jedyną osobą mogącą z niej szydzić? Znał o niej całą prawdę; czy przekonywanie go do czegokolwiek miałoby sens?

– Matko – zagadnęła, gdy tylko zauważyła, że Wanda wychodzi z dworu – mam kłopot.

Wanda spojrzała uważnie na starszą córkę. Była do niej teraz bardzo podobna; różniły je tylko świeżość skóry i kolor oczu – Wandzine tęczęwki jaśniały niebieskawo, Ludwika zaś mieniły się w słońcu niczym dwa bursztyny.

– Jaki masz kłopot, dziecino?

– Mam znajomka w Gdańsku. I pokłóciłam się z nim.

Była pewna, że matka ją zbeszta. Przecież stanowczo zakazała nawiązywania znajomości z gdańszczanami, a Ludwika postąpiła wbrew jej przykazaniu. Jednak zamiast tego Wanda uśmiechnęła się lekko.

– Kto to? Czy poznany niedawno? Nie mówiłaś mi o tym, że nawiądziesz w Gdańsku znajomości.

– Znałam go jako dziecko. I on... wie o wszystkim.

Dobroduszny uśmiech zniknął z twarzy Wandy.

– Jak to: wszystko? Czyli co?

Żeby uchronić się przed narastającym gniewem matki i konsekwencjami, Ludwika wytłumaczyła całą historię. Nie zataiła nawet tego, że to Florian Stein odczytał dla niej list prawdziwej Barbary Schwarz nakazującej Danielowi Schulzowi zabicie Wandy. Stanowiła ostatnią przeszkodę przed rozpoczęciem wspólnego życia. Wszak Daniel udusił Rudolfa Schwarza, ale by poślubić bogatą wdowę, sam musiał wyrzec się Wandy.

Mówienie przychodziło córce z trudem, znów otwierały się rany.

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś o tym, że zawdzięczam życie dwunastolatkowi? Gdyby nie przeczytał ci wówczas tego listu... I właściwie dlaczego go odszukałaś?

– Bo był mi jedynym przyjacielem, matko.

– Czyli on wie o tobie wszystko? I o mnie?

Ludwika potwierdziła, na co Wanda parsknęła z oburzenia. Przyłożyła dłonie do serca, co czyniła ostatnio w chwilach wielkich emocji.

– Jesteś aż tak głupia?! – wybuchła. – Czy wiesz, że teraz nasze życie zależy od obcego człowieka, który po kłótni z tobą może wydać nas w ratuziu? Wszystkie moje starania, by zapewnić wam i sobie godny byt, mogą pójść na marne w jednej chwili! Jeśli gawiedź się dowie, to nie tylko spali ten dwór, ale przedtem rozniesie nas widłami. I będzie to tylko twoja wina!

Kiedy Ludwika myślała, że tyrada matki już się zakończyła i udało jej się nie wybuchnąć płaczem, Wanda chwyciła ją za przedramię, boleśnie wbijając paznokcie w cienką skórę. Pociągnęła córkę w stronę Stawu Młyńskiego, by przypadkiem nie usłyszała ich służba, i zasypała Ludwikę pytaniami.

– Co to za Stein? Czy to ten z kupieckiej rodziny? Daję słowo, nie spodziewałam się po tobie zdrady! Przecież milczenie jest nie tylko w moim interesie, w twoim również. Jeśli cudownym zrządzeniem fortuny powieszają tylko mnie i ciebie, Lisy już nikt poważny nie zechce, o ile ujdzie z życiem.

– Matko...! – próbowała wyjaśniać Ludwika.

Na nic przekrzykiwanie. Wanda szalała jak taran.

– Rozumiem dziecięcą, zakazaną przyjaźń z chłopką. Można czasem potrzebują takiej rozrywki, nigdy nie wiesz, co im się zamarzy. Ale teraz jesteś dorosła i jeśli nawet wtedy byłaś tylko naiwnym dzieckiem, teraz powinnaś uważać na ludzi, a możliwym w szczególności nie ufać. Im możniejszy i lepiej urodzony, tym gorzej się z tobą zabawi!

Wanda sama nie wiedziała, czy mówi o Florianie Steinie czy o Konradzie Jezierskim. Jej oczy zaszklily się, a krzyk uwiązł w gardle. Ludwika przypadła do matki przepaszając, ale zabliznione rany stanęły otworem, boleśnie przypominając właściwe miejsce w hierarchii społecznej dam van der Berg. Jeśli nawet obsypałyby się teraz złotem, w duszy wciąż pozostałby wyrzut wobec własnej przeszłości rodowej i niechlubnej historii z Danielem Schulzem.

– Możesz być najmożniejsza, możesz być patrycjuszką van der Berg, ale pamiętaj – tak naprawdę jesteś tylko chłopką. I banitką. Niczym więcej.

Kobiety stały nad brzegiem stawu, a mgła delikatnie oplatała ich przytulone ciała. Płakały obie, bo prawda, którą nosiły w sercu, wybrzmiała głośno. Nie dało się jej uciszyć ani zmienić. Dopóki o niej rozmyślały, była do przyjęcia. Teraz nie szło nic z nią uczynić, pozostawało ją przyjąć i nosić w świadomości jak wypalony żelazem znak.



## XI



Matko, czy odwiedzi nas jeszcze jaśnie pan Konrad Jezierski? – zapytała nieśmiało Lisa.

Jadły wieczerzę. Wanda zmierzyła młodszą córkę groźnym spojrzeniem, w którym odbił się blask świec.

– Czy pamiętasz, kiedy prosiłam, by nie wymawiać tego nazwiska we dworze?

– Pamiętam, najdroższa matko. A jednak później Jezierscy przybyli do nas. Myślałam, że właśnie się zakończyły.

– Nic się samo z siebie nie kończy, Liso.

Odpowiedź Wandy zabrzmiała ostro, więc córka zakończyła wątek. Było jej jednak ciężko na duszy, bo nie widziała Aleksandra od tamtego pamiętnego dnia.

Jadły w ciszy, okryte sukiennymi pledami. W Totenhofie było coraz zimniej, spędzanie październikowych nocy w letnim dworcu obmierzło wszystkim damom.

Naraz posłyszały tętent kopyt i kilka głosów ozwało się przed dworem.

– Kto nas prześladowe? – Wanda podniosła się znad ławy i zawołała służbę.

Tylnymi drzwiami wszedł Maciejca. Jego twarz wydawała się teraz jeszcze bledsza. Skłonił się przed panią van der Berg i zapowiedział, że przybył jaśnie pan Wolfgang Woyciechowski.

– E, Maciejca. Nie będzie źle – pokrzepiła Wanda.

Choć próbowała dodać ulubionemu słudze otuchy, jej samej ścisnęło się serce. Trwoga widoczna na twarzy Maciejcy nie dodawała pokrzepienia. W ostatniej chwili dopadła Lisy.

– Dziecko drogie, pod żadnym pozorem nie zdradź, że byli tu z wizytą Jezierscy. Najlepiej swą krnąbrną naturę schowaj głęboko w sercu i odpowiadaj tylko zapytana.

Teraz nawet Ludwikę zdjął niepokój, słyszała bowiem słowa matki i uderzył ją ton jej głosu – był rozedrgany. Jeśli zaś ta kobieta, igrająca swoim życiem pod groźbą szubienicy, czegoś się przestraszyła, nie należało lekceważyć zagrożenia.

– Wyjdźmy powitać jaśnie pana Woyciechowskiego.

Rzut oka na bladą twarz Maciejcy spotęgował złe przeczucia Wandy. Zanim wyszła, nakazała sobie opanowanie, bo z nerwów kłuło ją serce, w ciało uderzały fale gorąca. Przynajmniej w końcu się okaże, kim jest ten szlachetka. Zaraz się dowiem – myślała.

Maciejca otworzył damom drzwi, choć wydawało się, że raczej pragnie zabarykadować się we dworze. Wanda zauważyła, że strach udzielił się wszystkim i upiorny dwór stał się niebezpieczną pułapką, w którą naiwnie wprowadziła córki. Opanuj się. Najwyżej uniżenie podziękujesz za gościnę, a potem wyjedziesz. To szlachcic, przecież na godność dam nie będzie nastawał – nakazała sobie z przyganą, bo zaczęły jej drzeć nie tylko ręce, ale też nogi. Każdy widział jak na dłoni, że przyjechał nie człowiek, lecz bies.

– Poświeć, Maciejca.

Za drzwiami panował mrok. Nie widać było ani konia gospodarza, ani samego Woyciechowskiego. Wszechobecna czerń spowijała łąki, trakt oraz Staw Młyński. Choć uchem strzygnij, nie dochodził dźwięk żadnej rozmowy ani nawet kroków. Tylko świerszcze cykały – to ciszej, to głośniej.

Wanda wyszła przed dworek, za nią ustawiły się córki. Wypatrywały teraz nie człowieka, lecz zagrożenia, zdając sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji. Dlaczego dopiero teraz dopadł mnie taki strach? Czyż nie wiedziałam wcześniej, że Woyciechowski to bies? Nic to, trzeba go powitać, może wcale nie jest straszny, tylko chłopstwa nie cierpi.

Wtem ze stajni poczęli wychodzić chłopci trzymający polana. Każdy dzierzył jedno, więc okolica rozjaśniła się nagle.

– Co to jest? – Wanda spojrzała z przerażeniem na Maciejcę, stojącego z boku.

– Jaśnie pan kazał swoim chłopom godnie was powitać, pani.

– Już myślałam, że nas podpałą – mruknęła w odpowiedzi.

Na wszelki wypadek upewniła się, że córki wciąż za nią stoją.

Służba Woyciechowskiego ustawiła się w półkołu, pozostawiając prawą stronę wolną. Przed damami van der Berg i z lewej strony zamajaczyły twarze oświetlone ogniem.

– Co za upiorne powitanie – szepnęła Lisa.

Najgorsze było jednak oczekiwanie na owo powitanie. Przez chwilę nie działo się nic, napięcie rosło. Gospodarz widocznie lubował się w takich sztuczkiach i ani myślał wychodzić do dam wcześniej, niż sobie umyślił. Musiał wiedzieć, jak ponure wrażenie robią jasne twarze chłopów otaczające ciasnym półkolem gościnie z Amsterdamu. Trzymane przez wieśniaków polana potęgowały efekt.

– Może ja stąd pójde – odezwał się nieśmiało Maciejca.

– Ani mi się waż.

Gdy już zdawało się, że Woyciechowski nie powita dam i Wanda namyślała się, żeby go szukać, z prawej strony zamajaczył ogień. Cztery dziewczki służebne niosły polana, dwie po prawej stronie i także samo dwie po lewej. Efektownie zbliżały się do siebie, powoli oświetlając postać idącą ciemnym środkiem. Trzeba przyznać, że jeśli ktoś witał gości wymyślniej niż Woyciechowski, musiał mieć diabelną fantazję.

Wanda spodziewała się zobaczyć nieurodzonego mężczyznę, wszak Maciejca opisywał go skrępowany. Jednak na taki widok nie była gotowa. Gdy dziewczki oświetliły twarz gospodarza, Lisa westchnęła zaskoczona, Ludwikę sparaliżowało obrzydzenie, a usta Wandy, zamiast ułożyć się w wyraz dyplomatycznego uśmiechu, wykrzywił grymas.

– Witam, moje panie!

Cienkie ręce Woyciechowskiego uniosły się w geście powitania, po czym teatralnie opadły. Wanda skłoniła się przed szlachetką, a za nią obie córki. Chcąc nie chcąc, trzeba było patrzeć gospodarzowi w oczy.

– Witamy, jaśnie panie Woyciechowski. Dziękujemy z całej duszy za ofiarowaną dobroć i nocleg w Totenhofie.

Woyciechowski pochwycił wzrok Wandy i zrozumiał, jak wielką wzdargą darzy go pani van der Berg. Tymczasem i ona patrzyła na

niego, starając się znaleźć choć jedną rzecz w fizjonomii, którą można by uznać za sympatyczną lub przynajmniej ładną.

Niestety, Wolfgang Woyciechowski wyglądał niezdrowo. Ziemistą cerę pokrywały rozdrapane czerwone wykwity, najwięcej było ich na policzkach i brodzie. Szerokie czoło gospodarza, choć prawie wolne od gorejących ran, kończyło się bardzo wysoko, nad brwiami rozciągały się poziome, głębokie zmarszczki. Włosy szlachcica zaczynały się niemal od połowy czaszki. Kiedy więc Woyciechowski stał frontem, wydawał się kompletnie łysy, a gdy się pochylił, szpakowate, długie włosy przysłaniały część głowy i spadały czarnymi kaskadami na ramiona. Uwagę przykuwały też małe, trójkątne powieki, spod których padało spojrzenie człowieka rozczarowanego rzeczywistością. Całość fizjonomii dopełniał niezwykle krótki, lekko zadarty nos z widocznymi dziurkami różnych rozmiarów. Wąskie usta ściśnięte niemal w linijkę oraz długa, gęsta broda, wieńczyły rysopis.

Dodatkowo cienki głos pana Woyciechowskiego działał na Wandę odstraszająco, niemiło drażnił uszy. Jedno spojrzenie na twarz szlachcica wystarczyło, by człowiek przeląkł się tego szaleńca, którego ciało z pewnością trawił głęboko posunięty syfilis.

– A to pewnie zacne córy, latorośle – zaczął nieco dziwnym akcentem.

Co za parszywa maniera w mowie – pomyślała Wanda wstrętnie. Podała jednak dłoń do pocałunku i to samo wzrokiem nakazała córkom.

– To Anna, a to Lisa, jaśnie panie. Właśnie raczyłyśmy się jadłem. Zechcesz się przyłączyć?

Woyciechowski łypnął z sympatią, słysząc zaproszenie, i pomyślał, że pani van der Berg zapewne potrzebuje czasu, by się do niego przekonać. Według niego wszystko szło pomyślnie.

– Z chęcią, nadobna pani. Ach! – rozpromienił się nagle – jest też twój wierny sługa. Jak ci było, chłopie? Maciek? Maciejka?

– Maciejca, najjaśniejszy panie.

Skłonił się prawie do ziemi, na co Woyciechowski z zadowoleniem cmoknął i zaprosił damy do dworu.

– Nie stójmy przed dworkiem, bo zimno nam kości pogruchota. A wy – zwrócił się do służby wciąż ich okalających z polanami – rozpierzchnijcie się do swych zajęć. Dziewki, podajcie wieczerzę.

Córki Wandy weszły do dworku ostatnie. W progu Lisa zatrzymała Ludwikę.

– Co on, Litwin jakiś? Jak dziwnie mówi! Trochę przez nos, trochę przez gardło. Jakby język miał z drewna. Może od wewnątrz jegomość dobrodziej też się psuje.

– Liso, nie bądź niewdzięczna! Widzisz, że to człowiek zdjęty chorobą.

– Mnie się jego przyjazd wcale nie podoba. Tylko udaje wielkodusznego, za tą maską kryje się dusza równie zepsuta, co ciało. Wspomnisz moje słowa.

\*\*\*

Ludwika szybko przekonała się, że młodsza siostra miała rację. Gdy tylko Wolfgang Woyciechowski dostał dzban gorzałki i ciepłą strawę, od razu zaczął z pozorów przyjazną rozmowę.

– Jak tu rodzinie! Ten dworek nigdy nie był bardziej wesoły, pani. Wierzę, że tak już pozostanie. Byłoby to dla mnie prawdziwe wybawienie, aby tu przybywać każdego lata i zostawać aż do października. A jak się czuje dzisiaj pani wdowa? Dobry był to dzień, prawda? Dobry dzień, dobry rok. Ale lepszy taki, w którym się nowy ożenek trafi. Co ty na to, pani? Nie można wiecznie wdowieć, człowiek musi mieć obok siebie przyjazną, kochaną duszę, prawda, nadobna pani Barbaro? A więc, pani wdowo, kandydat upatrzony?

Ludwika wpatrywała się w Woyciechowskiego okrągłymi oczami i nie wiedziała, co bardziej jej urąga. Czy to, że szlachcic zwracał się do niej per „pani wdowo”, czy to, że nastawał na jej prywatne sprawy w pierwszej rozmowie, gdy tylko zaczął jeść. Siedziała skrepowana przy ławie, wyprostowana jak struna i z rzadka kiwała głową bez przekonania, z przyklejonym do ust uśmiechem.

Wanda pospieszyła córce z pomocą.

– To bardzo skromne, wierne dziewczę, jaśnie panie. Niełatwo się zakochuje, ale na pewno...

Woyciechowski nie dał jej skończyć. Roześmiał się wrednie i wszedł Wandzie w zdanie.

– Ale nie o miłości przecież chodzi w ożenku, nadobna pani Barbaro. Ach, niewiasty! Zawsze marzą o księciu, wielkiej miłości, sławie mężowskiej. Nie jesteśmy przecież dziećmi, kochana pani Barbaro. W ożenku chodzi o posag. O to, żeby się wznieść na wyżyny, by stać się lepszym, niż się było.

Damy odpowiedziały wymuszonym uśmiechem. Ludwika upiła duży łyk wina.

– A jeśli ty, pani wdowo kochana, nie masz żadnego kandydata upatrzonego, to ja dla ciebie mam idealnego. Uważaj – ze szlacheckiego stanu! Co prawda biedny to szlachcic, ale zawsze szlachcic. Twoje pochodzenie dobre, patrycjuszowskie. Na takie małe mezalianse dzisiaj nikt krzywo już nie patrzy.

Ludwika, upiwszy jeszcze trochę wina, nagle poczerwieniała.

– Ale ja mam!

– Co masz, kochana pani wdowo?

Zaraz rzucę w niego dzbanem – przemknęło Ludwice przez myśl. Zamiast tego wzięła głęboki oddech.

– Mam – jak go nazwałeś, jaśnie panie dobrodzieju, kandydata.

Woyciechowski wybałuszył oczy.

– Ale to nie ty masz mieć kandydata, serce moje! Rodziciele cię za mąż wydają. I rodziciele wybierają. A skoro twój ojciec już pod ziemią – głębokie wyrazy współczucia, nadobna pani Barbaro – to twoja matka powinna znaleźć ci dobrą partię. Ale skoro nie ma, to ja mogę pomóc. Znam taką szlachecką rodzinę, nazywają się Wileccy. Oni mają syna, kochana pani wdowo. I ten syn nazywa się Jan. Jan Wilecki. Spójrz, pani wdowo kochana, jak to nazwisko ładnie brzmi. Damy lubią to, co ładne, prawda? Lubią ładne nazwiska, imiona, świecidełka.

O czym on pierdoli? – zastanawiały się wściekłe panie van der Berg. Ludwika przestała jeść i już tylko piła. Zastanawiała się, do czego posunie się jeszcze gospodarz dworku. Nie dość, że sobie przeczył – wszak z początku sam zapytał o to, czy Ludwika kogoś sobie upatrzyła, a potem wzgardził jej zdaniem – to w dodatku próbował swatać ją przy matce i młodszej siostrze. Na myśl o tym, że

miałaby poślubić syna człowieka zaznajomionego z tym szaleńcem, dostawała mdłości. Taka możliwość, nawet jeśli niewielka, wydawała się koszmarem, labiryntem, z którego próżno szukać wyjścia.

Tymczasem Woyciechowski rozgadał się o rodzinie Wileckich. Wymienił wszystkich bogatszych krewnych oraz krewnych owych krewnych. Ludwika siedziała niezmiennie w tej samej pozycji, z rękoma splecionymi na brzuchu i wymuszonym uśmiechem. Wino pobudziło jednak jej pewność siebie, więc kiedy Woyciechowski na chwilę zamilkł, by napić się gorzałki, wtrąciła nieśmiało:

– Jaśnie panie dobrodzieju, wszystko to brzmi bardzo wielkodusznie. Dziękuję za przedstawienie mi zacnego kandydata – ostatnie słowo wymówiła nieco jadowicie – lecz moja najdroższa matka już postanowiła wydać mnie za męża o nazwisku Stein. Myślę, że też jest ładne i nie można mu niczego zarzucić.

Woyciechowski rozparł się przy ławie jak król. Przybrał pobłażliwą minę i zwrócił się do Wandy, by poznać szczegóły.

– Nadobna pani, nie wspominałaś o tym w liście.

Wanda miała ochotę udusić Ludwikę za ten zuchwały popis przed szlachetką. Spiorunowała ją wzrokiem, ale opanowała się.

– Rzeczywiście, ostatnio wiele słyszałam o rodzie Steinów. To gdańscy kupcy, a ich syn Florian to wykształcony i mądry człowiek. Jednak cała sprawa wciąż się waży, nie mogę powiedzieć, byśmy byli z panem Steinem po słowie.

– Ha! Właśnie! Nie jesteście po słowie. Widzisz, kochana pani wdowo? Czasem lepiej powstrzymać na wodzy jęzorek, zamiast nim chlapać i w błąd wprowadzać. Poza tym, z szacunkiem, nadobna pani Barbaro, kupcy? Przecież kupcy kradną! To największe śwynie w świecie, byle marynarz szlachetniejszy. A im bogatszy kupiec, tym większej fortuny dorobił się na niesprawiedliwości wobec szlachty. Kupcy zwyczajnie oszukują.

Ludwika wierciła się przy ławie. Mierzyła teraz Woyciechowskiego tak nienawistnym spojrzeniem, że Wanda musiała zaoponować, gdyż bała się odwetu córki.

– Kupcy wcale nie tacy źli, jaśnie panie dobrodzieju. – Uśmiechnęła się z przymusem. – O Steinach złego słowa nie słyszałam.

Gospodarz nie odwzajemnił uśmiechu. Wzrok miał ponury.

– Ale ja nie pozwalam.

To zdanie wypowiedział zupełnie inaczej niż pozostałe – miękko i spokojnie, bez emocji. Jego ohydna twarz wyrażała nieprzejednanie – wielkopańską kontrę wobec „niewieścich kaprysów”.

Damy van der Berg wyczuły grozę w tonie głosu gospodarza, więc zamilkły, choć zarówno w Wandzie, jak i w Ludwice rosło poczucie niesprawiedliwości. Na co on nie pozwala? – zastanawiały się obie. I wtedy po raz pierwszy Wanda w myślach zapalała do nieznanego Floriana Steina szczerą sympatią. Po pierwsze na przekór Woyciechowskiemu, po drugie z litości nad córką, a wreszcie po trzecie z powodu nieuzasadnionych obelg na temat kupców. Posłała córce pokrzepiające spojrzenie, ale Ludwika go nie podchwyciła. Siedziała przy ławie przygnębiona, zdana na los człowieka tyleż chorego, co apodyktycznego, niemającego przecież do życia dam van der Berg żadnych praw.

A jednak wyraźnie rościł sobie prawa. Na jakiej podstawie? Zapewne sam nie wiedział. Jednak w przypadku człowieka tak okrutnie chorego na ciele i psychice uzasadnienia wydawały się niepotrzebne, liczyły się tylko kaprysy. Czy zaś poparte argumentami, czy nie – Woyciechowski nie widział różnicy. Kiedy coś szło opornie, siłą walczył o swoje. Teraz widocznie wymarzył sobie władzę nad damami van der Berg, upatrując w nich rodzinę, której nigdy nie posiadał. Po prostu nadarzyła się sposobność i należało ją wykorzystać.

Woyciechowski pojmował, że jest chory, choć w jego mniemaniu syfilis trawił jedynie ciało. Uważał, że myśli trzeźwo, a wszelkimi przejawami okrucieństwa w istocie porządkuje sprawy honoru. Sam o sobie nigdy nie pomyślał jak o szalonym, jeśli już, to raczył się własnymi porywami serca, jakby miały one stanowić o dumie szlachcica. Wielokrotnie upajał się krnąbrnością, dobierając współtowarzyszy równie niebezpiecznych. Przewodnictwo nad kompanią dawało mu poczucie siły i rzeczywiście, nawet zamożniejsza szlachta drżała przed szaleństwem Wolfganga



Woyciechowskiego. Dlatego bogatsi nie wchodzili mu w drogę, a biedniejsi modlili się, aby go nie napotkać.

Teraz uznał, że nic złego się nie stało. Rozparł się wygodnie przy ławie i polecił dolać damom wina.

– A co nam powie nadobna panienka Lisa? Lica masz białe i wyglądasz jak najpiękniejszy zimowy kwiat. Co powiesz mi, kwiecie?

– Podziękowania składam tobie, jaśnie panie, żeś mnie z matką i starszą siostrą przyjął we dworze.

– Jaka dyplomacja, jaki talent! Oj, nie zmarnujesz ty się, kwiecie zimowy. Już ja ci kogoś dobiore.

Wanda wbiła w Lisę stanowcze spojrzenie, wyraźnie prosząc, by młodsza córka trzymała język na wodzy. Jednocześnie myślała: Niedoczekanie twoje, psi synu, że mi będziesz córy za swoich kompanów wydawał. A jednak pani van der Berg już rozumiała, że odrzucenie Woyciechowskiego – jakkolwiek konieczne – będzie bardzo trudne. I właśnie ta myśl gorzała w sercu niespokojnie.

– Tymczasem wieczerza skończona. Czy możemy udać się do sypialń?

– Oczywiście, nadobna pani Barbaro.

Woyciechowski dobrodusznie ucałował dłoń Wandy. Wnikliwie przyglądał się jej twarzy i próbował z niej wyczytać choćby drobne grymasy, ale pani van der Berg je powściągnęła. Gładka twarz, przyzwyczajona już do brzydoty szlachcica, nie zdradziła się ani na chwilę. Dlatego po raz kolejny gospodarz uznał, że zapoznanie przebiegło nadzwyczaj dobrze. Uspokojony tą myślą pożegnał damy, a potem udał się do izby gabinetowej.

## XII



Lisa nie mogła zasnąć. Ilekroć przymknęła powieki, widziała przed sobą ohydną twarz gospodarza. W uszach dźwięczał cienki głos oraz słowa wymawiane drętwo, jakby szlachcic dopiero uczył się mówić. Co za bies. Ale matka chyba się nie ugnie. Niemożliwe, by wyszła za tę bestię dla szlacheckiego tytułu – myślała, lecz niepokój nie dawał jej wytchnienia. Widziała bowiem wyraźnie, że słowo matki może dla Woyciechowskiego znaczyć niewiele. I tu pojawiał się prawdziwy problem, który dostrzegły już wszystkie trzy damy. Na Woyciechowskiego odmowa wcale mogła nie podziałać. Co zechce – weźmie siłą.

A przecież zwiastowało to nie tylko zgubę matki, ale również córek. Ludwika wyszłaby za jakiegoś Jana Wileckiego, o którym wiadomo tylko tyle, że pochodzi z ubogiej szlachty, a ona, Lisa, musiałaby zdać się na los i przyjąć męża innego niż Aleksander Jezierski. Choć od spotkania bezlitośnie upływały kolejne dni, tylko jego Lisa widziała jako swojego męża. W jej mniemaniu inni zupełnie się nie nadawali – a to nadęci, a to bezdennie głupi, a to patrzący na nią jak ciele w malowane wrota. No i co, że mezalians? Mało mezaliansów dookoła? Nasze pochodzenie dobre, z patrycjatu się wywodzimy, a rodzina Jezierskich marnieje. Ich znaczenie spadło, można chociaż spróbować – naiwnie dumiała.

W rzeczywistości Lisa niewiele jeszcze wiedziała o życiu, a więc też o cierpieniu. Ożenek z Aleksandrem Jezierskim wydawał jej się co prawda sprawą trudną w realizacji, ale możliwą. Nieświadoma swego prawdziwego pochodzenia i tego, że Aleksander jest jej przyrodnim bratem, snuła marzenia, które nie miały prawa się ziścić.

Gdy tylko odbiegła myślami od gorączkowych niepokojów, marsowe czoło wygładziło się, a na twarz powrócił spokój. Teraz

przed oczami Lisy, zamiast okropnej, zaropiałej twarzy szlachcica Woyciechowskiego, pojawiło się poważne oblicze przystojnego Aleksandra. Gdyby tylko wiedziała, jak podobne były jej marzenia do tych, które snuła niegdyś matka!

Pogrążony w ciemności Totenhof rozdarło przeraźliwe wycie. Lisa zerwała się z łoża i po chwili nasłuchiwania włosy zjeżyły jej się na głowie, a żołądek zawiązał na supeł. Nieludzkie wrzaski dobiegające z dołu rozpływały się w mroku złowrogim echem. Wydawało się, że wycie nie dobiega z gardzieli żywego człowieka, lecz potępionej duszy. Cienkie rejestry przechodziły w grubsze, potem zaś w charczenie właściwe zarznanemu wilkowi.

Serce Lisy kołatało w piersi i dziewczyna coraz chciwiej chwyciła w płuca powietrze, oddychając płytko i z trudem. Poczuli się jak w potrzasku, więc czym prędzej rzuciła się do skrzyni w poszukiwaniu przedmiotu, który mógłby posłużyć za broń. Niczego tam jednak nie znalazła. Przywykłe do ciemności oczy wodziły po niewielkiej sypialni bezradnie, a stłumiony skowyt nasilał się i cichł.

W końcu Lisa zapaliła gromnicę i z bijącym sercem uchyliła drzwi. Widok matki i siostry, stojących ze świecami na korytarzu, dodał jej otuchy. Wyszła więc i – tak jak one – stanęła przy drewnianej poręczy, wpatrując się w ciemność bijącą z dołu. Skowyt musiał dochodzić z izby bocznej, a więc z gabinetu Woyciechowskiego.

– Może ktoś go morduje – stwierdziła beznamiętnie Ludwika.

Wanda oburzyła się na te słowa.

– Może mu tam pomocy trzeba. Nie musimy od razu zgadzać się na chore pomysły jegomościa, ale podzięką się za gościnę należy.

To powiedziawszy, ostrożnie zaczęła schodzić do głównej sali, a za nią córki. Choć drewniane schodki skrzypiały, dźwięki tłumiono rozpaczliwe wycie.

Co ciekawe, skowyt przybrał teraz inną barwę. Wcześniej zajadły, zmienił się w płacz – głośny, pełen cierpienia. Nadal nie można było rozstrzygnąć, do kogo należy głos, damy podejrzewały jednak Woyciechowskiego.

\*\*\*

Na dole czekały służki gospodarza, również zbudzone wyciem. Tym razem wszystkie stanowczo zagroziły Wandzie drogę do izby gabinetowej.

– Czy to wasz pan krzyczy?

– Na Boga, ciszej, jaśnie pani – szepnęła Kazinowa. – Nasz najjaśniejszy pan cierpi i nie wolno mu przeszkadzać, bo gotowy w szale zabić.

Twarz Kazinowej wyrażała głębokie przerażenie, ale w załzawionych, czerwonych oczach kryło się coś jeszcze. Wanda wejrzała w nie, próbując odgadnąć emocje, które targaly chłopką. I – o dziwo – prócz lęku widniała w nich rezygnacja człowieka osobiście doświadczonego owym wyciem, a może nawet za nie odpowiedzialnego. Woyciechowski skowyczał więc nocami, a Kazinowa dokładnie wiedziała dlaczego. Znała też z pewnością wszystkie tajemnice mrocznego Totenhofu.

– Dlaczego wasz pan cierpi?

Ale Kazinowa nie słuchała, porażona kolejną falą rozpaczliwych dźwięków dobiegających z zamkniętej izby. Skłoniła się szybko kilka razy i ukryła twarz w dłoniach. Spomiędzy palców spływały łzy.

– Błagamy, aby się jaśnie panie i jaśnie panienska wycofały na piętro do sypialni – szepnęła młoda chłopka stojąca koło Kazinowej.

Wanda z chęcią by zaprzeczyła i poczekała na dalsze wydarzenia, ale przerażenie widoczne w oczach służby dobitnie uświadamiało pani van der Berg, że w tym przypadku konsekwencje nieposłuszeństwa mogłyby zaważyć na bezpieczeństwie jej oraz córek. Wycofała się więc ku schodom, a za nią Ludwika i Lisa.

Tej nocy nikt we dworze nie spał. Oka nie zmrużyli ani Wolfgang Woyciechowski, ani damy van der Berg, ani obie służby. Było tuż przed świtem, gdy skowyt ustał. Poranek szarzał powoli, w północnej Rzeczpospolitej zaciął deszcz.

\*\*\*

Rano damy spotkały się z Woyciechowskim przy śniadaniu. Służba kuchenna rozłożyła w misach solone dorsze, podała chleb i masło,

po czym na palcach przemknęła tylnym wyjściem, by nie burzyć spokoju pana.

Gospodarz wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Spod trójkątnych powiek spozierało wejrzenie groźne i nieustępliwe, jakby pod wpływem nocnych wydarzeń Woyciechowski pojął coś, czego wcześniej nie widział. Szlachcic z wczoraj udawał, że życie to pasmo sukcesów i uciech, szlachcic dnia następnego zaś pojmował szkodliwość takiego myślenia i siedział nad pustą misą, odarty ze złudzeń, wciąż jednak tak samo butny.

– Witaj, jasnie panie dobrodzieju – skłoniła się Wanda.

– Witaj, pani. Witajcie, damy.

Wanda zastanawiała się, czy przemilczeć nocne wydarzenia. Była coraz bardziej pewna tego, że Totenhof kryje ponure tajemnice. Ciekawość w niej rosła, ale pytanie o to, czy szlachcic się wyspał, uznała za bezczelne, więc ostatecznie nie podjęła tematu. Przenikliwe spojrzenie gospodarza wnet dostrzegło opuchnięte z niewyspania oczy.

– Gdy skończymy jeść, chciałbym z panią pomówić. Czy możemy wybrać się na przechadzkę po okolicy?

– Z chęcią, jasnie panie dobrodzieju. W oddali pyszne wzgórza porośnięte drzewami. To piękna okolica.

Woyciechowski uśmiechnął się smutno. Ponieważ wczorajsze złudzenia opadły i naga prawda stanęła mu przed oczami, ujrzał jak na dłoni, że pani van der Berg do niego nie pasuje. Była to istota, którą niełatwo przestraszyć i zamknąć w klatce, a na mocowanie się z kobietą Woyciechowski nie miał siły. Z mężczyzną owszem, mógłby się spróbować, bowiem żaden nie zasiał w jego sercu niepokoju. Kobiety – z nimi było inaczej.

Barbara van der Berg była damą wielkiego formatu. Biło od niej poczucie niezależności, którego Woyciechowski nie rozumiał i którego się u kobiet bał. Przypominało mu o własnej słabości.

\*\*\*

Wyszli przed dwór. Co prawda deszcz przestał już padać, ale na trakcie utworzyły się błotniste kałuże, więc Woyciechowski

poprowadził panią van der Berg tylko do brzegu Stawu Młyńskiego.

– Niebawem zimno zagości do dworu. Czy chciałabyś, pani, przenieść się z córami do miasta?

– Tak, jasnie panie. Nocami chłód przeszkadza już w odpoczynku, nad ranem kości zmarznąte.

– Dwory letnie tę mają wadę, że tylko na ciepłe dni się nadają. Przeniosę się i ja do Gdańska. Może trzeba będzie pani w czymś pomóc.

Wanda zaryzykowała:

– Jasnie panie dobrodzieju, przyznasz, że dwór ma osobliwą nazwę.

Ta uwaga zbiła Woyciechowskiego z tropu, a nawet trochę zirytowała. Po tonie głosu poznał, że pani van der Berg zastanawiała się już wcześniej nad nazwą Dworu Żalobnego i wreszcie odważyła się poruszyć tę kwestię.

– Pani, wiesz przecież, że liczy się efekt. Mam pojęcie, co powiadają o mnie w północnej Rzeczypospolitej. Mówią, że jestem człowiek szalony, choć po prawdzie szalonym się nie czuję. Ale na przekór wszystkim dwór nazwałem Totenhof, by spędzać sen z powiek wszystkim dookoła. Ot, cały sekret.

Wanda wyczuła nutę irytacji w głosie szlachcica, ale nie zdążyła odpowiedzieć, bo Woyciechowski mówił dalej:

– Tutaj więcej takich, którzy lubią szybko żyć. Tam w oddali rozpościera się Dolina Schwabego, czyli *Schwabental*. Okoliczni dalej tak nazywają i dolinę, i dwór, choć Jakub Schwabe dawno już nie żyje. Wykupił przed wieloma laty grunty jezuickie, miał nie tylko dworek – *Schwabenhof*, ale i ogrody. W jakieś nielegalne szachrajstwa się bawił i w końcu targnął się na własne życie. Nic mu innego nie pozostawało, chyba że zginąć z rąk kata, a na to pan Schwabe nie miał widać ochoty.

Przez chwilę szli w milczeniu, ale Woyciechowski chował urazę. Wanda niechcący rozjątrzyła ranę, a ostatnio krwawiła ona tej nocy, gdy szlachcic wył w swoim gabinecie ze zgryzoty nad życiem, samym sobą i pewną młodą kobietą, którą niegdyś zdawał się kochać. A że Wolfgang Woyciechowski wszystko przeżywał szaleńczo, uczucie miłości powodowało w jego umyśle ucisk

niewysłowionych boleści. Podczas spaceru również go odczuwał. Promieniował w głębi czaszki, rozlewając się pulsującymi falami. Znów cierpiał nad sobą i przeszłością.

– Okolice jest przepiękna – powtórzyła Wanda.

Nie wiedziała, o czym mogłaby jeszcze rozmawiać ze szlachcicem Woyciechowskim. Wyraźnie dawała mu odczuć swą wdzięczność za przyjęcie do dworu, a jednocześnie starała się trzymać gospodarza na dystans. Na ożenek nie było w niej przyzwolenia.

– To prawda, pani. Żeby nie było tak ponuro i smętnie dodam, że powyżej Doliny Schwabego rozpościera się Dolina Radości wraz z dobrami. Za nami zaś widzisz, pani, pierścień murów obronnych wsi Oliwa. Czy zajechałaś, by zobaczyć klasztor?

– Nie byłam we wsi Oliwa, jaśnie panie. Tamtejszy opat nie jest mi przychylny z powodu niechęci do księcia Contiego, którego wspierałam w walce o tron.

Woyciechowski aż poczerwieniał z powodu nagłego ataku wściekłości. Postąpił kilka kroków w stronę odległych zabudowań, związując pięści.

– To nędzny przechera! – krzyknął bez zahamowania. – Jak śmie damie wstępu bronić?! Z szablą zajdę do klasztoru i go posiekam na drobne kawałki, miazga po nim zostanie!

– Ależ on nie bronił mi...

– Ale niechętny ci jest, pani!

Tu Woyciechowski odwrócił wściekłą twarz ku pani van der Berg, która w zdumieniu patrzyła na nagłą zmianę w zachowaniu chorego szlachcica.

Gdy tylko objął ją wzrokiem, jego twarz wygładziła się, a spojrzenie przygasło. Nagły atak szału zakończył się równie szybko, co zaczął.

– Jaśnie panie, czy możemy pomówić o przyjemnych sprawach? Są niedaleko piękne dwory.

Choć Woyciechowski przytaknął, złe spojrzenie i powłóczyście gesty zdradzały, że wciąż żywi ogromną urazę do oliwskiego opata Michała Antoniego Hackiego – zagorzałego przeciwnika francuskiego księcia. Jego głos też się zmienił. Wanda nie wyczuwała w nim już miękkiej łagodności, lecz ostre sztylety.

- Tak, są letnie rezydencje patrycjatu w podmiejskich osadach. Pyszne ogrody do tego. Stoją w niewielkich od siebie odległościach, a ostatni został wzniesiony tuż przy dolinie Samborowo. Z drugiej strony, za Oliwą, też jest kilka wsi, tuż przy samym morzu...

Zamiast mówić, Woyciechowski urwał w pół zdania. Pomilczał przez chwilę, jakby się nad czymś namyślał, a potem z oburzeniem wznosił ręce do góry.

- Nie! Ja tak nie mogę! Pani mnie hamujesz, za co jestem wdzięczny. Pani mnie uspokajasz. Ale jaka to wdzięczność z mojej strony za tę dobroć, skoro płazem puszczam temu nikczemnikowi z Oliwy jego przewinienia?! Przecież ja powinienem kompanię zebrać i z towarzyszami ruszyć na klasztor!

Woyciechowski z pewnością tak by postąpił, zresztą uszedł kilka kroków w stronę Totenhofu, ale zaniepokojona Wanda desperacko pochwyciła drżącą z emocji dłoń szlachcica.

- Nie rób tego, jaśnie panie dobrodzieju! Kim będziesz, jeśli na godność klasztoru oliwskiego nastaniesz? Już cię w północnej Rzeczpospolitej przeklinają. Nie przelewaj krwi w niesłusznej sprawie, nie nastawaj na klasztor!

Wnet oboje ogarnęło zmieszanie. Wanda puściła dłoń Woyciechowskiego i skłoniła się. Dotyk pani van der Berg podziałał na szlachcica piorunująco. Wzburzenie opadło, rozbudziła się nadzieja. Wanda po raz pierwszy widziała go tak speszonego. Zrozumiała, że spośród ogromu odczuwanych przez szlachcica emocji mogą wysunąć się na prowadzenie też takie, których za nic nie zamierzała rozbudzać. Zaraz pożałowała desperackiej reakcji.

Stali naprzeciwko siebie zmieszani. Wanda - ze wzrokiem wbitym w podmokłą trawę i Wolfgang - z karuzelą przytłaczających uczuć. Nastąpiła cisza.

Pierwszy odezwał się szlachcic.

- Ciemne chmury zbierają się nad stawem, nadobna pani.

Rzeczywiście, zanosilo się na jesienną ulewę. Mimo to Wanda tkwiła nieruchomo nad brzegiem, choć od wilgotnej trawy przemokły już jej trzewiki na korku. Czuli się teraz odpowiedzialni za nastroje Woyciechowskiego, a zarazem niepewni tego, jak powinna się dalej zachowywać. Rozmowa z chorym szlachcicem



była ryzykowna niezależnie od podejmowanego tematu. Każdy gest, każde słowo – wszystko mogło wywołać nagły gniew i zmieniać się zależnie od kaprysu choroby.

– Chyba się mnie nie boisz, najmilsza pani?

Wanda sama już nie wiedziała, czy raczej boi się, czy współczuje. Choć trudne doświadczenia z przeszłości wyrobiły jej charakter, tak niesłychanej rozmowy jeszcze nie prowadziła. Podniosła nieśmiało wzrok i pod wpływem przyjaznego spojrzenia szlachcica zrezygnowała z wypowiedzenia prawdziwych uczuć. Jakby mogła oznajmić, że się go obawia, ale też lituje się nad nim? Jakże mogła odrzucić go właśnie teraz, skoro niechybnie oznaczałoby to wzbudzenie potwornego gniewu? Wanda była świadoma, że takie postępowanie zakończyłoby się tragicznie.

– Jaśnie panie, proszę, zostaw klasztor. Choć opat nie cierpi księcia, jest przecież człowiekiem i serce mu bije tak samo jak mnie czy tobie.

– Mój Boże, ty dalej o klasztorze, pani? Jakaś ty dobra. I wszystko potrafisz mi wytłumaczyć, i mnie uspokoić. Dziękuję ci za wyciągnięcie dłoni. Ta dobroć niewieścia wszystko mi wytłumaczyła. Byłbym ślepcem, chcąc napaść na klasztor, zaszlachtować opata. Dzięki tobie zrozumiałem swój błąd.

To powiedziawszy, Woyciechowski zbliżył się do pani van der Berg. Poruszyła się niespokojnie, ale nawet nie mogła uskoczyć – za nią migotała tafla Stawu Młyńskiego. W głowie poczęło jej huczeć od emocji, wśród których dominował wstręt. Na szczęście Woyciechowski nie odważył się na pocałunek. Powoli złożył głowę na ramieniu Wandy i przemówił:

– Jeśli zgodzisz się, pani, żeby mi towarzyszyć w Gdańsku, a może i w życiu, to stanę się lepszym człowiekiem, stanę się nim na pewno. Wiem, że potrafię być lepszy. Czasem coś mi huczy w głowie i na koniu trudno się utrzymać. Przychodzą zawroty głowy i ból rozsadzający czaszkę nie daje mi w nocy spać. Każdy musi dźwigać swój krzyż, ja się z moją fizyczną słabością zmagam. Jednak, choć zwą mnie szalonym, ja się szalonym nie czuję, tylko samotnym. Powiadają, że nie pożyję długo, ale ja nie mam po co żyć długo. Ty,

pani, dajesz mi nadzieję. Przy tobie chciałbym żyć długo. I wiem, że bóle by ustały.

Wanda czuła, że Woyciechowski nie wierzy we własne słowa, i nagły żal chwycił ją za serce. Męka tego człowieka musiała trwać już długo, szlachcic był zmęczony. Odjął policzek od jej ramienia i cofnął się nieznacznie, by przywrócić właściwy rozmowie dystans.

– Powiedz coś, pani. Zaraz zacznie padać, a to takie piękne miejsce na rozmowę.

– Czego żądasz ode mnie, jaśnie panie? Czy ja mogę ci cokolwiek obiecać w świecie, w którym wszystko niepewne? Człowiek jest marną trzcina na wietrze.

Tymi słowami Wanda chciała kupić czas do namysłu. Nie mogła rozwiać nadziei Woyciechowskiego właśnie teraz. Łudziła się, że kiedyś nadejdą lepsze okoliczności, by zerwać znajomość.

– Dobrze, pani. Rozumiem, że nie możesz przyjąć człowieka z taką reputacją – zaczął Woyciechowski gniewnie. – Zatem jak w kościele lud spowiada się przed kapłanem, tak ja wypowiadam się przed tobą. Słuchaj i rozsądź, czy mi możesz przebaczyć.

Woyciechowski stał na tyle blisko, że Wanda czuła, jak jego ciałem miota wzburzenie.

– Z moją kompanią dopuszczałem się czynów niegodnych, nastawałem na życie krnąbrnego chłopstwa. Taki już jestem, że jak chłop się krzywo uśmiechnie, to mi się burzy krew w żyłach. Nie lubię chamstwa i z tego nie muszę się tobie, pani, spowiadać. Ale z tego, że kazałem powiesić kilku chłopów, jednego spalić i jednego zakopać żywcem za nieposłuszeństwo, to chyba trzeba. Kajam się przed tobą, pani. Teraz bym ich wychłostał, a nie na sznur rzucał. To wszystko, więcej grzechów nie pamiętam i za wszystkie przed tobą żałuję. Czy teraz widzisz, jak bardzo jesteś mi droga?

Krótką ta spowiedź – pomyślała Wanda, nie wierząc w żal Woyciechowskiego. Lista grzechów również wydała jej się dziwnie okrojona i pełna ogólników. A przecież słyszała relację Maciejcy, widziała przerażone twarze szlacheckiej służby.

Woyciechowski, choć chory, przenikliwie odczytywał z zachowania intencje ludzi i prawdziwe myśli. Był wnikliwym obserwatorem, a cisza utwierdziła go w słusznym wniosku – na

Wandzie jego spowiedź nie zrobiła oczekiwanego wrażenia. Po prostu był niewiarygodny.

Ponieważ dalej odczuwał wobec niej ciepłe uczucia, konstatacja wprawiła go w zakłopotanie.

– Mówię ci to niechętnie, pani, ale do jeszcze jednego głupstwa muszę ci się przyznać. W szale posiekałem też szablą młodego szlachcica Jezierskiego, o którym pisałem w liście. Lecz dla ciebie, pani, to zrobiłem, bo mi pisałaś, bym wymierzył mu lekcję pokory, gdy go spotkam. Widzisz, nadobna pani, jakaś mi droga? Jedno twe słowo i nie ma już młodego Jerzego Jezierskiego.

Wandzie pociemniało w oczach. Dopadła do Woyciechowskiego, siłą powstrzymując się od pochwycenia go za ramiona. Oddech prawie ustał.

– Jak to: już nie ma? – zapytała płaczliwie.

– Nie żyje. Zamordowany dla ciebie i dzięki twemu słowu, pani.

Gniew Woyciechowskiego i wszystkie strachy związane ze szlachetką przestały mieć dla Wandy znaczenie. Popatrzyła w przenikliwe oczy i uchwyciła w nich wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Coś mówił, ale nie słyszała, przestała też oddychać. Nie otrzeźwiła jej nawet ulewa, która nagle gruchnęła. W oczach pociemniało, bezwładne ciało osunęło się w ramiona przerażonego szlachcica.

## XIII



Lisa siedziała na łożu zgnębiona. Każdy dzień spędzony w Totenhofie dłużył się niemiłosiernie. W dodatku matkę dopadła nagła słabość i choć wybudziła się z omdlenia dość szybko, wciąż leżała w sypialni obojętna na wszystko.

Lisa przyjmowała większość spraw z obojętnością. Nie dla niej świat politycznych rozgrywek, nie dla niej troski życia i finansów. Liczyły się za to przymioty własne oraz nazwisko, dzięki któremu wzbudzała emocje. Lubiała, gdy na nią patrzono, nawet nienawistnie. Jako młoda patrycjuszka, mogła nawiązywać pasjonujące znajomości, przebierać w strojach i skwapliwie przyjmować do serca tych, którzy wystarczająco usilnie zabiegali o jej towarzystwo. Czyniło to z niej istotę próżną, rozmiłowaną w silnych doznaniach.

Teraz czuła się nieważna. W nikim nie wzbudzała podziwu, nikt nawet na nią nie patrzył. Marnieję jak kwiat. Przez słabość matki zostaniemy we dworze jeszcze kilka dni, a przecież planowałyśmy wyjechać do miasta. Zimno tutaj i nudno – dumiała, skubiąc warkocz.

Podeszła do okna i ujrzała, że zza chmur wyszło słońce. Naraz poczuła jego siłę, promienie delikatnie oświetlały jej młodą twarz. Serce zabiło szybciej i uśmiech nadziei rozjaśnił oblicze. Przywołała służkę.

– Każ zaprzęgać powóz na dwa konie, ale trzymaj jęzor na wodzy. Zejdę za kwadrans.

\*\*\*

Sypialnia wyglądała, jakby przeszło przez nią tornado, ale Lisa była zadowolona. Wybrała purpurową suknię, rozczesała włosy i splotła je wysoko, *à la Fontange*. Fryzurę zdobiły dodatkowo perłowe spiny

ze złotymi wpięciami. Wyglądała teraz pięknie i właśnie tak się czuła – po raz pierwszy od pamiętnego pocałunku z Aleksandrem.

Wyszła z dworu zadowolona, wystawiając gładką twarz ku słońcu.

– Panienska kazała zaprzęgać – odezwał się Wąsik.

Siedział już na koźle, wyprowadzając kare konie na rozmokły trakt.

– Jedziemy do miasta. A ty – zwróciła się wyniośle do służki stojącej nieopodal – idź do mojej sypialni, pozbieraj suknie i włóż do skrzyni.

Wąsik zmarszczył brwi.

– Jaśnie pani Barbara poleciła panience jechać do Gdańska?

– Tak.

Kłamstwo przyszło Lisie gładko. Choć po drodze zaczęły dręczyć ją wyrzuty sumienia, że samowolnie, bez wiedzy matki, wybrała się do miasta, równoważyła niepokój butnymi argumentami. Czyż panna z patrycjatu nie może wybrać się na małą wycieczkę? Przecież nic się nie stanie. Matka leży bez sił w łóżu, ale już jej lepiej. Nie muszę przy niej czuwać przez cały czas. A może przy okazji cyrulika sprowadzę i nikt nie będzie się na mnie gniewać.

Ostatnia myśl podniosła ją na duchu. Woyciechowski sam chciał gnać po medyka, gdy Wanda omdlała. Wybudziła się jednak u szczytu piętra, gdy szlachcic niósł ją do sypialni. Stanowczo oznajmiła, że cyrulika nie chce i pragnie jedynie samotności. Ponieważ Wolfgang czuł się winny osłabieniu Wandy, przyjął prośbę z pokorą, ale zaznaczył, że jeśli utrata świadomości się powtórzy, nie będzie się oglądał na „niewieście fanaberie”.

\*\*\*

Gdańsk oferował Lisie wszystko, czego pragnęła. Piękne kamienice pieściły jej oczy; ludzie różnych stanów przypatrywali się powozowi i patrycjuszce z wyraźnym zainteresowaniem. Już nie była tu anonimowa, teraz rozpoznawali ją jako najmłodszą z dam van der Berg, mieszających się w politykę państwa. Lisa korzystała z przywileju skwapliwie, obdarzając ciekawskim spojrzeniem tych, którzy wydawali jej się najbardziej interesujący. Byli wśród nich luterańscy duchowni i zagraniczni kapitanowie, bogaci kupcy oraz

szlachcice w różnorodnych strojach – skrojonych na zachodnią lub polską modłę. Ulicą Długą podążały też patrycjuszki w chustach zakrywających włosy, jedne ubrane jesiennie, inne jeszcze letnio.

Dzwon ratuszowy wybił piętnastą. Słońce rozświetliło miasto, na dobre przeganiając ciężkie chmury. Chłodny wiatr smagał zaróżowione policzki panny van der Berg. Chłonęła piękno Gdańska, wypatrując najciekawszych rzeźb, przedproży i rzygaczy. Żeliwne kraty, ozdobne drzwi z kołatkami, kolumnienki – wszystko, co piękne, pochłaniało ją bez reszty.

Wąsik wjechał na Długi Targ i właśnie wtedy Lisie przyszedł do głowy pomysł. Wydawał się niebywale prosty w realizacji, prawie zapiszczała z radości, że uda jej się pogodzić kilka interesów naraz i wyjdzie z tego bez skandalu. Ani w mieście, ani we dworze nikt nie będzie się na nią gniewał.

– Stań przy kamienicy, w której zatrzymali się jaśnie panowie Jezierscy.

Gdy powóz się zatrzymał, serce zaczęło bić jak oszalone, ale krnąbrna natura nakazywała Lisie podążać za tym, co niebezpieczne i zakazane, czyli przede wszystkim pasjonujące. Gdy zastukała do drzwi, otworzyła jej młoda służka.

– Prowadź mnie do jaśnie pana Aleksandra.

Wnętrze kamienicy prezentowało się dobrze. Przy wejściu, z lewej strony, stała duża szafa sienna rzeźbiona w orzechu i mahoni. Prawą ścianę zdobił duży *panneau* utworzony na fajansie. Przedstawiał lwa w pozycji siedzącej. Dalej kręte schody prowadzące na piętro, z obu stron okute żeliwną balustradą.

– Jaśnie pan przyjmuje na piętrze. Zostań, jaśnie wielmożna pani. Zaanonsuję.

– Czy uważasz, że twój pan nie zechce mnie widzieć? Nie bądź bezczelna, dziewczko. Prowadź na górę.

Lecz zanim zdążyły wejść na schody, usłyszały, że ktoś schodzi. Najpierw pojawiły się nogi okute w wysokie szlacheckie buty. Potem zamajaczył spód niebieskawego kontusza. Wreszcie wyłoniły się złote guzy, pas szlachecki przetykany złotymi nićmi i na końcu głowa Aleksandra Jezierskiego.

Kiedy ujrzał Lisę, zdumiony przystanął u wylotu schodów.

– Witaj, jaśnie panie.

– Witaj, panienko. Nie spodziewałem się twojej wizyty.

Zaprosił Lisę na górę i kazał podać gdańskiej gorzałki. Chwilę później siedzieli naprzeciwko siebie, ukrywając zmieszanie rozmową o pogodzie. Jednak naprawdę przyglądali się sobie z tłumioną radością.

W izbie panował półmrok, ponieważ Konrad nigdy nie odsłaniał kurdybanowych zasłon. Siedzieli na fotelach usytuowanych po lewej stronie izby. W tym samym pokoju Konrad przyjmował wcześniej burmistrza i od tamtego czasu nic się nie zmieniło. Służba podstawiała jedynie cienki kawałek płótna pod jedną z hebanowych nóg stolika, by stał prosto.

– Nie powinnaś przyjeżdżać do miasta, panienko. To bardzo niebezpieczne. Wciąż kójarzą ród van der Bergów ze zwolennikami Contiego.

– Co mi tam jakiś Conti – prychnęła Lisa.

Jak zwykle zachowywała się bezczelnie, lecz zarazem uprzejmie. Wyczuła, że syn wielkiego chorążego koronnego ma do takiej postawy słabość i nie oczekuje kurtuazji.

Teraz też uśmiechnął się, słysząc te słowa.

– Czy ród van der Bergów nie wspiera już Contiego?

– Nie wiem, jaśnie panie. Polityka jest mi obca, nie znam się na niej.

– Zatem nie przyszłaś prosić mnie o pomoc?

– Sama świetnie sobie radzę – Lisa wnet przypomniała sobie o własnym planie. – To znaczy nie, wcale sobie nie radzę. Nie radzimy sobie z matką. Wiesz o tym dobrze, jaśnie panie, że zawitał do nas awanturnik Woyciechowski. Dziś matka osłabła i bez życia, zawieszona między życiem i śmiercią, spała przez kilka minut. Potem wybudziła się nagle, ale do tej pory leży w sypialni bez medyka. Bo jaśnie pan Woyciechowski wcale go nie wezwał. Przygnałam tu do ciebie, jaśnie panie, byś mi w swojej mądrości poradził, gdzie bym mogła zwrócić się o pomoc. W Gdańsku medyków moc.

– Nie wezwał medyka?! To człowiek bez serca! Jedź, panienko, czym prędzej na Świętego Ducha i poproś o cyrulika. Gdybym

wiedział, żeś w pilnej potrzebie, od razu bym mówił, a nie zapraszał na gorzałkę.

Nie tak się miała potoczyć ta rozmowa i Lisa wyrzucała sobie, że jej relacja była zbyt dramatyczna. Medyka miała przywieźć do matki mimochodem, pod koniec wycieczki. Teraz chciała zostać u Aleksandra.

– Pojadę, tylko gorzałkę dopiję, bo mnie też słabość chwyciła i nie czuję się dobrze. Wolę zostać, by mroczki ustały.

– Ależ panno Liso, przecież nie mogę cię zostawić bez pomocy. Wsiądę na konia i sam po cyrulika pojadę, to przecież blisko. Zajedziemy tutaj, służba przygotowuje powóz i ruszymy do dworu imć pana Woyciechowskiego. Może trzeba krwi upuścić.

Rozmowa wypadła coraz mniej pomyślnie, a Lisa coraz bardziej plątała się we własnych kłamstwach.

– Nie trzeba, nie trzeba – przekonywała.

Jednak Aleksander już zwołał służbę, by pilnowała Lisy. Sam kazał siodłać konia i, włożywszy żupan, ruszył pędem po cyrulika. W izbie na piętrze zostały tylko cztery służki i Lisa.

– Na to wam Bozia ślipia dała, byście się na mnie patrzyły? – sarknęła zdenerwowana.

Odwróciły wzrok, ale zostały w izbie, by w razie pogorszenia stanu zdrowia paniENKI interweniować.

Teraz Lisa rzeczywiście nie czuła się najlepiej. Pobladła ze zdenerwowania, przypominając sobie, że Woyciechowski nie przepada za rodem Jezierskich. Gdy zaś Aleksander przywiezie cyrulika i skoczy Wolfgangowi do gardła za to, że gospodarz sam się tym nie zajął, dzień może zakończyć się nieszczęśliwie. Należało czym prędzej przekonać Aleksandra, żeby nie jechał. Wezmę cyrulika do naszego powozu i powiem jaśnie panu, że czuję się już dobrze, a w razie czego mam medyka do pomocy. Przecież zrozumie, że do Woyciechowskiego jechać ze mną nie powinien – myślała.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Lisa nasłuchiwała tykania zegara. Zaczęła wreszcie obwiniać za sytuację samą siebie. Najpierw liczyła na wycieczkę do Gdańska, potem zamarzył jej się cyrulik – tylko po to, by we dworze nikt się na nią nie gniewał – a na końcu uknuła cały plan, by przy okazji wyjazdu wstąpić do Jezierskiego pod



pretekstem prośby o pomoc. Pierwsze samokrytyczne refleksje pojawiły się prędko.

Naraz w sieni nastąpił popłoch. Wstała i wygładziła suknię. Była zdeterminowana, by przedstawić swój pomysł i uniknąć spotkania Jezierskiego z Woyciechowskim. Ciężkie kroki wskazywały na to, że po schodach idą dwie osoby. Może cyrulik – zdążyła pomyśleć Lisa. Jednak u progu izby stanął ojciec Aleksandra – sławny Konrad Jezierski.

Lisa nieśmiało ukłoniła się przed chorążym.

– Witaj, jaśnie panie.

– Wyglądasz zdrowo, panienko – zauważył Jezierski oschle. – Zejdźmy, powóz już czeka.

Konrad zdawał się rozumieć intrygę Lisy, był wszak bystry. Omiótł ją niechętnym spojrzeniem i gestem zaprosił do sieni. Wobec tak surowej postawy Lisa skuliła się w sobie i zaniechała tłumaczeń. Nie chciała drażnić ojca Aleksandra swoimi pomysłami.

\*\*\*

– Czy wiesz, dokąd jedziemy, jaśnie panie?

– Oczywiście, że wiem. Do włości imć pana Woyciechowskiego – odparł Konrad. – Swoją drogą to osobliwe, że wybrałaś się do naszej kamienicy, nie zaś prosto na Świętego Ducha. Czyżbyś nie wiedziała, gdzie można znaleźć cyrulika?

Powóz jechał szerokim traktem w stronę wsi Oliwa. Panowała nieprzyjemna atmosfera. Cyrulik patrzył w ziemię, Konrad zdawał się rozdrażniony, a Aleksander posłusznie milczał, nie chcąc prowokować ojca.

– Nie znam Gdańska, jaśnie panie.

Konrad spojrział na nią ostro, ale nie odpowiedział. Zwrócił się za to do syna:

– Czy posłaniec przyniósł listy od Jerzego? Miał się zjawić już wczoraj.

– Nie, ojczy. Posłańca u nas nie było. Może Jerzy nie pisał już listów? Miał się zjawić w Gdańsku najdalej za dwa tygodnie.

– Zawsze pisuje.

Zmarszczone czoło starego Jezierskiego oznaczało, że chorąży usilnie nad czymś rozmyśla. Zafrasowany nie zauważył nawet, kiedy powóz stanął przed Totenhofem.

– Dotarliśmy. – Lisa wyszła pierwsza.

Nie zdążyli się nawet rozejrzeć, z dworu wyszedł Woyciechowski. Na widok Jezierskich zbladł. Chciał wrócić do izby gabinetowej po szablę, ale powstrzymał go rozsądek.

– Witajcie, waszmościowie – zaczął ostrożnie.

– Witaj, waść. Cyrulika wam przywiozłem. Podobno pani Barbara niezdrowa.

Choć Konrad starał się rozmawiać uprzejmie, na widok potwornej twarzy Woyciechowskiego brało go obrzydzenie.

– A skąd ta troska o panią van der Berg? Interesy polityczne masz waść zupełnie inne niż nasze.

– Niż wasze – Konrad zjadliwie podkreślił ostatnie słowo.

Na samą myśl o tym, że ktoś taki jak Woyciechowski mógłby dotknąć Wandę, Konrad miał ochotę dobywać szabli. Powietrze zgęstniało od emocji i po chwili obaj szlachcice nabrali ochoty na awanturę. Mimo to miarkowali się. Woyciechowski ze względu na brak szabli, Jezierski zaś z myślą o własnej reputacji.

– Tak czy inaczej, dziękuję waszmości. Najmilsza pani Barbara niezdrowa i choć przytomności znowu nie straciła, leży w łożu, nawet do jadła nie zeszła. Okrutna słabość musiała ją chwycić.

Konrad popatrzył na Wolfganga podejrzliwie.

– A skąd nagle u najmilszej pani Barbary słabość?

– Na porannej przechadzce źle się poczuła. Ale byłem przy niej cały czas i w porę chwyciłem mdlejące ciało, by przypadkiem nadobna pani wdowa nie uderzyła główką o twarde podłóżo. Dziękuję za przysłanie cyrulika. Kiedy już krwi upuści i poda, co trzeba, woźnica odwiezie go z powrotem do Gdańska.

Choć było to pożegnanie, Konrad stał przed Wolfgangiem nieruchomo.

– Chciałbym wejść z cyrulikiem i zobaczyć, czy pani van der Berg istotnie przytomna.

Woyciechowski miarkował się już ostatkiem sił.

- Nie trzeba, po co waść się będziesz fatygował na górę? To mój dwór i ja w nim wszystkiego najlepiej dopilnuję. Cyrulik wystarczy.

Chyba wystarczy, żebyś wyrobił dzienną porcję mordy. Łeb mu ukęcisz i nikomu już nie pomoże - myślał zawistnie Konrad. Wobec takiej odpowiedzi powinien pożegnać się i odjechać. Jednak zbyt mocno martwił się o zdrowie Wandy.

- Wystarczy czy nie, ale z chęcią bym odpoczął po podróży. Tymczasem cyrulik u pani Barbary robi, co trzeba. Chyba waść nie odmówisz gościny?

Nie było możliwości, by odmówić królewskiemu chorążemu bez wywołania awantury, więc Woyciechowski zaprosił Jezierskich do dworu. Z kolei Lisę obwołał w duchu zdrajczynią.

\*\*\*

- Znakomitą gorzałką nas, waść, raczysz. Po smaku poznaję, że z podmiejskich browarów. Mnie też gdańska nie podchodzi. Sypialnie są na górze?

Siedzieli przy ławie w głównej izbie. Woyciechowski naburmuszony i lekko załębiony, Konrad - pełen sztucznej bez troski. Naprzeciwko siebie spoczęli Aleksander i Lisa.

- Tak, mości panie Konradzie.

- Ciało, widzę, chude, ale tężyzny masz waść trochę. W sam raz, by panią Wan... Barbarę przenieść nieprzytomną aż na piętro. Czy ci kto pomagał?

- Miłe ciało nieciężkie.

Woyciechowski usilnie zastanawiał się, dlaczego Konrad przejął się zdrowiem pani van der Berg. W jego głowie huczało od domysłów.

- Jakże się z nadobną panią Barbarą poznaliście?

- Nie znamy się prawie wcale. Syn mój, Aleksander, wpadł na panienkę Lisę przy straganach. Chwilowa rozmowa zamieniła się w znajomość. Z pewnością Lisa chciała szukać pomocy dla matki, ale nie знаła Gdańska. Wiedziała tylko, gdzie my się zatrzymaliśmy. Może cię dziwić, że Jezierski, którego interesy polityczne są obce interesom pani Barbary, niesie pomoc, ale czyż mogliśmy z synem

odmówić przełęcznionej paniencie? Poza tym ludzka to rzecz, by cyrulika wezwać, gdy człowieka bożego słabość dopada.

Tym przytykiem Konrad zakończył tłumaczenia.

– Wroga politycznego gościć to ciekawa rzecz. Skoro jednak mojej miłej pani Barbarze chcesz waść pomóc, czuj się w tym dworku jak u siebie.

– Widać, że szanowna pani bliska waści sercu.

– Bardzo – odparł zdecydowanie Wolfgang. – Waści powiem w zaufaniu, że żenić bym się z nią chciał, tylko ona niepewna. Potrzebuje czasu, by się do mnie przekonać, czemu się nie dziwię. Nie dziwię się, bo... reputację mam chwiejną.

Mało powiedziane – prychnął w duchu wściekły Konrad.

Już miał coś odpowiedzieć, ale z sypialni zszedł cyrulik. Minę miał zatroskaną, ale spokojną. Potrząsnął siwą czupryną i skłonił się przed szlachcicami.

– Jakże tam u pani? Czy zdrowa? – zapytał Konrad.

– Chora na nerwy, jaśnie panie. Coś ją musiało porządnie przerazić, może jakaś nowina? Przytomna jest, stanowczo odmówiła upuszczenia krwi i wszelkiej pomocy. Zioła jej zostawiłem przy łożu, ale powiedziała, że nie zażyje.

– Jakaż to wieść mogła ją przerazić? – zapytał Konrad.

– Zachodzę w głowę i nie wiem – odparł zmieszany Woyciechowski.

Teraz czuł wobec Konrada litość, a wobec siebie nienawiść. By pokryć gwałtowne uczucia, wstał od ławy, dając wszystkim do zrozumienia, że gościna dobiegła końca. Wstali również Jezierscy.

Konrad nie miał ochoty opuszczać Totenhofu, bo uznał sprawę zdrowia Wandy za otwartą. Cała północna Rzeczpospolita знаła gwałtowność Woyciechowskiego, więc dziwne omdlenie pani van der Berg wydało się Jezierskiemu niebezpieczne. Sądził, że usłyszała od niego coś poruszającego podczas spaceru, o którym wspominał Woyciechowski. Czy jednak przyznał się jej do czegoś, czy być może jej groził – to pozostawało tajemnicą. Konrad odjeżdżał więc z Totenhofu z ciężkim sercem. Podobnie Aleksander, który nie zdążył nacieszyć się rozmową z Lisą.

## XIV



Nadszedł koniec października i w Rzeczypospolitej znacznie się ochłodziło. Woyciechowski wraz z damami i służbą opuszczali Totenhof, by zdążyć do Gdańska przed pierwszym śniegiem. Dodatkowo w północnej Polsce żywo rozprawiano o tym, że król August II wysłał trzech tysięcy żołnierzy przeciwko Contiemu. Wojska szły w stronę Gdańska, a polsko-saską jazdą dowodzili generałowie – Jakub Flemming i Michał Brandt oraz kasztelan poznański Franciszek Zygmunt Gałęcki. Należało czym prędzej uciekać z podoliwskich dóbr.

Choć zarówno Wolfgang, jak i Wanda dawno przestali wspierać kandydaturę skompromitowanego księcia, znano ich nazwiska. Gdyby więc wojska Sasa dotarły do letniej rezydencji, żołnierze bez mrugnięcia wymordowaliby wszystkich jej mieszkańców.

Trzydziestego pierwszego października powozy stały gotowe do wyjazdu. Był to przyjemny, choć zimny dzień. Połacie wysoczyzny mieniły się w słońcu, promienne refleksy przenikały między nagimi drzewami, z których spadały nieliczne już liście. Zewsząd dobiegał śpiew ptactwa, ale poza nim pod Oliwą panowała cisza. Niewątpliwie była to cisza przed burzą.

Dwór Żałobny prezentował się ponuro jak zwykle. Złowroga aura kontrastowała z wesołym świergotem ptaków i ciepłymi promieniami słońca. Zdawało się, że tajemnica Totenhofu nigdy nie zostanie odkryta. Choć Wanda nad tym bolała, próbowała pogodzić się z faktem, że ani Woyciechowski, ani służki nie powiedzą jej prawdy. Odjeżdżała w poczuciu niedosytu.

\*\*\*

Gdańsk przyjął Wolfganga Woyciechowskiego i damy van der Berg niechętnie. Rozkazano, by im nie przeszkadzać i nie ograniczać

swobód, ale obserwować. Takiego zadania podjęła się oficjalnie część służb miejskich, a nieoficjalnie protekcją zainteresował się Jezierski. Choć szlachetka Woyciechowski, z racji niewielkiego bogactwa, wynajął kamienicę z dala od Długiego Targu, co rusz wpadał na Konrada. Jezierski witał się z nim uprzejmie, pytał o zdrowie dam van der Berg i znikał tak nagle, jak się pojawił.

Po prawdzie Konrad martwił się nie tylko o Wandę, ale również o syna Jerzego, który od ponad dwóch tygodni nie napisał listu. Aleksander uspokajał go i tłumaczył, że brat niebawem i tak przyjedzie do Gdańska, ale Konrad z każdym dniem niepokoił się coraz mocniej. W końcu wyprawił posła, aby go znalazł i powiadomił o wymarszu polsko-saskiego wojska.

\*\*\*

Wanda nie czuła się w Gdańsku bezpiecznie. Wychodziła z kamienicy rzadko. Okna swej sypialni przysłoniła tak, że światła słonecznego docierało do izby niewiele. Obok jej pokoju znajdował się mniejszy, z dwoma łóżkami, na których spały Ludwika i Lisa. Woyciechowski zajmował parter, a służba strych.

Wnętrze kamienicy było skromne, ale czyste. Ku uciesze wszystkich wewnątrz znajdował się piec kaflowy, w którym spragnione ciepła damy van der Berg kazały palić prawie przez cały czas. Sypialnie zdobiły przyzwoite łóżka z baldachimami, skrzynie, ławy, obrazy i skromne szafy. Pomimo przeprowadzki, damy czuły się nieszczęśliwe. Lisa, choć mieszkała teraz bliżej obiektu westchnień, dostała od Wandy zakaz samotnych spacerów. Ludwika nie widywała Florka, zresztą w mieście powiadano, że Steinowie wyjechali w podróż i nie wrócą przed Bożym Narodzeniem. Jednak w największą apatię popadła seniorka rodu.

Od pamiętnego omdlenia schudła, zapadły się jej pełne policzki. Blask chabrowych tęczówek przygasł, zniknęły też codzienne zainteresowania. Najczęściej Wanda spoczywała przy ławie w swej sypialni, blada i milcząca. Zmianę zauważyła nawet zapatrzona w siebie Lisa, lecz dopytując matkę o samopoczucie, dostawała

zdawkowe odpowiedzi, z których niewiele wynikało. Poprosiła więc Ludwikę, by porozmawiała z matką.

– Matka niczego nie chce mi powiedzieć, a przecież widać, że jakaś choroba siadła na jej nerwach i żyć nie daje. Mnie nic nie powie, tobie powie z pewnością.

Jednak nawet Ludwika niczego się nie dowiedziała. Troskliwie i poufale pytała o przyczynę niedomogi, lecz Wanda odmawiała odpowiedzi.

– Nie mogę cię obarczać moimi kłopotami, drogie dziecko. Proszę cię tylko, byś pilnowała Lisy. To narowista dusza, z jaśnie panem Wolfgangiem ma ostatnio nie po drodze. Jeśli mu powie coś niegrzecznego, gotowy zapalić się jak lont.

– Jest to zaiste awanturnik, prawda, matko? I nawet my musimy na niego uważać?

Wanda przytaknęła, po czym wyprosiła starszą córkę z izby, bo zbierało jej się na płacz.

\*\*\*

Miasto przygotowywało się na atak, a Woyciechowski coraz częściej wspominał o swoim Totenhofie. Wydawało się, że dwór jest dla niego ważny, nawet dalece ważniejszy niż wiejskie dobra z folwarkiem. Trzeciego listopada zaprosił Wandę na rozmowę.

– Chyba nie spalą dworu? Jak myślisz, nadobna pani Barbaro?

Pani van der Berg wzruszyła ramionami.

– Jeśli spalą, to można odbudować.

– Nie będzie wyglądał tak samo. To właśnie we dworze czułem się kiedyś najszcześliwszy. We dworze czułem wszystko: miłość, nienawiść, czułość i wolność. We dworze kochałem i nienawidziłem siebie. I teraz miałby on po prostu spłonąć? Wojska saskie nie oszczędzą?

– Z pewnością oszczędzą – pocieszała Wanda, widząc, że Woyciechowski niebezpiecznie się zapala. – W końcu to tylko letni dworek. Może wojska saskie w ogóle nie chcą niszczyć dóbr wiejskich, tylko przekonać Contiego, by odpłynął.

Woyciechowski uspokoił się nieco. Chciał nawet zmienić temat i zagadnąć panią van der Berg o sprawy ożenku, ale zrezygnował, widząc puste oczy i mizerny wygląd. Zamiast tego zapytał o zdrowie.

– Nadobna pani, czy cierpisz na ciele? Czy to raczej duch odmówił ci pomocy?

Wanda popatrzyła na szlachcica niechętnie. Już przywykła do jego niezwyklej brzydoty i dziwaczного sposobu mówienia. Poznała też wiele sekretów Wolfganga, ale czuła, że niektóre zakamarki jego duszy są dla niej niedostępne.

– Nie cierpię prawie wcale. Tylko źle sypiam, może mi ziół trzeba. Apetytu też nie mam.

Coś przecież trzeba było powiedzieć. Jak wyznać mordercy, że cierpi się z powodu śmierci jego ofiary? Jak oznajmić podobne rzeczy szaleńcowi i przyznać się do znajomości z Jezierskimi? To nie przeszłoby Wandzie przez gardło, zbyt mocno bała się gniewu szlachetki.

Jednak Woyciechowski, choć myślał inaczej niż zdrowy człowiek, wykazywał się niebywałym talentem do przenikliwych rozważań.

– Zastanawiałem się, co zapoczątkowało ten stan, pani. Niewątpliwie przełomową chwilą w chorobie było omdlenie. Od niego wszystko się rozpoczęło. A od czego nastąpiło omdlenie? Omdlenie nastąpiło z powodu naszej nieszczęsnej rozmowy, do której – choć nie chcę – wrócić muszę. Co zaś w owej rozmowie poruszyło delikatne serce niewieście? Poruszyła je moja spowiedź. Wiele o tym myślałem, nadobna pani Barbaro. W moje słowa o chłopach nie uwierzyłaś, ale jakem ci powiedział o... kolejnym czynie niegodnym, zdruzgotana przypadłaś do mnie i wypytywałaś. Cyrulika przywiózł do Totenhofu nie kto inny, tylko przekłety Jezierski. Dużo o tym rozmyślałem, nadobna pani.

Wanda wstrzymała oddech.

– Czy tym samym chcesz powiedzieć, że znam się z Jezierskim, jaśnie panie dobrodzieju?

– Ależ skąd! Przecież wiem, że jesteś lojalna, najmilsza pani. Gdyby było inaczej, nie miałbym wyboru – nieczyste układy każę surowo. Również dlatego zwań mnie Wolfgangiem Szalonym, choć ja szaleństwem bym tego nie nazwał. Wymagam wierności. Ty, pani,



jesteś mi wierna. A jednak musisz przyznać, że dziwnie się wszystko układa.

– Mój stan nie ma nic wspólnego z Jezierskim, mogę cię zapewnić o czystych intencjach, jaśnie panie dobrodzieju. Wówczas mrok mnie naszedł, bo przestraszyłam się zemsty Konrada Jezierskiego. Skąd mogłam wiedzieć, że Lisa właśnie do niego uda się po pomoc?

Woyciechowski zmarszczył brwi. Samo wspomnienie Lisy działało na niego irytująco.

– Musisz ukrócić swą córę, pani. Przykro mi to mówić, ale nie jest ona dobrą, uprzejmą dziewczką. Mało rozumie ze świata, który ją otacza, i potrzebuje jasno wytyczonej drogi. A jeśli by upierała się przy swoim, należy siłą rozum do głowy wtłoczyć. Przechera Jezierski nazwał jej zażyłość z Aleksandrem „znajomością”. Wybacz, pani, to mi urąga. Nalegam, by Lisa nigdy więcej nie korzystała z tej zażyłości i poszukała znajomków w innych kręgach.

Akurat temu nie miałabym nic przeciwko – pomyślała Wanda. Nie wypowiedziała swoich myśli na głos, ale dygnęła uprzejmie przed szlachcicem, okazując szacunek jego woli.

– Lisa nie będzie więcej niepokoić Aleksandra Jezierskiego, jaśnie panie dobrodzieju.

Choć Wolfganga ucieszyła odpowiedź, Wanda nie podzielała jego zadowolenia. Zdawała sobie sprawę, że postępowanie według zasad szlachetki to jedyny sposób na uniknięcie awantury, a może nawet tragedii, ale niemożność decydowania o sobie coraz bardziej jej doskwierała. Taki stan nie mógł trwać wiecznie, należało się spodziewać, że po wojennej burzy Woyciechowski wróci do tematu ożenku. I tu trzeba było go odrzucić – Wanda nie widziała innej możliwości. Jednak gniew dobrodzieja dam van der Berg mógł łatwo zmienić się w szal. Co by się wówczas stało – tego nie wiedział nikt.

\*\*\*

Czwartego dnia listopada, gdy trakty zmroził panujący w Rzeczypospolitej ziąb, zrobiło się w mieście niebezpiecznie. Polignac rozmówił się z burmistrzem, by miasto stanęło po stronie księcia Conti. Nic z tej pogawędki ostatecznie nie wynikło, a jeszcze

bardziej podzieliło wrogie obozy. Toteż damy van der Berg nie wychodziły z kamieniczki, a Wanda stale nasłuchiwała, czy pod oknami nie zbiera się wściekła ciżba.

Niczego już nie mogła zmienić – miasto kojarzyło nazwisko van der Berg, podobnie jak Polignaca, z obozem Contiego. Gdyby zaczęła teraz przeczyć, wyszłaby na niesłowną. Jeśliby zaś potwierdziła – rozsierdziłaby zwolenników Francuza, a pozostali wyśmialiby jej tchórzostwo. Wybrała milczenie, ale Gdańsk o niej nie zapomniał.

Wciąż szeptano między sobą o wrogich nazwiskach, umawiano się, by wszczynać burdy, i apelowano o wyrzucenie nieprzyjaciół z miasta. Patrycjat, na ogół rozumny, obserwował najnowsze wydarzenia z przerażeniem.

– Dać ludziom dwóch kandydatów do rządu, to prędzej pozabijają siebie nawzajem z nienawiści, aniżeli wybiorą jednego w zgodzie. Każdy uważa, że pozjadał wszystkie rozumy, a najlepiej sam by tron objął. I myśli tak zwykły rzemieślnik, całe życie wyrabiający kielichy z cyny, i kupiec sprzedający mięso, i rolnik bez szkół. Każdy ma na Rzeczpospolitą niebanalny wprost pomysł i nie baczy na przeszkody. Pogarda dla rozumu szerzy się w Polsce od niepamiętnych czasów. Ślepcem ten, kto nie zważa na błędy pradziadów, głuchy, kto nie słyszy szeptów historii. A największa biada manipulantom, wykorzystującym wartości dla własnych celów – patriotyzm, rodzina, honor – to nie są narzędzia do politycznych zagrywek. Kiedy się polityk powołuje na wartości, to je niszczy; zawłaszcza albo nimi gardzi, zależnie od poglądów oponenta. Pamięć o historii Polski należy do wszystkich, nie tylko do jednych, podobnie sztuka, wolność czy honor.

\*\*\*

Tego samego dnia zatrzymano w Wisłoujściu pisarza admiralskiego. Aresztowano go przy rewizji szalupy i zamknięto na kilka godzin w odosobnieniu. Conti odebrał ten akt jako przejaw złej woli. Wściekły kazał Francuzom zająć pięć gdańskich statków spoczywających na redzie. Tak też się stało i dzień później doszło do przejęcia załadowanych towarami okrętów. To jednak nie wszystkie

nieszczęścia, jakie spadły w tym czasie na Gdańsk, bowiem już szóstego listopada w całym mieście ozwali się stronnicy Sasa, demonstrujący niezadowolenie z powodu ataku Francuzów. Ładunki ze statków gdańskich miały dużą wartość, a zagarnięcie ich przez załogę Contiego mieszczaństwo przyjęło jako niewdzięczność. Zewsząd zbierano się i naradzano, robiło się coraz donośniej, aż wreszcie w każdej części miasta wybuchły antyfrancuskie protesty.

Z kamienicy wynajętej przez Woyciechowskiego nie wychodziła już nawet służba, choć prawdopodobnie nikt by nie zaatakował prostego chłopca, który na polityce znał się tyle, co nic. Mimo to Wolfgang i Wanda trzymali swą czeladź na strychu, jedynie dziewczki służebne swobodnie przemieszczały się między piętrami, by wykonywać polecenia.

Wystąpienia przybierały na sile, więc Rada nakazała ludziom prostym zachować spokój, a buntownikom poleciła zakończyć antyfrancuskie przemówienia. Na niewiele się to zdało, choć większość gdańszczan pojmowała, że nie każdy Francuz to wróg. Zagrożenia wewnątrz miasta piętrzyły się, a przecież lada dzień pod Gdańsk mogły dotrzeć wojska polsko-saskie. Zamknięto więc bramy miejskie i oczekiwano.

## XV



Bezpieczniej byłoby nam odjechać do Oliwy. I Totenhof bliżej... – dywagował Woyciechowski. – Nawet Polignac uszedł z miasta i skrył się u opata. Może Hacki Contiemu niechętny, ale schronienia nie odmawia.

Był ósmy dzień listopada. Jedli właśnie wieczerzę podaną z resztek jedzenia zakupionego przez służbę kuchenną, gdy w mieście panował jeszcze względny spokój. Słonina w grochu spoczywała na półmiskach, w mroku jaśniały świece ustawione w kandelabrach.

Mieszkańcy kamienicy zachowali kontakt ze światem zewnętrznym tylko dzięki zaufanemu stronnikowi francuskiemu – Wojciechowi de Bange. Mógł on chadzać ulicami Gdańska bez skrępowania, bo wszem i wobec ogłaszał się gorącym zwolennikiem Sasa. I choć takich jak on było w Gdańsku wielu, tylko de Bange śmiał rozmawiać z Woyciechowskim.

Przychodził ciemnymi popołudniami, zdawał relację z wydarzeń w mieście i niepostrzeżenie wychodził, gardząc odprowadzaniem przez służbę. Dzięki jego wieściom Woyciechowski zrozumiał, jak wielkim błędem była wyprawka do Gdańska. Należało oczywiście opuścić Totenhof, ale znaleźć schronienie dalej od miasta.

Nie dzielił się z Wandą spostrzeżeniami, zresztą wcale nie musiał. I bez tego wiedziała, że siedzą w paszczy lwa. Zamknięci w kamienicy, spożywający resztki jedzenia, mieszkający w nieprzychylnym im mieście – w każdej chwili mogli stać się celem ataku zwolenników Sasa. Teraz, podczas wieczerzy, Wanda też o tym rozmyślała. Tymczasem Woyciechowski udawał wesołka z właściwą sobie nonszalancją.

– Moje drogie, strawa taka pyszna! Jesteśmy już prawie jak rodzina. Jakże ja potrzebowałam takiej rodziny, jak do niej

tęskniłem. A teraz ją mam. Czy może być większe szczęście? Chyba ustępuje tylko pośmiertnemu zbawieniu. Ha, ha!

Damy van der Berg siedziały przy ławie z uśmiechami przyklejonymi do twarzy. W obecności Woyciechowskiego zawsze przybierały te same miny.

Ponieważ należało coś odpowiedzieć, by nie zirytować gospodarza, Wanda udała, że wesoły ton i jej się udzielił, choć tak naprawdę wolałaby skoczyć z klifu, niż zakończyć żywot u boku Wolfganga jako żona.

– Wieczera istotnie pyszna, jaśnie panie dobrodzieju. Grochu i słoniny wystarczy jeszcze na jutro, lecz później chyba rodzinami będziemy się żywić.

Choć odpowiedź miała zabrzmieć żartobliwie, Woyciechowski spoważniał.

– Jutro chłopów wyślemy i niech kupują, co nam się zamarzy. Wojsk nie widać, choć już od tygodnia wszyscy w mieście oczekują. Może wcale nie będzie źle. Może mi dworku nie spała.

– A czemu by mieli nie spalić? Pewno będą palić wszystko, co im się nawinie – odparowała Lisa.

Wolfgang wychylił się do niej. Oparł łokcie o ławę, nie spuszczać wzroku z panny. W blasku świec wyglądał ohydnie, pojaśniała jego poorana gorejącymi ranami twarz.

Lisa wzdrygnęła się; ogarnęło ją to samo złowrogie uczucie, jakiego doświadczała w Dworze Żałobnym. Paraliżowało i osaczało.

– Więc powiadasz, panienko, że będą mój dwór palić? A skąd o tym wiesz? Znasz się przecież na życiu jak świnia na gwiazdach. Zajmij się dobieraniem sukien stosownych do okazji, zamiast pleść.

Dumnej Lisie krew uderzyła do twarzy. Ludwika z pewnością przemilczałaby tę uwagę, a nawet spuściła głowę, ale krnąbrna natura młodszej z siostr van der Berg nakazywała zemstę. Zanim pomyślała, już miała gotową ripostę i użyła jej niemal bezwiednie, za nic mając nerwowego kopniaka, którego wymierzyła jej pod ławę Ludwika.

– Okazji do dobierania sukien zostałam pozbawiona już dawno temu. Nie muszę wybierać między purpurą i lawendą, kiedy siedzę

na wsi albo w Gdańsku pod kluczem. Wszystko mi jedno, co wtedy noszę.

Zaległa cisza, którą przerwało tylko nerwowe westchnienie Wandy. Woyciechowski nadal wpatrywał się w Lisę niby w zdobycz do upolowania. Jego wzrok przenikał źrenice na wskroś, boleśnie, niemal intymnie, wdzierał się w duszę i umysł. Pod wpływem wnikliwego, wrogiego spojrzenia Lisa poruszyła się gwałtownie, ale wzrok wytrzymała.

– A jakich okazji wypatrujesz, panienko? – odezwał się głucho Wolfgang. – Może byś chciała któregoś ze znajomków olśnić strojem? Może Aleksandra Jezierskiego?

Choć Lisa prychnęła z oburzenia, właśnie olśnienie Jezierskiego dałoby jej największe zadowolenie. Wielokrotnie podczas samotnych dni spędzonych w Gdańsku pod kluczem wyobrażała sobie ich spotkanie. Ona w pięknej purpurze, z włosami uczesanymi do góry i masą ozdób wpiętych w loki, on – w barwnym kontuszu, uśmiechnięty, z błyskiem w oczach. Patrzyłby na nią śmielej niż zwykle, droczyłby się hardziej. I jeszcze wyraźniej czułaby jego urywany oddech podczas pocałunku.

– Dlaczego akurat jego? – zapytała.

– Nie wiem, jesteś jego znajomą, panienko. A więc łączy was więź. Kiedy dwie osoby łączy więź, robi się poważnie. Niby nic się między nimi nie dzieje, ale w myślach może dziać się wszystko. I nikt o tym nie wie. Nikt, prócz Boga. Jeśli więc zamierzasz zrobić wrażenie na imć panu Aleksandrze, to wiedz, że ja, jako twój protektor, się na to nie zgadzam. I lepiej, żebyś się od tego szlachcica z daleka trzymała i nie doprowadzała mnie do gniewu hardym gadaniem. Bo jesteś panna, więc jak panna się zachowuj.

Lisa znowu chciała uraczyć Woyciechowskiego ripostą, ale Wanda posłała jej spojrzenie pełne wściekłości. Nie tak należało rozmawiać z tym szlachetką.

– Wybacz, jaśnie panie dobrodzieju. To dobre dziewczę, tylko zagubione w świecie konwenansów. Nie zawsze je jeszcze rozumie. Z pewnością jednak nie chciała źle...

– Dość, nadobna pani Barbaro. Zbyttno jej pobłażasz. Wydamy ją za syna mojego kompana i kłopot sam się rozwiąże. Niechaj kto inny

się z nią męczy. A jeśli zbliży się znów do imć pana Aleksandra, nie zaniecham zemsty. Posiekam go szablą na szynkę jak świnię.

Damy nie miały powodu uznać słów Woyciechowskiego za żarty. Pomysł, rzucony na chłodno, zmroził nie tylko Lisę i Ludwikę, ale przede wszystkim Wandę, która wciąż obwiniała się za śmierć Jerzego Jezierskiego. A ponieważ Konrad nie odwiedził kamienicy ani razu, słusznie rozumowała, że o morderstwie nie ma pojęcia lub przynajmniej nie łączy go z Woyciechowskim.

\*\*\*

Ponieważ de Bange wyszedł od Woyciechowskiego jeszcze przed wieczorem, podczas wieczerzy mieszkańcy kamienicy żyli w błogiej niewiedzy, że pod Oliwę nadciągają wojska pod dowództwem Brandta. Wieść wnet obiegła miasto i okoliczne wsie. Wieśniacy skryli się w chatach i modlili, by ich dobytek został oszczędzony. Wielu spędziło w ten sposób całą noc i dopiero, gdy czarne niebo poszarzało, wstawali niepewni dnia.

Rankiem żołnierze naradzali się, ustawiali, oczekiwali, aż wreszcie niczym chmara ruszyli w stronę Oliwy. Zwolennicy Contiego rzucili się do ucieczki, potracili konie, pozostawili dobytek. Wojska wysłane przez Sasa zatriumfowały ostatecznie i nikt już nie miał wątpliwości, że atak zwieńczy wizytację Contiego. Sam książę z redy patrzył na dym unoszący się kłębami z oliwskich dóbr, słyszał też nawoływania żołnierzy i ryki przerażonych. Rozumiał własne położenie, August II dobitnie uświadamiał mu, że cała Rzeczpospolita znajduje się pod jego rządami. Upokorzenie – to zapewne czuł Conti.

Ambasador Polignac skrył się na francuskim okręcie, dziękując Bogu za to, że uszedł z życiem. Popłoch zaskoczył dowódcę eskadry. Było jasne, że nic więcej nie da się uczynić, pozostaje uciekać do Francji w poczuciu żalu. Na nic wizyta, na nic pertraktacje – Conti przegrał. Francuzi podnieśli w końcu żagle i poczęli oddalać się w stronę cieśniny Sund. W akcie zemsty porwali zagarnięte wcześniej statki gdańskie, w całości załadowane towarami.

Niedługo trwało plądrowanie Oliwy, było to starcie łatwe, zbyt błahe dla żołnierzy. Dlatego w poczuciu niedosytu zaczęli

przeszukiwać podmiejskie letnie dwory i wynosić z nich wszystko, co im się spodobało. Prawdziwą uciechę wywołała wieść o tym, że jeden z dworów należy do waszmościa Woyciechowskiego, znanego przede wszystkim z okrucieństwa i szalonej natury. Był on zwolennikiem Contiego, a dodatkowo przed wieczorem wśród żołnierzy rozniosła się wiadomość od posła Konrada Jezierskiego. Rozpytywał wszędzie o Jerzego Jezierskiego i – wiedziony sugestiami – zaszedł do jednej z karczm leżących przy granicy z Prusami Książęcymi. Tam ponoć wybuchła swego czasu awantura pomiędzy młodym szlachcicem i Wolfgangiem. Potem karczmarz widział już tylko gospodarza Totenhofu. Poseł dokładnie obszukał karczmę, piwnicę i piętrowe izby. W przykarczemnym zaułku natknął się na wstrząsający widok – zwłoki Jerzego Jezierskiego w rozkładzie. Ciało połatane szablą, rozchlastane w kilku miejscach – przy gardle, klatce piersiowej i brzuchu.

Poseł mknął więc do Gdańska czym prędzej, rozpowiadając o niegodziwości Woyciechowskiego, nikt nie miał bowiem wątpliwości, że na łagodnego szlachcica, syna chorążego koronnego, mógłby napaść tylko ktoś o szalonej naturze, a karczmarz i czeladź potwierdzili, że awantura miała miejsce co najmniej dwa tygodnie wcześniej. Wieść dotarła najpierw do żołnierzy, zresztą wartownicy namyślali się, czy otworzyć dla posła bramę miejską. Jednak wobec okoliczności wpuścili go, by przekazał panu przerażającą wiadomość. Należało jechać czym prędzej po ciało, wydobyte i zapakowane do trumny w oczekiwaniu na ojca.

Dowiedziawszy się, że okrutnik Woyciechowski zamordował sojusznika Sasa, a jednocześnie syna chorążego przychylnego królowi, w żołnierzach rozgorzała chęć zemsty. W szale wdarli się do Dworu Żałobnego, by ukraść cenne przedmioty. Gdy odkryli, że żadnych nie ma, podpalili Totenhof i odjechali.

\*\*\*

Ściemniało się, nieprzyjemna mżawka mrużyła oczy. Poseł Jezierskiego jechał wprost do kamienicy, by powiadomić pana o morderstwie. Choć był niewinny, sam drżał na myśl o gniewie



i rozpaczy Konrada. W tym samym czasie do Woyciechowskiego wpadł de Bange.

– Dwór waści pała!

Woyciechowski pobladł. Wydawało się, że na niczym w życiu nie zależało mu bardziej niż na nędznej, drewnianej budowli. Oczy zasły mu mgłą, zawył straszliwie, cienko i zwierzęco, wprawiając de Bange'a w najwyższe zdumienie. Potem nagle chwycił szlachetkę obiema rękoma za frak i osunął się na kolana, jakby uszło z niego życie.

Nadbiegły damy przerażone nieludzkim rykiem. Woyciechowski klęczał przed de Bangem ze zwieszoną głową. Zdawało się, że kona, raz po raz przeszywały go dreszcze. Przerażony Francuz próbował wyszarpać kaftan z rąk Woyciechowskiego, ale ten trzymał mocno, oszalały ze zgrzyoty.

– To tylko letni dwór. Wiem, że waści na nim zależało i dlatego przybiegłem tu co tchu, ale na Boga, nie wyjże tak, letnią rezydencję można rychło odbudować.

Woyciechowski przestał jęczeć i przez chwilę klęczał przed de Bangem. Uszły z niego siły, uspokajał się powoli, dygocząc. Stronnik nachylał się ku niemu, ciągnięty za poły. Wydawało się, że atak szalu minął, ucichło. Ale równowaga nastąpiła tylko pozornie.

Wreszcie Woyciechowski coś przemyślał. Wstał stanowczo; rozszalałym wzrokiem wpatrywał się w oczy Francuza i de Bange zobaczył w nich śmierć. Nie zdołał nawet wydusić słowa, zresztą twarz zalała mu fala gorąca, przerażenie ścisnęło krtań. Po chwili szlachetka odjął dłonie od kaftana i zdecydowanie zacisnął je na szyi znajomka.

– Co waść robisz? – wydusił de Bange.

Woyciechowski tylko wzmocnił uścisk. Przerażona Wanda dopadła do Lisy i zasłoniła córkę przed widokiem.

Tymczasem Woyciechowski syczał przez zęby.

– Myślisz, że to tylko letni dworek, który można odbudować, ty francuska żmijo? To moje życie, moje wspomnienia, najlepsze i najgorsze w życiu. Totenhof to moje marzenie i przekleństwo. To moja miłość. Kochałem tam prawdziwie, pierwszy i ostatni raz. Wciąż we dworze czuję jej zapach. Pachniała sianem i złem jak każda

chamka, a jednak dla mnie to najpiękniejsza woń na świecie. Pachniała brudem i złem, ale ja ją kochałem. I nie umiałem jej ochronić przed samym sobą. Wiesz, jak to jest, gdy się kogoś kocha i trzeba go chronić przed sobą? Co za podłe uczucie! W mojej izbie gabinetowej wszystko się zaczęło. Chciałem, żeby była tylko moja, a ona darzyła uczuciem swoje przekłęte dziecko, nie mnie. Mnie nienawidziła. Nie wiesz, jak to jest, gdy kochasz kogoś, kto cię nienawidzi. Nie wiesz, jakie to obrzydliwe, gdy kochasz się z kobietą, która cię nienawidzi. I ty to czujesz, wiesz. Ale nie możesz się powstrzymać. Pragniesz, by oddała ci się całkowicie, nawet przesiąknięta nienawiścią. I jednocześnie chcesz zacisnąć jej dłonie na szyi, wytrząsnąć z niej duszę. Bo pragniesz, by przestała cię nienawidzić. Co ty możesz o tym wiedzieć? Zawsze musiałem ją zmuszać do uśmiechu. Zawsze. A ona uśmiechała się i mnie nienawidziła. Tylko oczy zdradzają prawdziwe uczucia – ty ją kochasz, ona tobą gardzi. Musisz ją przed sobą chronić, ale nie możesz, bo jesteś chory, bo jesteś szalony!

Woyciechowski nadal trzymał dłonie na szyi de Bange'a, choć Francuz już nie żył. Zsiniała jego twarz, na wierzch wyszły bezrozumne oczy. Zmarł, ale dalej na jego obliczu malowało się bezbrzeżne zdumienie.

Czując ciężar bezwładnego ciała, Woyciechowski położył je na podłodze, ale nie odejmował rąk, jakby chciał się upewnić, że de Bange nie wypowie ani słowa więcej. Ani słowa o jego ukochanym dworze, o tym, że obce wojska spaliły to przekłęte miejsce. W końcu z wysiłku zakręciło mu się w głowie, upadł przy Francuzie i leżąc, dyszał ciężko.

Wanda czuła, że paraliżuje ją przerażenie. Nie mogła się ruszyć, lekko rozchylone, zbiegłe, usta drżały. Wiedziała, że powinny uciekać, lecz trwoga trzymała ją w miejscu. Tak samo Ludwikę i Lisę.

Wreszcie Woyciechowski otarł pot z czoła i wstał, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło. Opanowanym głosem zwrócił się do Wandy:

– Każda upływająca minuta pozbawia nas życia, pani Barbaro. Jestem pewien, że niedługo nadejdzie mój koniec, ale przedtem

chciałbym jeszcze raz zobaczyć Totenhof, pozbać się w nim życia. Niechaj oplotą mnie jego płomieć! Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła w ostatniej wędrówce, choć jestem twym utrapieniem. Ja widzę bardzo, bardzo dużo, choć nie o wszystkim mówię. Ty masz mnie, pani, za szaleńca. Być może jestem nim w istocie, tylko boję się to przyznać przed samym sobą.

Woyciechowski postąpił ku Wandzie kilka kroków, ale ona odsunęła się bezwiednie, z lękiem. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, przypominał szaleńca, a najbardziej w tym, że zdawał się godzić z własnym losem i potępieniem.

– Nie bój się, pani. Wyjedziemy stąd we dwoje, chcę, żebyś przy mnie była do końca. Lżej będzie umierać. Pochłoną mnie płomieć, a potem będziesz wolna.

Ponieważ nie zareagowała na te słowa, Woyciechowski pochwycił jej dłoń i poprowadził Wandę w stronę drzwi. Nie protestowała, wiedzona instynktem przetrwania. Córki również nie śmiały oponować.

## XVI



Podczas gdy Woyciechowski porywał ogłuszoną strachem Wandę i na oklep jechał z nią do Totenhofu, Konrad Jezierski płakał nad śmiercią syna. Otrzymał wieści od posła, odprawił go z kamienną twarzą, zamknął się w ciemnej izbie i dopiero w samotności dał upust rozpaczy. Siedział na łożu i cierpiał, obawiając się, że z żalości pęknie mu serce. Po policzkach spływały łzy.

Szarość spowiała Gdańsk, zegar ratuszowy pokazywał godzinę szesnastą dwadzieścia. Dwie zrozpaczone dusze podjęły w tym czasie nieodwołalne decyzje – Woyciechowski postanowił, że nic nie odwiedzie go od samobójstwa, a Konrad – że zemści się za śmierć syna. Pierwszy mknął konno w stronę Bramy Wyżynnej, z Wandą przyklejoną do pleców, drugi kazał siodłać, by po chwili zmierzać do gdańskiej kamienicy. U boku spoczywała szabla. Konrad nerwowo ścisnął rękojeść, wiatr osuszał łzy.

Wpadł do kamienicy, gotowy zarzywać, ale zobaczywszy ciało obcego mężczyzny i przerażone córki van der Berg, wycofał się zdumiony.

– Gdzie jest Woyciechowski?

– Udusił tego człowieka. Udusił, a potem wstał, jakby nic się nie stało... – zaczęła Lisa.

– Gdzie on jest?

– Porwał matkę i jedzie z nią do Totenhofu. Wpadł w szal, bo wojska spaliły dwór – dopowiedziała Ludwika.

Jezierskiemu wystarczyła ta odpowiedź. Nie zważając na stan dam, wybiegł z kamienicy, dosiadł konia i pognał nim przez miasto, krzykiem ostrzegając lud, by się rozstąpił. Krew w nim wrzała i choć był człowiekiem spokojnym, taka zbrodnia zasługiwała w jego mniemaniu na okrutną zemstę. Straż z odwachu potwierdziła, że

chwilę wcześniej wyjeżdżał z miasta imć pan Woyciechowski z panią Barbarą van der Berg uczepioną jego pleców.

– Przecież nie wypuszczacie nikogo z miasta! Nie mogliście ich zatrzymać?

– Jaśnie pan Woyciechowski szablę przystawił nam do gardeł i groził, że zamorduje, bo jemu już bez różnicy, ile dusz zabierze ze sobą do piekła. Szalony i zły jak samo lichy!

Wypuścili z miasta i Jezierskiego, wiedząc o morderstwie. Jeden z wartowników krzyknął za nim.

– Niech cię Bóg błogosławi, jaśnie panie Jezierski! Utnij mu szablą łeb, niech się skończy żywot bestii!

\*\*\*

Woyciechowski zsiadł z konia, nie oglądając się na Wandę. Stał na trakcie. Widok płonącego Totenhofu sprawiał mu fizyczny ból. Zmarszczył czoło, zaskomlał jak zwierz trafiony ciężkim kamieniem. W chwilach wzburzenia jego zachowanie różniło się od człowieczego. Skowyty, wycie, zawodzenie – gdy jednak wilk odchodzi, by w samotności lizać swoje rany, Woyciechowski rzucał się na innych, by ich jeszcze pokąsać. Teraz zrobił wyjątek, pewnie dlatego, że nie czuł już w sobie życia, o nic nie dbał. Odwrócił ohydłą twarz w stronę Wandy i dopiero teraz zauważył, że wciąż siedzi na koniu. Ściągnął ją niedbale, a ogiera nawet nie uwiązał. Ponownie zwrócił twarz ku poźodze.

– Płonie moje serce – szepnął.

O ile szlachcic cierpiał, Wandzie widok płonącego dworu sprawiał przyjemność. Wysokie kłęby dymu piętrzyły się, wznosząc wysoko w szarugę nieba. Od dworu biła poświata, ogień igrał między drewnianymi ścianami, spalał pomieszczenia, trawił sypialnię, w której jeszcze niedawno spała. Jasność wylewała się na trakt, ogień otulał ciepłem.

– Dopiero teraz wierzę w moje szaleństwo.

Woyciechowski wypowiedział te słowa nie do Wandy, lecz do siebie. Grymas bólu wykrzywił jego wargi. Podszedł bliżej Dworu Żalobnego, nie zważając na to, że gorące powietrze zapiera dech.

Patrzył, jak płomienie rozwidlają się, suną między pomieszczeniami. Niewielkie płomyki lizaly drewniane belki, wielkie snopy ognia trawiły podłogi i meble. Ponieważ przednia ściana już się zawaliła, można było zobaczyć cały dwór od środka. Wydawało się, że wraz z nim znika jego groza.

Ściemniło się całkiem, tylko pożar oświetlał trakt i brzeg Stawu Młyńskiego. Płonęła stajnia, płonął dwór. Na czystym niebie pokazały się gwiazdy.

Woyciechowski stał blisko ognia. Zamknął oczy. Paliła go twarz, nie mógł złapać tchu. Jednak gdy zaledwie kilka kroków dzieliło go od śmierci, usłyszał tętent końskich kopyt.

– Stój, bestio!

Jezierski sprawnie zeskoczył z konia i wyciągnął szablę. Spojrzenie miał pełne nienawiści.

– Stań do walki, zamiast tchórzyc.

Woyciechowski odwrócił się. Spokojny uśmiech rozjaśnił twarz.

– Na darmo gnałeś tu z miasta. Płomienie Totenhofu pochwyć mnie i zginę z własnej ręki.

– Zabiłeś mojego syna, skurwysynu! Mojego anioła! Czym ci zawinił? Miał życie przed sobą, nie poznał jeszcze żołnierskiej chwały, nie doczekał się potomka. Ledwo zdążył od ziemi odrosnąć i spod ojcowskiej opieki wyjść ku światu! Ty psie, ty lichu wcielone! Bestio! – mocny głos Konrada słabł wobec rozpacz. – Stań do walki. Jeśli istotnie chcesz zakończyć swój żywot, daj ojcu pomścić syna.

Woyciechowskiego nie przejęły ani słowa, ani łzy szklące się w oczach przeciwnika. Przemowa miała przejąć go gniewem lub lękiem, w każdym razie w jakikolwiek sposób dotknąć. Pozostał obojętny na wszystko, wyzuty z typowej dla siebie gwałtowności. Jedynie na dnie serca odczuł bladą satysfakcję z tego, że nie tylko on na świecie cierpi i może przyjrzeć się czyjejś rozpacz naocznie. Tego właśnie potrzebował przed śmiercią, wewnątrz płakał nad samym sobą, w obcych ranach znajdując ukojenie.

– Oczywiście, dla waszmości największym moim grzechem było to morderstwo. Ale robiłem o wiele więcej złego. Wszystkim nie mogę zadośćuczynić, mogę za to sam skazać się na śmierć. Czy na przykład chcesz wiedzieć, dlaczego nazwałem dwór żałobnym?

Konrad przerwałby w owej chwili prawie każdy monolog Woyciechowskiego, ale akurat ten wątek fascynował tak wielu ludzi, że trzeba było wysłuchać ostatniego zwierzenia potępieńca. Podejrzał, podobnie jak inni, że za nazwą kryje się mroczna historia.

Wolfgang zaczął prawdziwą spowiedź.

– Miałem swoich chamów, darzyłem ich pogardą jak każdy szlachcic. Jednak wśród chłopów była córka niejakiej Kazinowej. Nigdy waść nie widziałeś tak pięknej dziewczki. I należała do mnie. Widziałem, jak rośnie, dojrzewa. Widziałem, jak pod lnianymi łachami rosą jej krągłe piersi, jak rysy się zaokrąglają. Miała taki piękny, długi warkocz. Złośliwi mówią na ten kolor włosów mysi, ale dla mnie jest najpiękniejszy. Długi, ciasny to był warkocz. Splatany cienkim sznurem. Oczy ciemne, głębokie, patrzyły na mnie niewinnie. Kiedyś nawet z sympatią. Wtedy już chorowałem, ale nie nazywano mnie jeszcze szalonym. Gwałtownym – tak, ale to przecież co innego. Była taka piękna! Miała na imię Maria. Odrzuciła mnie, kiedy próbowałem dotknąć jej piersi pod lnianą koszuliną. Jak ona mnie wtedy zezłościła! Wstyd się przyznać, ale kochałem się w niej. Kochałem się w chłopce.

Konrad czuł spojrzenie posłane w owej chwili przez Wandę. Mimo to nie spuszczał wzroku z Woyciechowskiego.

– Chwyciłem ją i wziąłem w izbie gabinetowej jak swoją. Bo przecież była moja! Choć z początku wyrывała się i krzyczała, potem mi się oddała. Ale już więcej nie patrzyła na mnie z sympatią, patrzyła z nienawiścią. Ciągnąłem ją do izby, gdy mnie nachodziła na nią ochota. I byłem jej wierny! Wierny tej niewdzięcznej kobyle. Wyobraź sobie waść, że Maria powiła mi syna. Choroba siadała mi na nerwy, kiedy widziałem, jak się nim opiekuje. Kochała go! Kochała swojego syna, ale mnie nienawidziła. Któregoś razu zawołałem ją do izby, ale przyszła ze swoim synem. Taki był mały w tym zawiniątku! Stała, kołysząc go, i sprzeciwiała mi się postawą. Jej oczy, twarz, ciało – wszystko w niej krzyczało, że mnie nienawidzi i nie będzie więcej przychodzić do mojej izby gabinetowej. Nie wymówiła ani słowa, po prostu stała. Ale ja jestem człowiek przenikliwy, ja umiem wypatrzeć, co kto o mnie myśli. Kazałem jej

odłożyć dziecię i oprzeć się o ławę. Mierna dziewczka! Gdyby mi się wtedy oddała...

Konrad słuchał opowieści Woyciechowskiego z obrzydzeniem. A jednak musiał do końca ukarać szlachcica, dla którego prawdziwa spowiedź była może jeszcze gorszym doświadczeniem niż widmo śmierci.

– Co tam się wydarzyło? – zapytał niecierpliwie.

– Krew uderzyła mi do głowy, odezwała się moja choroba. Aż mi się wtedy z gniewu zakręciło w głowie. Chwyciłem z jej ręką zawiniątko i z całej siły cisnąłem nim o ścianę. Z niemowlęcia nie było czego zbierać, krew z roztrzaskanej czaszki rozbryzgnęła się na belach. Stałem jak słup, nie wierząc, co uczyniłem. A jednak to uczyniłem! Moja Maria wykorzystwała tę chwilę. Chwyciła muszkiet i bez wahania wsadziła lufę do ust. Strzał, Maria bez życia leży! Krew sączy się po podłodze – tu głos Woyciechowskiego załamał się.

Szlachetka gwałtownie przysłonił oczy dłońmi, jakby wizja stanęła jeszcze raz przed jego oczyma. – A ja tylko chciałem, żeby kochała mnie z wzajemnością. I nie dzieliła miłości z nikim innym. Czy tak wiele chciałem? Czy ona musiała mi to zrobić? Jak ona mogła mi to zrobić?!

Pod wpływem emocji i żaru Woyciechowskiemu zakręciło się w głowie. Zatoczył się i prawie wpadł w płomień, ale ostatecznie udało mu się zachować równowagę.

Wanda i Konrad spojrzeli po sobie, poświata opromieniała ich twarze. Byli świadomi tego, że jedyną drogą zakończenia męki Woyciechowskiego jest śmierć. Czuli ją zresztą w powietrzu, zwabiły ją uczynki szlachetki i jego słowa.

– Dlaczego mojemu synowi odebrałeś życie, nikczemniku?

– Awantura, wielka rzecz. Nie zależało mi na jego życiu, na niczym życiu mi nigdy nie zależało. Tylko na życiu Marii, a ona je sobie odebrała. Co się zaś tyczy twojego syna, nadobną panią Barbarę powinieneś zapytać, kto popchnął mnie do czynu. Kiedy listy ze mną pisała, kazała twemu synowi wymierzyć lekcję pokory. To dla niej zabiłem twego syna. Myślałem, że może mi zastąpić Marię. Jakże się pomyliłem!

– Nieprawda – szepnął Konrad.



Spojrzał na Wandę zdezorientowany, ale jej twarz wyrażała ból. Nagle przypomniał sobie jej dziwne omdlenie po usłyszeniu tajemniczej wieści. Fakty nałożyły się, zrozumiał, że Wolfgang mówi prawdę.

Zemściła się na nim istota, którą kochał. Sam wyrządził jej niegdyś krzywdę, może wcale nie mniejszą. A jednak wiadomość spowodowała nagły ból. Wściekłość z powodu zdrady Wandy skumulowała się w szlacheckim sercu, otępiając zmysły. Zraniony, otumaniony ze zgryzoty, ruszył wprost na Woyciechowskiego. Nie dbał już o to, co zobaczy i pomyśli o nim Wanda. Za wszelką cenę chciał zgładzić Woyciechowskiego, by już nigdy nie mówił i nie czynił rzeczy, które kruszą serce.

Okrutny szlachetka zrozumiał, że sprawiedliwości musi stać się zadość. Zamiast rzucić się w płomień, uklęknął przed Jezierskim. Spojrzał raz jeszcze na dogasający w mroku Totenhof, a potem zamknął oczy. Nie chciał oglądać własnego końca.

Konrad dobył szabli. Czuł, że żar bijący od Totenhofu wypełnia jego wnętrze, dostając się do organizmu przez nos, usta, oczy, uszy. Cały był tym żarem, rozpalony zgryzotą do granicy obłędu. Zrobiło się cicho, a może to tylko w głowie Woyciechowskiego nagle przestał szumieć wiatr, szelest suchych liści ustał. Uszy nie łowiły trzasków płomieni. Umysł pogrążył się w martwocie.

Szabla świsnęła, zabłyszczało ostrze odbijające ogniste płomienie. Teraz również Wanda miała wrażenie, że świat umilkł. Krew padła na szlachecki strój i dłonie. Woyciechowski nie rzekł przed egzekucją ni słowa; nawet nie jęknął, gdy ostrze przecinało jego głowę.

Konrad ujął łeb za długie włosy i rozżalony pokazał Wandzie marny triumf. Łzy spływały po twarzy pani van der Berg, ale płacz nie mógł ukoić serca Jezierskiego. Szybko pożałował, że przed śmiercią szlachcic nie cierpiał jeszcze mocniej z jego rąk. Jednak, choć mógłby go torturować, nie miał do tego zapału. W głębi serca wiedział, że nawet najcięższe męki Woyciechowskiego nie zwrócą mu syna i nie ukoją bólu. Zdobył się więc tylko na akt sprawiedliwości, a teraz truchlał, że już po wszystkim. I nic nie zdoła zapełnić pustki, gnieźdzącej się w umyśle.

Choć cierpiał, widząc żalowaną, bladą twarz Wandy, z gniewem rzucił pod jej nogi okrwawioną głowę Woyciechowskiego.

– Twój przyszły mąż.

Nie oglądając się, wsiadł na konia i ruszył do Gdańska.

## XVII



Gdy do gdańszczyzny dotarła wieść o wycofaniu wojsk i przegnaniu księcia Conti, w mieście zapanował chaos. Każdy wypowiadał swoje zdanie, przy okazji szeroko komentując sprawę zabójstwa młodego Jezierskiego. Wartownicy plotkowali o wyjeździe Woyciechowskiego i Barbary van der Berg. Snuli możliwe scenariusze i dociekali, czy Konrad schwycił szlachetkę.

W mieście wrzało. Stronnicy Sasa i przyjaciele rodu Jezierskich żalowali Jerzego i pomstowali na Woyciechowskiego. Rodzinę van der Berg okrzyknięto współwinną zbrodni. W jednej z karczm zebrał się tłumek szlachciców.

– Trzeba wymierzyć sprawiedliwość! Conti porwał nasze statki, zrobił w mieście zamieszanie, a wszystko to sprawa profrancuskich zdrajców, takich jak van der Bergi. Skoro straż mówi, że Woyciechowski wraz z Barbarą uciekali przed Jezierskim, to musi być prawda. Ale, choć w najętej kamienicy już nie spotkamy tego okrutnika ani jego współpracownicy, zostały tam przecież siostry van der Berg. Idziemy na kamienicę, bracia?!

– Na kamienicę! – ozwało się kilkanaście męskich głosów.

– Porwiemy młodszą i niech za czyny matki odpowiada. Śmierć dziecięcia za śmierć dziecięcia! Czy to nie godna kara dla Barbary van der Berg? Oto jak kończy się politykowanie niewieście! Porwiemy i pod nasz sąd damy. Szablami rozplatać, panowie bracia!

Tym razem odpowiedział nieco mniejszy chór. Z tłumku wystąpił młody szlachcic w polskim stroju.

– Porwijmy córę Barbary, ale nie osądzajmy jej za Jezierskiego. Niechaj sam zdecyduje, czy powinna kary dostąpić. Jezierski to nie Woyciechowski, może ubolewać, że niewinną dziewczkę szablami rozplataliśmy.

– Ja bym takich, jak one nie żałował – odezwał się z tłumku gruby szlachcic. – Przyjechały z Amsterdamu i myślą, że się do polityki polskiej mogą mieszać.

Gromki śmiech wypełnił karczmę, lecz atmosfera gęstniała. W zamroczonych gorzalką głowach powstawały nowe refleksje.

– Jezierski to rozumny człowiek, ale tragedia mogła mu zmysły zamącić. Skąd waść wiesz, że nie będzie chciał się mścić?

Odezwały się pomruki niezadowolenia. Część szlachty była za zemstą, część tylko za porwaniem jednej z dam i postawieniu jej przed oblicze Jezierskiego, by sam zdecydował, co zrobić. Wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że czas ruszyć na kamienicę.

– Dobrze – odezwał się w końcu prowodyr zamieszania – wsiadajmy na konie, panowie bracia! Będzie, co ma być. Najpierw porwiemy, później pomyślimy.

Tak uczynili. Dosiedli wierzchowców i w mroku ruszyli pod kamienicę. Ulice były już puste, jedynie karczmy wypełniały się ludźmi świętującymi zwycięstwo Sasa.

\*\*\*

Ludwika skryła się wraz z służbą na strychu, przeczuwając nadchodzące zagrożenie. Nie trzeba było znać się na polityce, by wyczuć niebezpieczeństwo, jakie czekało ród van der Bergów. Teraz siostry stały się łatwym łupem, nikt nie troszczył się o ich los.

Kilka razy Ludwika wołała Lisę, by przyszła, ale krnąbrna natura młodszej siostry nie pozwalała na panikę. Panna zdążyła już oswoić się z nową sytuacją, nawet morderstwo de Bange'a przestało robić na niej wrażenie. Dopóki bowiem zagrożenie nie dotyczyło jej, potrafiła zasłonić każdą wątpliwość wymuszoną obojętnością. Teraz nawet wyrzucała sobie, że była wobec Woyciechowskiego taka powściągliwa.

– Nikt po nas nie przyjdzie. Jesteśmy same z trupem – dąsała się. – Musimy czekać na matkę, to wszystko.

Prośby przezornej Ludwiki trafiały w próżnię. Lisa jeszcze nigdy nie stanęła w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa, zdawało jej

się więc nierealne. A jeśli nawet ktoś ośmieliłby się wtargnąć do kamienicy, zawsze mogła przegonić go celną uwagą.

Tak właśnie myślała młodsza z sióstr. Siedziała grzecznie w dawnym pokoju Woyciechowskiego, z rękami złożonymi na kolanach. Nudziła się okrutnie, nawet pomyślała, że czyjaś nieprzyjemna wizyta mogłaby jej ubarwić czas oczekiwania. Zaczęła fantazjować o tym, co by powiedziała i jak by wygarnęła każdemu nieproszonemu gościowi. Była przecież znana z ciętego języka, potrafiła rozprawić się z każdym. Wyjątek stanowił do tej pory tylko Wolfgang. Choć z początku przeraziło ją morderstwo popełnione na de Bange'u, teraz próbowała wmówić sobie, że podobne rzeczy wcale jej nie ruszają.

Wtem usłyszała rwetes dobiegający sprzed kamienicy. Wydawało jej się, że po drodze stąpają konie, ktoś się przekomarza, inny głos z cicha nawołuje. Serce ścisnęło jej się nieprzyjemnie i po raz pierwszy tego wieczoru pomyślała, że napaść na kamienicę może wyglądać zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała – bez pertraktacji, podczas których osłupiali panowie zgodzą się na wszystko pod wpływem przymilnego spojrzenia czy celnej uwagi.

Nagła refleksja wstrząsnęła sercem Lisy. Było już jednak za późno na jakiegokolwiek ruchy. Szlachta wybiła kamieniem okno, czyjeś ręce pochwytyły cienką kratę, łączącą szybki.

– Co to za gwałt?! – krzyknęła.

Oburzona podeszła w stronę okna i w ciemności zobaczyła gorejące pochodnie oraz tłumek szlachciców. Niepomna tego, że właśnie próbują wdrzeć się do kamienicy, dygnęła przed nimi, wiedziona przyzwyczajeniem. Widząc wyszukane maniery dziewczki wobec jawnego rozboju, szlachta ryknęła śmiechem.

– Otwórz nam drzwi, dobra panienko, bo nie możemy wejść.

– Po cóż jaśnie panom wchodzić?

– W gościnę przyszliśmy. Nic się panience nie stanie.

Nawet Lisa nie była tak naiwna, by uwierzyć w te słowa.

– Nie wpuszczę.

– Ty licha kobyło! Niemoto! – przed kamienicą rozległy się okrzyki.

Upokorzona inwektywami, odsunęła się od okiennicy. Próbowwała uspokoić skołatanę nerwy, tłumacząc sobie, że szlachta nie dostanie

się do środka. Zaraz jednak zamarła – oprawcy wyrwali cienką żeliwną kratkę z okna. Najszczuplejszy zaczął się przez nie przeciskać.

Obserwowała napad w poczuciu bezsilności. Zniknęła pewność siebie; Lisa nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego poczucia niemocy. Zauważyła wreszcie, że cięty język na nic się nie przyda, może tylko rozwścieczyć tłumek. Poza nim nie miała niczego – ani zdolności do negocjacji, ani łagodnej natury, zdolnej udobruchać szlachtę. Łuski naiwności spadły z jej oczu.

Usłyszawszy hałasy, Ludwika zbiegła na parter. W przeciwieństwie do Lisy widziała jeszcze nadzieję.

– Dobrze, nie będziemy uciekać na strych, ale też nie ułatwimy im wejścia. A kiedy po nas przyjdą, będziemy rozmawiać. To szlachta, ludzie rozumni. W grupie nie wezmą nas gwałtem, jeśli odwołamy się do honoru.

Ludwika przypominała teraz Wandę. Zacięta twarz wyrażała determinację.

Szczupły szlachcic przecisnął się przez okiennicę i triumfalnie wyszczerzył zęby w stronę dam. Ludwika objęła go zimnym spojrzeniem, ale nie odezwała się, tylko dygnęła na powitanie, by pokazać maniery.

– A teraz otworzę braciom drzwi, bo wy nie chciałyście przyjąć gości z szacunkiem.

– Czyż dziwisz się naszej bojaźni, jaśnie wielmożny panie? Szyba w oknie wybita, krata wyrwana.

Szlachcic nie odpowiedział, ale argument, wypowiedziany lodowatym tonem, zawstydził go nieco. W sieni prawie potknął się o ciało de Bange'a.

– O proszę, co za znalezisko. Ładnie tu sobie szanowne damy mieszkają.

Podczas gdy szlachcic otwierał szlachcie drzwi, Ludwika zwróciła się szeptem do młodszej siostry.

– Nie odzywaj się do nich, a jeśli już musisz – pokazuj maniery. Staraj się zachować chłodny spokój, zaniechaj hardej gadki. Niech cię Bóg broni przed obraźliwymi słowami, pokaż godność damy z wysokich sfer. Niech poczują dystans. Im będzie on większy, tym

silniej pokażesz swój opór. Nie ukazuj strachu, nie płacz się w rozmowie. Nie uciekaj. Jeśli zrobi się groźnie, powiedz, co czujesz, i poproś o wyjaśnienie. Nie wymądrzaj się i pod żadnym pozorem nie gódź w honor szlachecki. Za to gotowi się zapieniść i o głowę skrócić. Przede wszystkim jednak, choć raz w życiu, zdaj się na mnie.

Szlachta wpadła do sieni. Byli wśród nich mężczyźni różnego wieku i rozmaitej postury. Póki co nie wyciągnęli szabel, jedynie rozglądali się po sieni, zerkając niepewnie na damy. Ludwika opuściła ręce, luźno splatając dłonie. Lisa, która obserwowała siostrę kątem oka, uczyniła to samo. Milczały.

Tłumek powoli przemierzał sień, aż wreszcie mężczyźni stanęli naprzeciwko sióstr. Ponieważ nie odzywały się, zaczęto niepewnie pochrząkiwać. Szlachta spodziewała się bowiem popłochu, w którym najłatwiej unieść się emocją i zrealizować plan porwania. Tutaj należało coś powiedzieć, zakomunikować, być może zapytać o jakieś wniosłe dyrdymały. Mieli przed sobą niewinne, młode niewiasty. Czyż godziło się popychać je, obrażać, grozić szablą, skoro tylko stoją i patrzą?

Wreszcie najodważniejszy, prowodyr zajścia, stanął przed siostrami i cmoknął chytrze, zastanawiając się, jak je podejść i wzniecić w kompanach iskrę buntu, która powoli gasła. Poczęto patrzeć po sobie i konstatować, że przecież siostry van der Berg nie odpowiadają za polityczne zagrywki matki, a Jezierski sam powinien wymierzyć sprawiedliwość za śmierć syna.

– A więc tu się ukrywacie.

Był to niski, podstarzały szlachcic. Ludwika spojrzała na niego uprzejmie, ale z góry, była bowiem wyższa.

– Tak, jaśnie panie. Tu się ukrywałyśmy.

– I co teraz? Wiecie, coście narobiły?

Ludwika skłoniła się z szacunkiem.

– Niech jaśnie wielmożny pan powie.

Stary zgłupiał. Liczył na jakąkolwiek iskrę buntu, do którego była ponoć skłonna panna Lisa, tymczasem dziewczka milczała, starsza Anna z kamienną obojętnością prowadziła chłodną rozmowę.

– Cóż... wasza matka z Wolfgangiem Woyciechowskim się zadała. A to wielki nieprzyjaciel Gdańska, króla Augusta II i rodu Jezierskich. Pewnie wiecie, że syna mu zabił?

Lisa westchnęła przerażona. Jej suche wargi zadrżały, oczy wypełniły się łzami.

– Jaśnie pana Aleksandra? – zapytała cienko.

– Nie, Jerzego Jezierskiego. Widzę, że ty byś, panienko, szczerze żałowała pana Aleksandra.

– Znam jaśnie pana Aleksandra. Dobry z niego człowiek.

Stary szlachcic nachmurzył się. Nie w smak mu było przyznawać kompanom, że akcja nie ma sensu. Przeciwnie, próbował oskarżyć siostry o cokolwiek, byle znowu podburzyć towarzyszy i nie wyjść na durnia.

– Więc... nikczemnik Woyciechowski uciekł wraz z waszą matką z Gdańska. Do tej pory nie wrócili, nie wrócił też Konrad Jezierski, który pognał za nimi, by zemścić się za śmierć syna.

– Bogu dzięki – wyrwało się Ludwice.

Wzniosła oczy w poczuciu ulgi. Szlachcic zmarszczył brwi.

– Jakże to? Czyli Konrad Jezierski jest sprzymierzeńcem rodu van der Bergów? Niczego nie pojmuję.

Ludwika uśmiechnęła się ciepło.

– Wolfgang Woyciechowski siłą trzymał nas przy sobie. W istocie był to nikczemnik, naszą najdroższą matkę siły pozbawił. Potrafił słowem doprowadzić kruche serce do omdlenia. Nawet nie imaginuję sobie, co mówił. Dość, że matka niezdrowa do tej pory. Z niepokoju schudła, nie spała i nie jadła. A dziś jeszcze okrutnik Woyciechowski na naszych oczach udusił tego człowieka, który bez życia leży w sieni.

Ludwika nawet nie musiała udawać – wyznanie przyniosło jej ogromną ulgę. Nawet z powodu szczerzego wzruszenia zwilgotniały jej oczy. Popatrzyła na szlachcica cierpiętniczo, całkowicie zmiękczając jego serce.

Z tłumu wystąpił młodszy szlachcic.

– Nadobne niewiasty piekło przeżyły. Słyszałem, że pani Barbara van der Berg listy pisała z Amsterdamu, a potem z podróży i tak nawiązała się znajomość z Woyciechowskim. Skąd dziewczka



z zagranicy mogła znać jego reputację? Nie wiedziała o nim zbyt wiele, dała się złapać w pułapkę. A gdy przyjechał do Totenhofu, było już za późno. Wpadła w ręce szaleńca. Jakże więc mamy karać te dziewczki?

Szlachcic wypowiedział to, co myślała reszta. Zaczęto szeptać między sobą, wnet zmieniając zdanie. Niektórzy poczęli zerkać na wybite okno w poczuciu winy.

– Ach! – sarknął stary szlachcic. – Było się pani van der Berg mieszać w politykę Rzeczypospolitej? Gdyby nie to, syn pana Konrada może by żył.

– A może by nie żył – odpowiedziała Lisa, odzyskująca powoli pewność siebie.

– Może, może... Widzę, że panienka harda, jak powiadają. Cały Gdańsk szepcze o tobie, dziecko.

Lisa nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ u progu sieni zrobił się rwetes. Tłum rozstał się, bo do kamienicy weszli Konrad i Aleksander. Stary Jezierski wyglądał na wyraz marnie. Podkrążone, czerwone oczy patrzyły niecierpliwie na zgromadzonych, aż zatrzymały się na Ludwice. Ponura twarz stężała.

– Co tu się dzieje, mości panowie? Ledwo powróciłem do Gdańska, przywołał mnie poruszony Aleksander. Podobno rozprawić się chcecie z damami van der Berg.

Panowie nie śmieli gniewać Jezierskiego, więc wpatrywali się w podłogę, milcząc.

– Czy któryś z waszmościów odpowie?

Stary szlachcic, z początku najbardziej podniecony myślą o porwaniu i zemście, przystąpił do Konrada.

– Nie gniewaj się, waść. Działaliśmy w dobrej wierze. Skrzyknęliśmy się po dzisiejszych wydarzeniach, by pomścić twego syna. Uznaliśmy, że należy śmiercią nieprzyjacielowi odpłacić. Chcieliśmy porwać jedną z dam, najchętniej narowistą pannę Lisę, by postawić ją przed twe oblicze. Waść miałeś zdecydować, czy zostawić ją przy życiu, czy uśmiercić.

Stary wił się teraz w tłumaczeniach. Lisa wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, a Aleksander prychnął z oburzenia. Konrad patrzył na szlachcica z niechęcią.

- I Conti, którego popierała Barbara van der Berg odpłynął, zagarniając nasze statki wraz z towarami... Za to się chyba banicja należy?

- Czy tylko Barbara van der Berg popierała francuskiego księcia? Czy chciałeś się waść mścić, gdyż jest dziewczką?

Z tłumu odezwał się inny szlachcic.

- Panie bracie, przecież my w dobrej wierze przybyliśmy. Chcieliśmy waści zadośćuczynić, bo jesteś stronnikiem króla, naszym druhem oddanym. A van der Bergom się należy...

- Bracie, zrobisz, co zechcesz, dziewczki masz podane jak wieprza do wieczerzy - wtrącił stary.

Aleksander spoglądał na zgromadzonych z oburzeniem, ale nie odzywał się. Było dla niego jasne, że ojciec nie zechce mścić się na damach za śmierć syna.

Jednak Konradowi przebiegały przez głowę rozmaite myśli. Pod powiekami czuł nieprzyjemne szczypanie, ból rozsadał skronie. Wielki żołnierz, niegdyś najprzystojniejszy mąż Rzeczypospolitej, wyglądał jak umrzyk i tak się czuł. Cierpienie wołało w jego duszy, zemsta nie przyniosła ulgi.

Teraz Konrad obwiniał za śmierć syna tę, której nie mógłby zabić. Choć nie chciał, by obraz Wandy przysłał mu rzeczywistość, przed oczami wciąż stawała mu dziewczka z motłochu, którą najpierw gardził, a potem pokochał. Najpierw Wanda Sobótka, którą poznał na Drodze Jagodnickiej - ładna, ale zwyczajna dziewczka o subtelnych rysach i łagodnym spojrzeniu. Jasny, poplątany warkocz i zdrowa, opalona twarz - Konrad uśmiechnął się do siebie na to wspomnienie i zapragnął wrócić do przeszłości. Zaraz jednak zgryzota odebrała mu przyjemność.

- Drogi ojcze, powiedz coś - poprosił Aleksander.

Potem była Wanda Schulz - zdegradowana do roli chłopki mieszkanka podgdańskiej wsi Stare Szkoty, żona wiejskiego awanturnika Daniela Schulza. Oraz Ludwika, będąca owocem ich układu - bo o miłości nie mogło być mowy. I ciało zhańbionej banicją Wandy, gładkie, miękkie. Pełne piersi, które całował, biodra poruszające się w rytm jego bioder. I tę wizję, choć stanęła mu teraz przed oczami jak żywy obraz, starał się wyrzucić z pamięci.

Podobnie niemal zawstydzający fakt, że pomógł jej i Ludwice wydostać się z Gdańska, dzięki czemu uniknęły śmierci w śnieżnej zawierusze.

A teraz Wanda, a właściwie Barbara van der Berg – patrycjuszka z miasta Amsterdam. Obca, niedostępna. Ciało i umysł zamknięte na jego czar, wrogość tłąca się w oczach. W tej chwili Konrad przeniósł zmęczony wzrok na Lisę i przypuścił, że istotnie miałby pozbawić ją życia. Przez krótką, złowrogą chwilę, możliwość jawiła się jako kusząca. Skoro bowiem Wanda zamierzała podjudzić Wolfganga do morderstwa syna Jezierskiego, dlaczego on nie miałby skorzystać z prawa odwetu?

– Ojcze, czy coś powiesz?

Tym razem skinał głową.

– Daj mi się namyśleć.

Tego nie spodziewał się właściwie nikt. Szlachta patrzyła po sobie poruszona, dywagując, czy przez utratę syna Konradowi nie pomieszały się zmysły. Ludwika zmarszczyła brwi, Lisa pobladła. Aleksander postąpił kilka kroków ku ojcu.

– Przecież tu się nie ma nad czym namyślać. Damy van der Berg niczemu winne!

Jednak Konrad nie słuchał. Całą nienawiść, którą jeszcze niedawno czuł do Wolfganga, przelał teraz na Wandę, bo umarłego nie mógł już ścigać. Wizja zemsty wygładzała zatroskane czoło, choć na dnie serca czuł, że nie byłby zdolny do haniebnego uczynku.

Otrząsnął się po chwili z tych wizji, bo szlachta poczęła wychodzić, dając Jezierskiemu czas do namysłu. Spoglądano po sobie, zamyślenie Konrada niepokoiło zgromadzonych. W końcu u wylotu sieni zostali tylko Jezierscy i siostry van der Berg.

Aleksander podszedł do Konrada, ale ojciec władczo odsunął go ręką. Czuł zawroty głowy, myśli przelatowały przez jego umysł jedna za drugą. Ta gonitwa doprowadzała Jezierskiego do szału, chciał przestać myśleć i zasnąć. Gestem nakazał zgromadzonym, by milczeli, po czym skierował ciężkie kroki do dawnej izby Woyciechowskiego. Usiadł przy ławie i polecił zawołać służbę, by zapaliła świece.

Miałby zemścić się na Wandzie i odebrać życie jej córce. Której? Ludwika nie wyobrażał sobie tknąć, pamiętał ją dobrze jeszcze z czasów jej dzieciństwa. Lisę? Przecież była jego córką. Choćby się wypierał, choćby jej nie uznawał, fakt ojcostwa nie pozostawiał wątpliwości. Poza tym Jezierski, choć był zagubiony, myślał przenikliwie. Wiedział, że kierując się do izby Woyciechowskiego, daje damom van der Berg szansę na ewentualną ucieczkę. A ponieważ był człowiekiem rozumnym, własne spostrzeżenie przejęło go do głębi. Tak nisko upadłem, by zastanawiać się nad zabiciem niewinnej dziewczki tylko po to, by ukoić ból? Przecież i tak nie przestanie krwawić moje ojcowskie serce. Taka zbrodnia mogłaby tylko zmaćcić umysł jeszcze bardziej. Kto wie, może właśnie dlatego oszalał Woyciechowski – dywagował.

A jednak wspomnienie Wandy przyprawiało go teraz o mdłości. Nagle zdał sobie sprawę, że przesiąknął nią cały, musiał się więc oczyścić. Jak – tego nie wiedział.

Wbrew oczekiwaniom Lisa nie uciekła. Co więcej, postanowiła stawić Konradowi czoła, choć coś się w niej złamało. Pewność siebie przeszła w niepokój, rozkwitały w niej nieznane dotąd przekonania – póki co niedojrzałe zaczątki nowej osobowości.

Skierowała kroki ku izbie Woyciechowskiego.

– Nie idź tam, panienko. Jeszcze nigdy nie widziałem ojca w takim stanie – ostrzegł Aleksander.

– Twój ojciec cierpi, jaśnie panie Aleksandrze.

Ludwika już miała zapytać, od kiedy siostra troszczy się o innych, ale zaniechała. Nie chciała przedłużać rozmowy. Poza tym nie wierzyła, żeby Konrad mógł skrzywdzić Lisę.

Panna zapukała nieśmiało. Nie usłyszała odpowiedzi, więc zaczekała na służkę i wraz z nią weszła do izby. Konrad siedział pochylony przy ławie, żołnierskie dłonie obejmowały skronie. Widok cierpiącego chorążego wprowadził Lisę w zakłopotanie. Przecież niegdyś służył u boku samego króla Sobieskiego. Liczył się z nim każdy w Rzeczypospolitej, on zaś sam pokazywał ludziom tylko to, co w nim godne i piękne.

Gdy służka wyszła, odezwała się cicho:

– Jaśnie wielmożny panie...

Nie poruszył się, a więc wyczuł wcześniej jej obecność.

– Czy śpisz, jaśnie panie?

Tym razem odjął dłonie i wyprostował się. Zmęczone oczy utkwiał w córce. Wydała mu się boleśnie podobna do niego, ze zdziwieniem przyglądał się podobieństwowi, których wcześniej nie zauważał. Była jednak owocem miłości z Wandą, a jej fizjonomię chciał w tej chwili zapomnieć. W spojrzeniu odbiła się więc wrogość.

– Jaśnie wielmożny panie, ja wiem, że mnie nie skrzywdzisz.

Próbowała zbliżyć się do ławy, ale w spojrzeniu błysnęły iskry gniewu, zatem cofnęła się.

– Nic nie wiesz, panienko. O niczym nie masz pojęcia. Wiek jeszcze nie ten i charakter zupełnie inny masz niż matka. Ale to dobrze, bardzo dobrze... Jeśli fortuna dopisze, będziesz wiodła lekki żywot.

– Jaśnie wielmożny panie, czemu ludzie sobie życie wikłają? Przecież tyle zła jest na świecie.

– Wikłają sobie życie ludzie niegodziwi. Na większość spraw wpływu nie mamy. Nie możemy przewidzieć, że kogoś kopnie koń. Nie możemy też rozsądzić, ile życia nam zostało. Nie władamy pogodą, jesteśmy jak robaki, które pochłonie ziemia. Ale jeśli mamy na coś wpływ, powinniśmy postępować według zasad i kierować się dobrocią. Jeśli ktoś sobie na towarzysza życia wybiera niegodziwca i mordercę, podżega do zabójstwa i kapie się we własnym żalu, pragnąc odwetu, nie przebaczenia, to jest niegodny, wyzuty z honoru.

– Czyżbyś mówił o mojej matce, jaśnie panie Konradzie? Musisz wiedzieć, że ona by nikczemnika Woyciechowskiego nie wybrała na męża i odrzuciłaby go z pewnością. Nie ma też żalu do jaśnie wielmożnego pana o wasnie polityczne, ja to wiem.

Choć Konrad starał się panować nad emocjami, na jego twarzy pojawił się wyraz pogardy. Nie myślał bowiem o Wolfgangu Woyciechowskim, tylko o Danielu Schulzu, a co do waśni – panna Lisa o niczym nie miała pojęcia. Polityka była ostatnią rzeczą, która mogłaby go poróżnić z panią van der Berg. Chodziło przecież o wszystko, czego sobie nie powiedzieli. Mianowicie o miłość, która ich połączyła, o porzucenie i zarazem ratunek. Dalej też o to, że Lisa

jest córką Konrada oraz o wszystkie kłamstwa związane z pochodzeniem Wandy. Na końcu najważniejsze – o to, że postanowiła się zemścić w okrutny sposób, nie przypuszczając, jakim awanturnikiem jest jej protektor. Dlatego właśnie Lisa nie mogła go zrozumieć.

– Odejdź, dziecko – powiedział stanowczo.

Z władczyimi nakazami chorążego nie należało dyskutować, więc panna wycofała się w poczuciu niesprawiedliwości. Narastały w niej rozmaite obawy. Wreszcie zrozumiała, że jej status wobec doświadczenia życiowego nie ma znaczenia. Jednak gdy zastanowiła się nad tym głębiej, doszła do wniosku, że wcale nie chciałaby tego doświadczenia zdobywać, ponieważ wiązało się ono z cierpieniem.

## XVIII



Gdy wojska polsko-saskie opuściły północną Rzeczpospolitą, gdańszczanie poczuli ulgę. Przygotowywano się do nadchodzącej zimy, więc rzemieślnicy wymieniali spróchniałe deski w zadaszonych zakładach, a czeladź kupowała więcej drewna. Druga połowa listopada upłynęła spokojnie, zamieszki ustały. Po okrutnej eskapadzie pozostawiono damy van der Berg w spokoju, a ponieważ zima utrudniłaby podróż do Amsterdamu, pozwolono im zostać w Gdańsku aż do wczesnej wiosny.

Jezierscy również zostali. Konrad – niechętny żonie – wolał przeczekać zimę w Gdańsku, na co Aleksander ochoczo przystał, zbierając się na odwagę, by poprosić o rękę Lisy. Na razie jednak wolał czekać, gdyż Konrad był rozdrażniony. Zaniechał obowiązków chorążego, posłów przyjmował w zależności od humoru. Podupadał na duszy, a listy dworskie, zamiast życliwości, zawierały głównie pretensje dotyczące opieszałości. Konrad czuł się źle sam ze sobą, w końcu postanowił, że owszem, zimę należy przeczekać, ale tuż po karnawale odjedzie z Gdańska.

O Wandzie starał się nie myśleć, zresztą robił wszystko, by nie natknąć się na damy van der Berg. Gdy spadł pierwszy śnieg, odmówił udziału w kuligu, aż do grudnia prawie nie wychodził z kamienicy. W mieście szeptano, że starego Jezierskiego pochłonęły żałobne myśli, więc rzadko składano mu wizyty, z niezwykłą ostrożnością wypytujac o bieżące sprawy państwa.

\*\*\*

Pod koniec listopada po mieście rozeszła się wieść o powrocie Steinów. Przybyli w śnieżycy, ale – choć kupiecki interes wymagał ciągłości – kramnica przy Długim Pobrzeżu pozostawała zamknięta. Ludwika wyczekiwała od przyjaciela znaku pojednania, ale Florian

milczał. Snuła się więc po kamienicy przygnębiona. Przez kilka dni rozmyślała o możliwych posunięciach, aż w końcu jej pojednawcza natura wygrała z wątpliwościami. Kazała zaprząć konie i w śniegu wyruszyła do kamienicy przyjaciela.

Otworzyła jej młoda, zatroskana służka. Na pytanie o pana zaniósł się płaczem.

– Pan mój niezdrowy.

Ludwika struchlała.

– Co się stało twemu panu?

– Gdy tylko przyjechał, kazał wołać medyka, bo okrutnie bolały go plecy. Przybył medyk ze Świętego Ducha i orzekł, że pan ma kamień w narządzie, który zwą nerką. Powiedział, że ból nie ustąpi sam, trzeba wyjąć ten kamień, który siedzi i panu mojemu nie pozwala żyć. Niechaj sobie jaśnie pani wyobrazi taki kamień, przecież musi podskakiwać w organach z każdym ruchem i ślizgać się wewnątrz. Pan mój był już bardzo cierpiący, kazał robić cokolwiek, byle ból ustąpił. Medyk go rumem napoił, a porcji dał jak dla marynarza. W końcu rozciął, a myśmy się przyglądały. Była krew i wołał mój pan pomocy. Serce mi się na kawałki rozpadało, gdym patrzyła na ten ból...

Tu służka przerwała, bo głos uwiązł jej w gardle. Ludwice po plecach przeszedł dreszcz zgrozy, ale pomimo strachu zapytała przytomnie.

– Czy kamień został z narządu wyjęty?

– Tak. Lecz ja nie wiem, jak on się dostał do wnętrza. Czy pan mój zjadł go lub wypił przypadkowo? Jeśli tak właśnie było, to człowiek nawet podczas codziennych czynności baczyć musi, czy aby wszystko dobrze robi. Medyk powiedział, że kamień się musiał wytworzyć wewnątrz ciała, ale ja w to nie wierzę. Człowiek ma ciało nie od tego, aby mu się tam pojawiały same z siebie kamienie.

– Co dalej? Czy pan twój nadal niezdrowy?

– Jest jeszcze gorzej, jaśnie pani. Rana goreje, pana gorączka chwyta i nie ustępuje nawet nad ranem. Wciąż ze służbą przynosimy panu wina i ocieramy pot z twarzy. Okrutne boleści ma mój pan i boję się o niego... Nocą majaczy, opowiada przeróżne historie z dalekich krajów, choć tam przecież nie bywał. Opowiada



najpewniej o tym, co wyczytał z mądrych ksiąg. Podśluchałam, jak mówił o lwach mieszkających w ciepłych krainach, o zwierzętach, co się zowią zebry i żyrafy. Pan mój taki mądry, nie chcę, by umierał...

Tu służka spuściła wzrok, po policzkach spłynęły łzy.

Ludwice też ścisnęło się serce, jednak nie dopuściła do siebie myśli o rychłej śmierci Florka. Była to dla niej możliwość zbyt bolesna, zatem – choć niepokój wkradł się do jej duszy – nadzieja wciąż wygrywała.

– Dobrze opiekujesz się swoim panem i widać, że zależy ci na jego życiu, dziewczko. Zaprowadź mnie do niego. Pragnę mu złożyć wizytę.

Po kamienicy krzątała się służba. Wnętrza wyglądały lepiej i czyszej niż poprzednio. Ludwice wydawało się, że Florian posłuchał jej rady. Jeszcze przed wyjazdem z Gdańska musiał opłacić nowe meble i zatrudnić czeladź. Ta myśl sprawiła jej przyjemność, więc do sypialni podążała z lżejszym sercem i przekonaniem, że razem pokonają gorączkę.

Złudzenie zniknęło, gdy tylko stanęła w progu izby sypialnej. Na rozłożystym łożu leżała blada niczym duch postać, kościstą pięścią przyciągająca pierzastą kołdrę. Jedynym kolorem wyróżniającym się spośród wszechobecnej bieli był rudy – roztrzepane pukle Florka kołtuniły się na poduszce; reszta pozostawała niemal przezroczysta – błękitnawe żyłki, delikatna skóra patrycjusza i wyschnięte z odwodnienia usta.

W izbie panował zaduch. Kurdybany zasłaniały okna, więc pomimo jasnej, śnieżnej aury, pokój spowijał półmrok. Na widok Florka Ludwika zamarła, dopiero zapraszający gest służki sprawił, że weszła do pomieszczenia. Przysunęła zydel i usiadła przy łożu.

– Witaj, Ludwiko.

Choć spoufalił się z nią, pomijając tytuł, nie ucieszyła się. W spojrzeniu przyjaciela dostrzegła rozpacz. Był przytomny, ale widocznie nie dawał sobie nadziei na przeżycie. Ludwice zaczął udzielać się nastrój grozy. Jednak uśmiechnęła się pokrzepiająco.

– Witaj, Florianie.

– Nie najszcześliwiej rozpoczęła się dla mnie ta zima.

Jasnozielone oczy spoglądały na przyjaciółkę trzeźwo, ale grymas świadczył o cierpieniu. Florian był bliski omdlenia; kiedy tylko

uniósł się na łokciach, by godniej powitać przyjaciółkę, zaszumiało mu w głowie. Ludwika położyła rękę na rozgrzanej piersi.

– Nie wstawaj, Florianie. Jesteś na to zbyt słaby.

Nie położył się jednak. Pod wpływem dotyku Ludwiki serce poczęło mu bić szybciej. Przyjaciółka wyczuła tę zmianę i nieśmiało cofnęła dłoń.

– Jak się czujesz?

– Jak widzisz, Ludwiko. Przez kilka dni rozmyślałem, czy wiesz o mojej chorobie. A jeśli wiesz – czy przyjdiesz.

Tym razem zabrakło mu sił, więc ponownie opadł na poduszki.

Trwoga widoczna w jego spojrzeniu przejęła Ludwikę gniewem. Przyjaciel już rozsądził, że umrze, więc z lękiem czekał na ostatnie tchnienie. Za to pani van der Berg nie tylko miała nadzieję na ozdrowienie, ale ową nadzieją żyła. Przecież nie może umrzeć. Jak śmie się na to przygotowywać? Jak śmie mnie zostawiać? – rozważała rozpaczliwie. Coraz trudniej przychodziło jej panowanie nad złością, za którą kryły się prawdziwe emocje – teraz wypierane.

– Podobno opowiadałeś służbie ucieszne historie o dalekich krainach – zaczęła.

– Droga Ludwiko, świat to wielkie, przepiękne miejsce. Czytałem księgi o dalekich krainach, wyobrażałem sobie wszystkie zwierzęta, które opisano. Otóż na przykład zebra to ciekawe stworzenie, którego w Europie nie zobaczysz. Ma cztery nogi i kopyta, zupełnie jak nasz osioł. Ale ubarwienie dziwaczne – czarno-białe paski. Wyobrażasz sobie?

– Pewnie chciałbyś zobaczyć zwierzę zwane zebrawą, mój przyjacielu?

Florek utkwiał wzrok w oczach Ludwiki. Jej pytanie przypomniało mu o śmierci.

– Już go nigdy nie zobaczę, Ludwiś.

– Co za banialuki!

Choć Floriana trawiła gorączka, spojrzenie miał przenikliwe, toteż od razu spostrzegł, że Ludwice bardzo zależy na tym, aby wyzdrowiał. Tym razem to on poczuł złość – zostawi tę zagubioną, ufną dziewczkę na nieprzyjaznym padole, pośród zawistnych ludzi. Ale też odczuwał zazdrość, która go zawstydziała. Wyobrażał sobie, że

Ludwika będzie jeszcze tańczyła w karnawale i oglądała słoneczne zachody, a on nie; chwycił go żal, który próbował stłumić obojętnymi uwagami.

– Wiesz dobrze, jak to jest z ludźmi, miła pani – są, a później ich nie ma. Odchodzą z tego świata, odchodzą z umysłów innych ludzi, odchodzą w cień oni i ich wielka sława. Stają się posągiem przeszłości postawionym jedynie ze spisanych opowieści i wspomnień żyjących. I to tylko, jeśli mają szczęście. Po stu latach nas też nikt nie będzie pamiętał, a jeśli zapiszemy się w historii, to tylko w spisie mieszkańców. Będzie tam stało, że Florian Stein, syn Rudolfa Steina, zamieszkiwał w kamienicy przy ulicy Świętego Ducha. Jeśli kiedykolwiek kto zajrzy do tych papierzysek i tak przewróci stroną bez refleksji, szukając Heweliusza lub Breyna.

Ponieważ uwagi Florek wypowiedział obojętnie, Ludwika nie odczuła pełni jego gorczy. Tyle jednak wystarczyło, by w jej oczach stanęły łzy, litowała się teraz nawet bardziej nad sobą niż przyjacielem, uznając, że to jej zależy na Florkowym życiu o wiele bardziej. Znaczyło do dla niej, że Stein żałuje dalekich podróży i zebr, nie zaś życia, które mógłby z nią wieść. Refleksja wstrząsnęła nią do głębi, poczuła nawet, że przyjaciel nie odwzajemnia miłości, a na tę myśl zrobiło jej się głupio – przecież nie padły z jego ust żadne ważne słowa – nic, co mogłoby dać nadzieję na wspólne życie.

Florek uważnie obserwował przyjaciółkę i odczytał z jej twarzy zmieszanie. Atmosfera w izbie zgęstniała. Ludwika już miała pożegnać się i wyjść, lecz nieoczekiwanie poczuła, jak jej dłoń ściska gorąca ręka przyjaciela.

– Opowiedz mi, droga przyjaciółko, o swojej podróży morskiej do miasta Amsterdam. Jak było na statku? Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– O mnie? – upewniła się nieśmiało.

– Oczywiście.

Tym razem uśmiechnął się do Ludwiki inaczej – bez desperackiego żalu, za to z iskrą udawanego zainteresowania.

\*\*\*

Ludwika ze zdziwieniem odkryła, że codzienne rozmowy wpływają na zdrowie Florka. Przychodziła do kamienicy regularnie. Siadała przy łożu chorego i zabawiała go opowieściami o życiu w Amsterdamie oraz o przyjeździe do Polski. Ponieważ znał jej pochodzenie, nie musiała skrywać tajemnic. Otworzyła serce, ciesząc się, że budziła w przyjacielu zaciekawienie. Z początku Florek nieśmiało stawiał kolejne pytania, potem zaczął wyciągać wnioski z rozmów, jednak niezależnie od samopoczucia, zawsze stawiał Ludwikę w centrum uwagi.

Wkrótce zaczął wstawać z łoża o własnych siłach. Wieczorami podchodził do okna i rozmyślał, łapiąc się na tym, że większość myśli poświęca Ludwice. Choć mówiła mu o sobie wszystko, nie mógł się nasycić. Zastanawiał się nad tym, jak przyjaciółka widzi rzeczywistość, próbował zrozumieć jej charakter. W samotności wspominał każdą rozmowę. Uśmiech coraz częściej rozświeślał przygaszone oblicze.

\*\*\*

W dniu Świętego Mikołaja śnieg spowił Gdańsk niczym gruba kołdra. Okoliczni wieśniacy oddawali się rytuałom mającym uchronić ich dobytki przed wilkami i dzikimi psami. W gdańskich kościołach biły dzwony zapraszające na msze. Nawet miejscy kupcy zegnali swe dobra znakiem krzyża, by żaden wściekły pies nie porwał towaru. Zewsząd, zwłaszcza w okolicznych dobrach duchowieństwa, powtarzano słowa starej modlitwy, tak że całe rodziny mówiły chórem:

– Święty Mikołaju, weź klucze, idź do raju, zamknij pysk psu wściekłemu i wilkowi borowemu.

Tego dnia Ludwika po raz kolejny wybrała się do Florka. Zdecydowała się na wędrowkę, choć zimny wicher hulał między uliczkami. Był to dla niej spacer oczyszczający umysł, bowiem przypomniła sobie wydarzenia z dzieciństwa. Dwadzieścia lat wcześniej, jako dziesięcioletnia dziewczynka, brodziła w takich zaspach, w równie nieprzyjaznej aurze. Wciąż pamiętała wszystkie szczegóły – nieszczęsny list napisany przez Barbarę Schwarz do

Daniela Schulza, zupełnie niedzieliące obawy i prośbę, by Florian odczytał, co niegodziwa Schwarzwowa napisała do jej ojca. Wówczas wydało się, że Daniel Schulz – prawdziwy ojciec Ludwika – to morderca, pragnący wygodnego życia u boku Barbary Schwarz, której męża zamordował.

Wówczas zrozpaczona Ludwika zwróciła się do jedynej osoby, która mogła ochronić ją i matkę. Pamiętała swą niemoc i piękną twarz młodego Konrada Jezierskiego, patrzącego na nią z wyższością, ale też z wyrozumiałością. I teraz, gdy szła jako dorosła do kamienicy Floriana Steina, wciąż wspominała dawne wydarzenia, jakby wszystko rozegrało się przed chwilą. Jedynie ojca wołała sobie nie przypominać zbyt wyraźnie – Daniel Schulz stanowił w jej myślach coś na kształt mglistego wyobrażenia łączonego zawsze ze strachem. Jakby nigdy nie żył naprawdę i był wytworem wyobraźni – bezkształtną obawą snującą się czasem po głowie wraz z innymi myślami, zawsze spychaną na margines świadomości.

– Uświadomiłam sobie coś, gdy dzisiaj szłam do twojej kamienicy, drogi przyjacielu – zaczęła, gdy już rozsiedli się w izbie.

– To, że z każdym dniem wyglądam dużo lepiej?

Podchwyciła rozbawione spojrzenie i uśmiechnęła się lekko.

– Nie, Florianie, choć rzeczywiście choroba z ciebie uszła. Świadoma jestem, że wszystkie wydarzenia, które przeżyłam, ukształtowały moją naturę. Nie ma w tym nic odkrywczego poza tym, że mimo tylu boleści czy niepokojów raduję się życiem i ludźmi.

Siedzieli naprzeciwko siebie w wygodnych fotelach przywiezionych ostatnio z zakładu mistrza Schumanna. W pomieszczeniu pachniało już nie chorobą, lecz świeżością. Służba odsłoniła okna, do izby wpadało światło.

– Pozostałaś dobrą, pogodną duszą, pomimo krzywd, które cię spotkały. Czyż nie świadczy to o niezłomnym charakterze, Ludwiko?

– Twój charakter jest równie niezłomny, drogi przyjacielu. Wyszedłeś z choroby, w duszy nie dając sobie szans.

– Ja też coś przemyślałem. Nie należy tracić czasu w świecie tak niepewnym, Ludwiko. Dlatego postanowiłem, że po zimie, gdy stopnieją śniegi i pogoda pozwoli, zacznę korzystać z żywota.

Poruszyła się niespokojnie, entuzjazm opadł. Wstała z fotela i podeszła do okna, by Florian nie zauważył zawiedzionej miny.

– Wiem, że zawsze robiłeś to, co nakazywała ci rodzina, przyjacielu. I choć trudno będzie mi ciebie pożegnać, wiem, że podróże są twym największym marzeniem. Zebry, żyrafy... – tu głos zamienił się w szept.

Patrzyła przez okno, udając obojętność, lecz do jej oczu napłynęły łzy.

– To prawda, zawsze chciałem podróżować, Europa jest dla mnie zbyt ciasna. Zwiedziłem kraje Zachodu, ale nie przyniosło mi to spełnienia.

Ludwika usłyszała ciężkie kroki, podłoga skrzypnęła. Florian stał teraz za nią, blisko. Czuła ciepło jego ciała, słyszała każdy oddech. Uderzyła ją własna bezsilność wobec marzeń przyjaciela, więc – choć pilnowała się, by zachować spokojne oblicze – po policzkach mimowolnie spłynęły łzy.

– Odwróć się do mnie, Ludwiko.

– Teraz wolę nie.

– Proszę. Chcę rzec coś ważnego.

– Wiem, co chcesz rzec, Florianie. Że po zimie wypłyniesz do dalekich krain, by zobaczyć cuda, o których czytałeś w uczonych księgach.

– Ludwiko...

Zacisnęła zęby, ale to nie powstrzymało płaczu. Łzy spływały bezgłośnie.

Florian położył rękę na jej ramieniu, chcąc, by się odwróciła, ale stała niewzruszenie, bojąc się przyznać do miłości.

– Ludwiko... mam bardzo wiele marzeń.

Nie chciał dać jej chwili samotności, choć widział, że cierpi. Dlatego z wściekłością odwróciła się ku niemu, by zobaczyć zapłakaną twarz.

– Tak, masz bardzo wiele marzeń! Szkoda tylko, że nie ma mnie w żadnym z nich!

– Ależ jesteś! Jesteś ich częścią!

Wzburzenie nie pozwalało Ludwice nabrać tchu. Stali naprzeciwko siebie, oboje wstrząśnięci własnymi emocjami i krzykiem.

– Czemuż?!  
– Bo cię miłuję!

Floriana zaskoczyła zarówno łatwość, z jaką powiedział te słowa, jak to, że już nie można ich cofnąć, więc jeśli Ludwika nie odwzajemni jego miłości, niechybnie wyjdzie na durnia.

Jednak ona, wzburzona i zdezorientowana, patrzyła na niego, nie dowierzając.

– Tyle lat cię szukałem. Tyle lat zastanawiałem się, czy żyjesz, czy kiedyś powrócisz do Gdańska, czy mnie pamiętasz – szepnął.

Potem nachylił się i złożył na ustach Ludwiki lekki pocałunek. Oddała go z całą mocą.

\*\*\*

Śnieg wciąż sypał, ruch w nadmotławskim porcie ustał. Marynarze przesiadywali w karczmach, a gdańszczanie przygotowywali się do Świąt Bożego Narodzenia. Rok kończył się pomyślnie, zagrożenie ze strony Sasa i Francuzów minęło, choć echo listopadowych wydarzeń wciąż pobrzmiwało na Zachodzie, dając Ludwikowi XIV powody do niezadowolenia. W Rzeczypospolitej nikt już nie przejmował się konfliktem. Przeminał wraz z jesienią, nastał zimowy czas ukojenia.

W Gdańsku mówiło się głównie o nadchodzących Świątach, ale patrycjat coraz częściej wspominał karnawałowe zabawy. Wzdychano do tego okresu co roku, wyczekując go jak wybawienia. Jeśli kiedykolwiek ludzie zapominają o śmiertelności, to właśnie w czasie zabawy.

Ludwika i Florian byli już po słowie. Ponieważ w Gdańsku nie wspomniano więcej o skandalu z udziałem van der Bergów, Steinowie zgodzili się na połączenie rodów. Starsza siostra chodziła więc rozkojarzona, szczęśliwa z powodu miłości.

Lisa zazdrościła jej tego stanu, tęskniła za zapierającymi dech uczuciami, a przede wszystkim za Aleksandrem Jezierskim, którego czasami widywała w mieście. Wymieniali tylko zdawkowe uwagi, bo Lisie zawsze towarzyszyła starsza siostra lub matka.

Widać było, że w Lisie coś się zmieniało. Pomimo zazdrości stała się dojrzała. Refleksje przychodziły z łatwością, co zawdzięczała

marzeniom. Codziennie przed zaśnięciem leżała w łożu, wyobrażając sobie prawdziwą, długą rozmowę z Aleksandrem.

Zazwyczaj w marzeniach pojawiał się Dwór Artusa. Biesiada bogaczy, wytworne maniery i piękne suknie – tu priorytety Lisy wcale się nie zmieniły. Jednak tło było dla niej teraz dopełnieniem najważniejszego – rozmowy. Wyobrażała sobie, że konwersuje z Aleksandrem podczas uczyty i nikt im nie przeszkadza. Nie ma piorunujących spojrzeń matki i kopniaków w kostkę wymierzanych przez starszą siostrę. Są tylko oni – młody szlachcic i Lisa dyskutująca jedynie w swojej głowie, za to z coraz większą wprawą. Dzięki rozmowom toczonym w półśnie dowiadywała się o sobie samej nowych rzeczy.

Nauczyła się okazywać współczucie cierpiącym, coraz bardziej przekonując się, że rzeczywiście w jej sercu coś się zmienia, a konwersacja na temat biedaków ją wzrusza. Zaczęła dochodzić do nowych wniosków, choć niektóre wydały się z początku przerażające. Wpływ na to miała niewątpliwie listopadowa sytuacja związana ze szlacheckim napadem na kamienicę. To również opowiadała w wyobraźni Aleksandrowi. Mówiła mu, jak się wówczas czuła i nie zatajała niczego – ani widma strachu, ani wrażenia, że była wcześniej naiwna. Za tym szedł wniosek o niegodziwości ludzkiej, o tym, że nawet panna z patrycjatu nie może czuć się bezpiecznie wobec ludzi, choćby się mianowali prawymi.

Jeszcze okropniejsza zdawała się Lisie myśl, że człowiek doświadcza wielu rodzajów cierpienia, a ich liczba nie ma końca. Przebywając w Amsterdamie nie miała o tym pojęcia, zamknięta w bezpiecznej bańce pod protekcją ojca i matki. To Rzeczpospolita, a więc Wschód, nauczyła ją nieufności i tego, że niezależnie od charakteru człowieka, musi się on w pewnych sprawach wypowiedzieć, inaczej wezmą go żywcem i jedni, i drudzy.

Myślała więc o polityce i ją samą zdumiewało, że potrafi w myślach prowadzić konwersacje na tak wysokim poziomie. Nagle interes Rzeczpospolitej stał się ważny, zrozumiała konflikt o tron polski, co więcej – stanęła przeciwko profrancuskiemu stanowisku matki. Oczywiście braki w wiedzy nieraz stawały się przeszkodą



w wyimaginowanej rozmowie, ale Lisa starała się wówczas wypowiedzieć w taki sposób, by ukryć niedostatki.

Oprócz zmiany nastawienia do rzeczywistości rozmowy dawały Lisie poczucie bycia kochaną i akceptowaną, czego doświadczała rzadko. Czuła, tak jak tylko może czuć dziecko, że matka kocha starszą siostrę bardziej niż ją. Nauczyła się żyć z tym przeświadczeniem, tak że prawie przestało jej przeszkadzać. Czasem tylko, zwłaszcza ostatnio, w sercu pojawiał się bunt, że Ludwika może poślubić swą miłość, a jej – Lisie – nie wolno. A ponieważ impulsywność i żądza przygód wciąż napędzały ją do działania, pewnego słonecznego dnia wybrała się na samotny spacer, by porozmawiać z Aleksandrem Jezierskim bez świadków.

Był to jeden z dni przedświątecznych, nadzwyczaj ładny. Śnieg topniał, słońce odbijało się od szarzejącego puchu, rażąc oczy. Po mieście przechadzało się niewielu ludzi, głównie gdańszczan. Miasto odpoczywało od zgiełku.

Ujrzała go prędko. Szedł ulicą Świętego Ducha między ciasnymi kamieniczkami, kierując się w stronę Bramy Chlebnickiej. Wyglądał tak, jak w marzeniach – przystojny, z ciemnymi oczyma patrzącymi teraz bystro na Lisę.

– Witaj, panienko. Wybrałaś się samotnie na spacer?

– Witaj, jaśnie panie Aleksandrze. Owszem, pogoda dziś taka piękna, że żal nie wyjść na przechadzkę. Raduję się, że cię widzę.

Wydała mu się dojrzała niż kilka tygodni wcześniej. Jej twarz opromieniał lekki uśmiech, cała postawa wyrażała radość ze spotkania, ale też młodzieńczą zażywność.

– Coś się w panience zmieniło. Na lepsze.

– Miło to słyszeć. Myślę, że dzięki ostatnim wydarzeniom inaczej patrzę na świat.

Spodobała mu się jej szczerłość, więc podszedł bliżej, by podtrzymać rozmowę.

– To możliwe, ale obiecaj, że cięte uwagi nie znikną wraz z nowym spojrzeniem na świat, panienko.

– Nie trzeba się droczyć, nigdy z nich nie zrezygnuję.

Wreszcie patrzył na nią tak, jak pragnęła i pod wpływem owego spojrzenia ciemnych oczu lekko zaszumiało jej w głowie.

– Czy jaśnie pan mnie... lubi?

Poczuła nagłą złość. Podczas gdy w marzeniach potrafiła wspiąć się na wyżyny oratorstwa, w prawdziwej rozmowie zdobyła się tylko na infantylne pytanie. Dodatkowo rozbawiła Aleksandra, czego nie miała w zamiarach.

– Tak, panno Liso. Nawet bardzo.

– Dlaczego?

– Bo jesteś szczerą. Próbujesz zachowywać się jak dama z wyższych sfer, ale towarzyskie gierki są ci obce. Mówisz wszystko tak, jak myślisz. Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie to ożywcze, gdy wokół same ugrzecznione damy.

Lisa zawstydziała się, słysząc te słowa. Chciała przecież należeć do wyższych sfer i rzeczywiście naiwnie uważała, że pasuje do patrycjuszowskich kręgów towarzyskich. Tymczasem wizja jej samej rozmijała się z widoczną prawdą, którą Aleksander dostrzegł już dawno i która zdawała się go bawić. Straciła więc naraz pewność siebie. Nie wiedziała, jak się zachować i co odpowiedzieć, by wypaść wiarygodnie oraz zachować twarz.

Aleksander zauważył zmieszanie. Choć wydało mu się urocze, postanowił nie wykorzystywać swojej przewagi.

– Wybacz, panienko. Nie chciałem przez to dać ci do zrozumienia, że pasujesz do niższych kręgów towarzyskich. Wyróżniasz się spośród bogatych panien. Większości z nich zależy tylko na zamążpójściu. Tobie sprawia satysfakcję przypieranie potencjalnych mężów do muru. Jak się taki nie wybroni, to niech zna łaskę Bożą i czym prędzej ucieka!

Spojrzała na niego badawczo, zastanawiając się, czy z niej nie szydzi. Rzut oka wystarczył, aby się przekonać o szczerych intencjach Aleksandra – był rozpromieniony i skory do żartów, ale mile usposobiony.

– Jaśnie pan czasem tak coś powie, że ja nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Jakże urocza mu się teraz wydawała! Choć w ciągu minionych tygodni wydorosłała, nie zatraciła czarującej bezpośredniości. Choć delikatny uśmiech igrał na twarzy Aleksandra, szlacheckie serce ścisnęło się. Wiedział, że z Lisą może go łączyć jedynie zwykła

znajomość. Ostatnio ojciec coraz częściej wspominał o przyszłości syna i pragnął wydać go za szlachciankę ze wschodniej Rzeczypospolitej. O Lisie zapewne nie chciałby nawet słyszeć.

– Jaśnie panie, rozmyślałam ostatnio...

– Nad czym?

– Wiesz, że matka moja niefortunnie zamieszała się w szlacheckie rodzinne sprawy. Nie powinnam pewnie cię tym gniewać, jaśnie panie, a jednak dziwię się, że pałasz do mnie sympatią, choć twój brat zginał z ręki Woyciechowskiego.

Choć z twarzy Aleksandra zniknął uśmiech, szlachcic nie wydawał się zły. Spoważniał.

– Ta sprawa cię nie dotyczy, pani. Wiem dobrze, że szanowny ród van der Bergów wcale nie wspierał Woyciechowskiego i byliście wszystkie siłą trzymane w szponach jego szaleństwa. To on winien jest zbrodni, nie twoja matka.

– Czy myślisz, że twój wielmożny ojciec też kiedyś będzie tak myślał?

Lisa chciała usłyszeć coś pokrzepiającego, dającego nadzieję na to, że ich rody będą mogły się połączyć. Jednak Aleksander nie był naiwny.

– Ojciec mój do tej pory boleje nad stratą. Trudno mu przemówić do rozumu, bo natychmiast, gdy się zaczyna temat, wychodzi albo go ucina, zawsze stanowczo, bez ogródek. Ojciec mój cierpi, nadobna panno Liso. Z nikim nie pozwalałam sobie na poufałość, nikomu się nie skarżę, a jednak tobie powiem – z moim umiłowanym ojcem dzieje się źle. Czasem myślę, że spada w otchłań, tak dalece nieobecny się zdaje.

– A więc rozmawiałeś z nim, jaśnie panie?

Przyłapała go. Aleksandra zdradziła zawstydzona mina. By pokryć zażenowanie, zapytał o zdrowie seniorki van der Berg.

Od tej pory Lisa odpowiadała odruchowo, bo jej serce wypełniło się radością. Czowała się znowu lekka niczym piórko. Zatem rozmawiał o nas z ojcem! A po co? Przecież to łatwe – jeśli Konrad Jezierski przebaczy mojej matce, Aleksander będzie mógł porozmawiać z nim o ożenku. Rozmawiało jej się teraz ze szlachcicem dużo przyjemniej, skrzępowanie zniknęło. Przytakiwała, śmiała się i odpowiadała na

pytania bez namysłu, cały czas bacząc na to, by nie uronić z rozmowy ani jednej wskazówki, która utwierdziłaby ją w przekonaniu.

Do swoich kamienic oboje wracali roześmiani, niezważający na ponurą aurę. Na przekór grudniowej szarości jaśniało w nich słońce.

## XIX



Przed świętami Bożego Narodzenia w Gdańsku bezustannie sypał śnieg. Mniejsze zakłady zamykano wcześniej, bo niewielkie żeliwne kosze słabo dawały ciepło. Rozhulały się zawieje, mróz nieprzyjemnie drażnił oczy. Mieszczanie pochowali się w kamienicach, jedynie służba wychodziła wieczorami, by zrobić zapasy na nadchodzące dni. Czeladź rajców i ławników kupowała najlepsze mięso, a na wigilię moc ryb, maku i kapusty. Do tego rodzynki, figi, cytryny i ostrygi. Każdy chciał dostarczyć panom to, co najwykwintniejsze, a ponieważ transporty morskie właśnie ustały, obawiano się braków w zaopatrzeniu. Dlatego luksusowe dobra cieszyły się największym wzięciem, nawet biedniejsi mieszczanie wysyłali po nie służbę lub sami chodzili między straganami rozstawionymi na Długim i Rybnym Targu. Kupowano też słomę i siano do podłożenia pod obrus.

Do Gdańska schodzili okoliczni chłopci. Snuli się między drobnym mieszczaństwem, za cel obierając tańsze produkty – mąkę, groch czy grzyby. Bogatsza służba miejska patrzyła na nich ze wzgardą, nie brakowało przepychanek. A jednak to właśnie wieśniacy, częściej niż zwykle, inicjowali konflikty przy straganach, pomni odwiecznej krzywdy, pijani i zazdrośni, że status mieszczańskiej czeladzi jest wyższy od ich statusu.

Święta miały być mroźne. Codziennie z rana czeladnicy zgarniali z dachów drewnianych kramów grubą warstwę bieli. Mistrzowie, okryci drogimi futrami, poganiali uczniów, bo przez nieprzyjazną aurę wszystkie prace szły wolniej. Oprócz okrzyków i nawoływań niewiele odgłosów przebijało się przez wszechobecny puch. Nastąpił charakterystyczny okres zimowej ciszy. Wkradała się w każdy zakamarek miasta, milcząco otaczała kamienice, tłumiała hałasy.

\*\*\*

Damy van der Berg spędziły Boże Narodzenie w towarzystwie Steinów. Choć Wanda cieszyła się szczęściem córki, a kupiecka rodzina wydawała się zadowolona z połączenia wpływowych rodów, przygnębienie – niczym ciężka chmura – wisiało nad jej głową. Konrada nie widziała od tygodni, poza tym wkrótce musiała zdecydować o przyszłości. Czuła się za stara na podejmowanie decyzji o przenosinach. Nawet nie wiedziała, gdzie mogłaby się udać wraz z Lisą – córką mniej kochaną, bowiem drażniąco przypominającą ojca.

Gdzieś musiały się przecież przenieść. Wanda czuła, że Gdańsk, jak kiedyś Łódź, pochłania ją, powoduje dyskomfort ciasnotą i drażni znajomymi uliczkami, które niegdyś przemierzała jako Wanda Schulz. Choć chciała zapomnieć o parszywym liście i swoich słowach na temat Jezierskich, wyrzuty sumienia dusiły ją niemiłosiernie. Bywało, że zamykała się w swej sypialni zupełnie sama i wtulając głowę w poduszkę, płakała nad nieszczęściem – podwójnym owdowieniem, banicjami oraz nadchodzącą starością. Innym razem próbowała odwrócić uwagę od własnej winy, gniewając się na Konrada Jezierskiego. Wówczas to jemu przypisywała wszelkie przewinienia. W żadnej myśli nie znajdowała ukojenia.

Tymczasem Konrad ze stanu marazmu wpadł w wir ciągłej zabawy. Wcześniej gnuśniał w kamienicy, teraz brał udział w każdym kuligu. Jeśli tylko widział możliwość nowej uciechy lub spotkania, korzystał z niej. Pojawiał się często w Dworze Artusa, pił gdańską gorzałkę, która zupełnie mu nie smakowała, i lubował się w nowych działaniach. Chadzał też do ratusza, rozmawiał z radnymi, pisywał listy do króla oraz najważniejszych osób w Rzeczypospolitej. Gdańszczanie uznali, że wrócił mu wigor, wieszowali kolejnych powodzeń, podziwiali, że chwała wielkiego męża wróciła.

Aleksander dobrze znał ojca i widział, że nagła zmiana go wypala. Gdy próbował wyrazić wątpliwości, Konrad rugał go i parł do przodu. Był to pozorny powrót chwały wielkiego chorążego. Tak

naprawdę im mocniej Konrad zapalał się do działania, tym więcej tracił sił.

Święta spędzali we dwóch. Były nieprzyjemne, szybkie. Aleksander miał wrażenie, że ojciec pragnie, by grudzień minął jak najszybciej. Lękał się więc, że Konrad z równą niechęcią potraktuje wiosnę, lato, kolejny rok, a w końcu całe życie.

W dzień świętego Jana Ewangelisty, a więc dwudziestego siódmego grudnia, postanowił zapytać o swoją przyszłość. Czuł się odpowiedzialny nie tylko za siebie, coraz częściej również za ojca.

– Drogi ojcze, nie chciałbym się przenosić na wschód.

– Nie frasuj się tym, Aleksandrze. Przeniesiesz się, gdzie zechcesz.

Konrad nie patrzył na syna. Udawał, że czyta księgę, ale tak naprawdę tylko omiatał wzrokiem tekst.

– Chciałbyś mnie, drogi ojcze, widzieć na wschodzie.

– Byłby z ciebie żołnierz sławny. Czy nie tego chcesz dla siebie? Co innego przychodzi ci do głowy? Chyba nie pragniesz dla siebie mieszczańskiego zajęcia?

Konrad wreszcie spojrzął na syna. Utkwił w nim zmęczone oczy.

– Oczywiście, ojcze. Chcę kontynuować twoje dzieło i wiem, że wschodu trzeba bronić. Tam wciąż niespokojnie.

Nastąpiła chwila ciszy. Aleksander przez chwilę mocował się ze sobą.

– Nie jestem przekonany do panny Hryniewieckiej.

– Niepotrzebne podchody. Wiedziałem, że o nią ci chodzi.

– Jakże to, ojcze? – zdumiony Aleksander uniósł brwi. – Wiesz o moich obawach i niechęci wobec rodu, z którym miałbym się połączyć? Panny Hryniewieckiej nigdy nie widziałem. Wolałbym poznać przyszłą małżonkę.

– Obawy ci mącą myśli, mój synu. Wystarczy, że znam dobrze ród Hryniewieckich i pannę mogę ci opisać. Jest to blond dziewczka. Zdrową ma cerę i ciało okazałe. Odznacza się wyjątkową łagodnością, w obyciu jest wręcz anielska. Będzie ci posłuszna i zgodnie przeniesiecie się tam, gdzie zechcesz. Bylebyś na wschód jako żołnierz wracał.

Aleksander wiercił się niespokojnie. Wciąż stał w progu, nie śmiąc podejść bliżej ojca. Rosło w nim jednak poczucie

niesprawiedliwości – sam chciał decydować o własnej przyszłości, a łagodne panny wydawały mu się nudne.

– Ród Hryniewieckich bardzo sławny, prawda?

– Porządny i szlachecki. Z dużym majątkiem.

– Czyli są sławniejsze. Ten jakiś mizerny mi się zdaje.

Choć Aleksander myślał, że ojciec uniesie się gniewem, stary Jezierski z uśmiechem odłożył księgę na stolik. Iskry wesołości igrały w jego oczach.

– Nie wiedziałem, że wyżej celujesz, mój synu. Wiedz jednak, że starego ojca nie stać już na Wiśniowieckich czy Potockich. Kiedyś tak, lecz teraz... Przemineło, cała sława przemineła...

I znowu popadł w zadumę. Uśmiech ustąpił miejsca grymasowi.

– Nie musi to być ród sławniejszy od Hryniewieckich. Byle inny – spróbował Aleksander.

– Cóż to znaczy?

– Wokół mnóstwo famalii z tradycjami. Nawet w Gdańsku.

– W Gdańsku chciałbyś zostać? Przecież to nie jest miejsce dla szlachty. Tutaj można spocząć na kilka tygodni albo miesięcy, porozmawiać z rajcami, wpływy swoje umocnić i królowi pomóc, bo niewielu ma zaufanych ludzi na północy Rzeczypospolitej. Ale żeby tkwić w mieście latami? Sam wiesz, że to szlachcica niegodne. Jeśli zaś chodzi o tutejsze rody, same mieszczańskie, patrycjuszowskie najwyżej. Szlachty tu nie znajdziesz, chyba że przyjezdna jak my.

– Patrycjat nieraz bogatszy od szlacheckiej rodziny.

Konrad zmrużył oczy. Powoli docierało do niego, po co syn kluczy wokół tematu Gdańska i sławnych rodów. Aleksander nie musiał wspominać ojcu o swym uczuciu; stary Jezierski znał się na miłości.

Skoro tylko myśl spoczęła na rodzie van der Bergów, wielki chorąży poczuł bezsilność i gniew.

– Patrycjat, choćby opływał w złoto, nigdy nie dorówna szlacheckiemu rodowi. I z pewnością nie dorówna mu ród van der Bergów. Nie musisz kluczyć, mój synu, bo widzę, co się dzieje. Choć na chwilę straciłem czujność, wciąż pilnować interesów Jezierskich muszę, bo ty byś naszą rodzinę w łyżce wody utopił. Nie po to całe życie służyłem krew przelewając, byś teraz niweczył wszystkie starania, deptał karierę żołnierską i pamięć po matce ze sławnego



rodu Andruszkiewiczów. Co by powiedziała, gdyby się dowiedziała, że niczym szczeniak podkochujesz się w patrycjuszce i żenić się z nią masz zamiar? Chyba by ponownie trupem padła – głos Konrada z wolna się podnosił. W ojcowskim sercu rósł gniew. – Któż to są van der Bergowie? Czy nie pamiętasz, że matka Lisy wzgardziła naszą rodziną? Jest odpowiedzialna za śmierć Jerzego. Mojego ukochanego syna, a twojego brata! Nie zważasz na jego pamięć i na pamięć matki. Co z ciebie za syn?!

W trakcie tyrady Aleksander kilkakrotnie skłonił się przed ojcem. Próbował przeproszać, bo zdrowie ojca było mu drogie. Widział teraz cierpienie w pełnej krasie i rozumiał, że na ożenek z córką wdowy van der Berg nie ma szans. W tamtej chwili było to jednak mniej ważne od bólu ojca.

Wypowiedziawszy się, Konrad zasłonił oczy drżącą dłonią, by syn nie zauważył łez. Nie starczyło mu tchu, by go wyprosić, więc odwrócił się. Rozpacz powróciła ze zdwojoną siłą. Słowa, tłumione od tygodni, znalazły wreszcie ujście, jednak to nie przyniosło ulgi. Przeciwnie. Konrad pragnął krzyknąć i niszczyć wszystko wokół.

Widząc rozpacz, Aleksander pobladł. To był przecież wielki chorąży koronny, przyboczny i zaufany przyjaciel króla Sobieskiego, niezrównany wojownik, człowiek szlachetnego czynu. A teraz płakał całkiem złamany przez los, on zaś, Aleksander, okazał się kolejną przyczyną jego bólu. Jakże w owej chwili przesławny Konrad Jezierski nie przypominał siebie! I to właśnie przed synem obnażył słabości, mimo woli pokazał swą mękę. Aleksander był świadkiem upadku ojca. Wiedział, że nie zdoła wymazać tego dnia z pamięci.

Podbiegł do fotela i padł na kolana.

– Już nigdy nie będę o tym wspominał, najdroższy ojcze. Już nigdy nie wspomnę tego ohydneho rodu, ożenię się z panną Hryniewiecką i przeniosę na wschód. Zobaczysz, że sławą ci dorównam, krew będę przelewał wraz z innymi żołnierzami, aż w końcu stanę się godnym ciebie, wówczas na twój podziw zasłużę. Ród Jezierskich znów będzie sławny na równi z największymi.

Konrad odjął dłoń od twarzy. Choć syn rozczulił go posłuszeństwem, wszystko mówił pod wpływem chwili.

Zapragnął cierpienia Aleksandra, bo czuł, że jako jedyny dźwiga brzemień rozpacz. By przeżyć i zachować zdrowe zmysły, musiał obdarzyć nią kogoś jeszcze.

– Powinieneś wiedzieć, że Lisa van der Berg to twoja siostra.

– Siostra...?

– Krew z krwi.

– Co to za przerośnia, ojczy? Czy porównujesz mnie do rodu zdrójców? Przecież zgodziłem się na wszystko, co dla mnie umyśliłeś. Czy aż tak mną wzgardziłeś przez błahe uczucie?

– To nie przerośnia. Lisa van der Berg jest moją córką i twoją siostrą.

Konrad miał stalowe, beznamiętne spojrzenie. Mimo stanowczego tonu, w oczach Aleksandra nie wypadł wiarygodnie.

– Ojczy, co mówisz? Czy posłać po medyka? Czy rozpacz odebrała ci trzeźwość myślenia?

– Nie obrażaj mnie, dziecko. Lata temu poznałem niejaką Wandę Sobótko. Była to łodzianka, mieszcza. Odpychałem od siebie uczucie, wyjechałem na Litwę i ożeniłem się z twoją matką. Jedenaście lat później pojechałem z najjaśniejszym panem, królem jegomościem, do Gdańska. Był to zły czas dla Rzeczypospolitej, ale król jegomość próbował zaprowadzić porządek. Jakiż ja byłem wówczas uwielbiany i nienawidzony! Oglądała się za mną każda panna i mężatka. Mnie i twą matkę zwano najpiękniejszą parą Rzeczypospolitej, co czasem złościło jejmość królową Marię Kazimierę Sobieską. Dość, że odnalazłem w lochu chłopkę, której mąż ukradł kosztowności z królewskiej sypialni. Była nią, a jakże, Wanda Sobótko, zwana wówczas po mężu Schulz. Wyszła za wieśniaka!

– Dlaczego?!

– W Łodzi, z której pochodziła, chcieli ją wydać za Wielisława Żelicha z dobrej mieszczańskiej rodziny. Wanda się nie zgodziła, zakochana była we mnie. Matka Żelicha wybiła swe krowy i powiedziała przed wójtem, że to czarowskie praktyki, których dopuściła się Sobótkowa. Zamknięto ją i Wandę w lochu, Żelich uwolnił pannę, bo mu się matka przyznała, a poza tym kochał się w tej niewdzięcznicy. Wanda poczęła mnie szukać, bo we mnie była

jej jedyna nadzieja, ale ja już odjechałem na Litwę. Pozostała jej tylko banicja, bo w Łodzi by ją widłami roznieśli... Musiała wiele wycierpieć... – przyznał w zamyśleniu.

– Dlaczego opowiadasz mi tę historię, drogi ojcze?

– Bo Wanda Sobótka plątała się po całej Polsce, aż w końcu spotkała hultaja nazwiskiem Schulz. Pochodził z podgdańskich terenów. – Tu Konrad streścił synowi dalszą historię, łapiąc się na tym, że szczerze podziwia Wandę, a zarazem bardzo jej współczuje.

Dopiero gdy nakreślił jej życie komuś innemu, wszelkie motywy postępowania pani van der Berg ułożyły mu się w całość – Konrad Jezierski to zarówno wybawiciel, jak i człowiek kapryśny, postępujący z życiem biednej istoty według własnych przekonań. Zawsze jednak stojący z boku, trwający przy zaszczytach i karierze, niezdolny do prawdziwego poświęcenia dla miłości. Jakże więc miała mu wybaczyć? Jakże miała nie złorzeczyć na niego i nie przeklinać rodu Jezierskich?

\*\*\*

Po opowieści Konrada w izbie ucichło. Aleksander klęczał przed ojcem ze wzrokiem wbitym w posadzkę, a chorąży próbował odepchnąć wyrzuty sumienia. Stały się dla niego niemal widocznym tworem, kamieniem uciskającym serce. Historia o życiu Wandy, opowiedziana głośno po raz pierwszy w życiu, przedstawiała w niekorzystnym świetle Konrada, nie wdowę van der Berg. Nagle wina, którą obarczał Wandę przez ostatnie tygodnie, zmaląła.

Podobnie musiał myśleć Aleksander, choć nie wypowiedział żadnej myśli. Z niepokoju kręciło mu się w głowie, przez ciało przechodziły dreszcze. Tak oszukany nie czuł się jeszcze nigdy. Nagle dowiedział się, że żył złudzeniami, a prawda – jakkolwiek niedorzeczna – miała logiczne uzasadnienie.

Konrad pojął bezmiar okrucieństwa wobec syna. Miał teraz, co chciał – ktoś cierpiał wraz z nim. Powinien poczuć się lepiej. Nic z tego, załazała go kolejna fala wyrzutów sumienia. Chwycił bladą dłoń Aleksandra.

– Lisa nie wie i nie może się dowiedzieć. To byłby dla niej zbyt duży cios.

Jakże zimna była ręka jego syna. Drżała w dużej, żołnierskiej dłoni.

- O czym ma się nie dowiedzieć? Czy o tym, że jest moją siostrą? A może o tym, że przez całe życie była okłamywana? Rozważałeś, czy jej nie zabić, ojczu. A pani van der Berg traktuje ją jak pozbawioną zmysłów. Dlaczego przez całe życie ją okłamuje?

Młody Jezierski wstał. Był blady, nieobecny wzrok utkwił ponad głową ojca. Stanowczo odsunął ręce, próbując go pochwycić.

- Jesteście siebie warci, ty i dama van der Berg.

- Aleksandrze, nie ośmielaj się...

- Uchodzę z kamienicy, nie zatrzymuj mnie.

To powiedziawszy, Aleksander skłonił się i wyszedł, delikatnie zamykając drzwi.

Konrad nie miał siły, by go zatrzymać, czuł też, że nie powinien tego robić. Siedział w fotelu, roniąc gorzkie łzy rozczarowania. Sam nie wiedział, czy żałuje rozmowy, czy tego, że zrozumienie postępowania Wandy przyszło tak późno. Dopiero gdy opowiedział głośno jej historię, gdy wyjawiał sekrety wdowy, pojął, jak bardzo musiała go nienawidzić.

Nie było w nim już nadziei - ani na rozbudzenie dawnej miłości, ani na odzyskanie syna. Bolał więc w samotności, czując się niezdolnym do podjęcia jakiegokolwiek działania. Nawet wstanie z fotela wydawało mu się niemożliwe.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak przegrany, nawet gdy po upojnej nocy z Wandą rozmyślał o niebezpiecznej morskiej podróży. Zastanawiał się wówczas, czy statek dopłynie bezpiecznie do Amsterdamu, czy pochłoną go wodne odmęty. Nade wszystko nie mógł znieść samotności - tego, że gorące ciało, które jeszcze kilka godzin wcześniej pieścił, trzęsie się właśnie z zimna na obcym statku. A przecież wtedy nie obwinił siebie tak mocno, jak teraz. Owszem, odczuwał wyrzuty sumienia, lecz nieporównywalnie mniejsze.

Na dworze szarzało. Konrad patrzył przez okno, jak filigranowe płatki śniegu spadają z białego nieba. Wieczór zbliżał się prędko. Pograżony w ciszy Gdańsk celebrował ostatnie chwile świąt.

## XX



Aleksander zatrzymał się u syna rajcy gdańskiego – Ernsta Schumana. Nie wyjawiał mu prawdziwego powodu, wspominał tylko o kłótni z ojcem. Ernst – z fizjonomii nieco podobny do Aleksandra – uradował się i zafrasował zarazem.

– Będzie mi niezmiernie przyjemnie ciebie podejmować, jaśnie panie Aleksandrze. Boję się tylko gniewu jaśnie pana chorążego.

– O to się nie bój, szanowny Ernście, mój druhu. Wierzę, że ojciec nie przyjdzie do ciebie, żeby mścić się za okazane serce.

Ernst nie wypytywał. Przesiadali teraz razem, wieczorami racząc się gdańską wódką i specjałami. Czytali księgi albo rozmawiali. Aleksander cenił towarzystwo bystrego kompana.

Zimą o Jezierskim mówiło się wiele. To, że pokłócił się z ojcem, było jasne, choć nikt nie znał powodu. Jeszcze bardziej dziwiło lud gdański, że chorąży nie próbuje awanturą lub przemocą zmusić syna do powrotu. Odcięli się od siebie, jakby pochodzili z różnych rodów.

\*\*\*

Nadszedł nowy rok. Styczeń był mroźny, ruch w porcie ustał, nawet służba wodna porzuciła pracę. Dni upływały leniwie. Gdańsk spowijała szaruga, czasem mleczna mgła sięgała dachów kamienic.

Gdy nadszedł czas przedpościa, gdańszczanie odetchnęli. Ponieważ obyczaj nakazywał zachowanie świątecznej wstrzemięźliwości, skoro tylko rozpoczęły się mięsopusty, w mieście zawrzało. Bawiono się wszędzie – na ulicach, w domach, nawet w podrzędnych karczmach, do których zwykle szanujący się mieszczuch nie wstąpiłby nawet pijany.

Ludzie, zwykle zafrasowani, zmęczeni zimą, teraz zakładali rozmaite maski i tańczyli. Zachowywali się tak, jakby miał to być ich

ostatni, najważniejszy dzień życia. Toteż śmiali się rubasznie, drwiąc ze wszystkiego, według Konrada – rozpaczliwie.

Gdy nastał czas zapustów, Jeziński sposepniał jeszcze bardziej. Ludzie się bawili, a on przesiadywał w opustoszałej kamienicy, czekając wiosny. Uczni sądzą, że po ostatekach ociepli się i śniegi stopnieją. Wtedy Konrad planował wyjechać do swych włości, byle dalej od Gdańska.

Jednak coś się w nim zmieniło, dokładnie od czasu ostatniej rozmowy z synem. Rozmyślał bezustannie, do głowy przychodziły nowe refleksje, jedna bardziej przygnębiająca od drugiej. Wrzeszczące tłumy na ulicach powodowały, że czuł się nad wyraz samotny. Z nikim nie mógł podzielić się rozterkami, nie miał w mieście ani jednej przyjaznej duszy. Mógłby wprawdzie znaleźć wsparcie u Wandy – ostatnio myślał o niej wyrozumialej – ale przecież nawet dama jego serca nie mogła znieść obecności szlachcica.

Konrad zauważył w zabawie mięsopustnej elementy szaleństwa, a zarazem beznadziei. Próbował uchwycić własne emocje, nazwać je, ale nie potrafił. Gdy słyszał pusty śmiech, wesołość ludzi wydawała mu się nieszczerą.

Ten fenomen zrozumiał dopiero ostatniego dnia mięsopustów. Jedenastego dnia lutego przyszło do kamienicy kilku rajców, by zaprosić Konrada na ostatnią w tym karnawale zabawę możliwych w Dworze Artusa.

Początkowo Jeziński, uśmiechając się przepraszająco, odmawiał, ale rajcy nie odstępowali. Pragnęli, by Konrad uświetnił zabawę obecnością. Nalegali i przekrzykiwali się, a czerwone, otyłe twarze budziły u Jezińskiego coraz większy niesmak. W końcu, by się ich pozbyć i wrócić do lektury, zapytał z niechęcią, o której miały się zjawić. Odpowiedziały mu chóralne okrzyki, z których zrozumiał tylko tyle, że zabawa nie rozpoczyna się o konkretnej godzinie, po prostu się odbędzie, skończy zaś – wiadomo – o północy.

Rajcy wyszli dopiero po zapewnieniu, że Konrad przybędzie. Opuścili kamienicę wciąż w dobrym nastroju, ale nieco urażeni, bo Jeziński odburknął tylko wymuszone „przyjdę”, po czym zaczął prowadzić towarzystwo ku drzwiom.

\*\*\*

Bawiło się całe miasto, Lisa też chciała. Wstrzymywała ją powściągliwość matki, która z dnia na dzień wyglądała gorzej. Zapadła się w sobie, wychudły jej policzki, ale córkom mówiła, że to nic. Sama zresztą nie czuła się źle, była tylko zmęczona i przygnębiona. Zmartwienia się potęgowały. Wiedziała, że musi wyjechać z Gdańska, byle dalej, może znów do Amsterdamu. Miała tam możliwych znajomych i wpływy, rychło wyszłaby za mąż i uchroniła siebie oraz Lisę od nędzy.

Jednak, jeśli mowa o ożenku, Wanda wcale nie chciała za nikogo wychodzić. Podchodziła do małżeństwa inaczej niż przed laty, gdy ślubowała Danielowi Schulzowi czy Rudolfowi van der Bergowi. A przecież i w tamte związki wkleła się bez miłości. Była to chłodna kalkulacja – aby przeżyć, trzeba się w kogoś wczepić.

Rozważała, jak zmieniła się sytuacja. Pieniądze van der Bergów topniały. Wiedziała, że jeśli całkiem zbiednieje, żaden patrycjusz jej nie zechce.

I Ludwika, która po zaślubinach osiadłaby w Gdańsku. Wanda opiekowała się nią przez minione lata, dlatego teraz przerażała ją wizja samotności. Kiedy rozmyślała o tym, że mogłoby zabraknąć w jej życiu tej rozsądnej, odpowiedzialnej dziewczyny, serce znów kołatało niebezpiecznie.

Poza wszystkim nie mogła odciąć się od chorążego, a raczej wspomnień, które się z nim wiązały. I najlepsze, i najgorsze związane były z tym miastem; jakże miała się ich wyrzec, skoro to w Gdańsku kochała i nienawidziła? A przecież, jeśli człowiek ma pojęcie o przemijaniu i codziennie je odczuwa, doznawanie emocji staje się sednem egzystencji. Tak też czuła Wanda, powracała do wspomnień w nieskończoność, co powodowało kolejne zmartwienia.

Kiedy córki przyniosły jej wieść o zabawie w Dworze Artusa, najpierw długo milczała. Gdyby nie szansa, że zobaczy tam Konrada, nawet by nie rozważała, czy pójść. Jednak Jezierski mógł się tam pojawić. Nie wiedziała, w jakim jest stanie i czy odzwałował już syna na tyle, by uczestniczyć w ostateczkach, choćby bez tańczenia.

Chciała go zobaczyć, wytłumaczyć nieporozumienie z listem. Nie chodziło jej nawet o afekt. Miała dość wyrzutów sumienia i nie chciała cierpieć. Nawet gdyby oznaczało to bolesną rozmowę, musiała do niej doprowadzić przed wyjazdem Konrada. Zamierzała powiedzieć mu o wszystkim i przeprosić.

Lisa, która stała się ostatnio bardziej wyczulona na potrzeby innych, początkowo nie śmiała naciskać na zabawę. Dopiero ostatniego dnia mięsopustów przypomniała nieśmiało o balu w Dworze Artusa. Miała nadzieję spotkać tam Aleksandra, zdążyła bowiem stęsknić się za nim okrutnie, dodatkowo ciekawiło ją, dlaczego syn wyniósł się od chorążego w atmosferze skandalu. O wszystko mogłaby go wypytać właśnie na zabawie, z chęcią dorzuciłaby znaczącą uwagę, że dawno się nie widzieli.

– Masz rację, Liso, kiedy mówisz, że człowiek nie może się stale martwić – przyznała Wanda wbrew sobie. – Wiem, że zależy ci na tej zabawie, Lu... Annie też, choć nic nie mówi.

– Mnie nie zależy, droga matko – mruknęła Ludwika.

Siedziała w fotelu i z troską przyglądała się matce.

– Nie mów tego, co jest nieprawdą. Przecież wiem, że chcesz pójść, będzie tam Florian.

– Zdążymy się sobą jeszcze nacieszyć – odparła spokojnie.

Wanda popatrzyła na Ludwikę przeszywającym wzrokiem.

– Tego nigdy nie możesz być pewna. Czasem myślisz, że dobre chwile będą trwały długo, bo taka radość nie może się przecież nagle skończyć. A jednak los nie patrzy na twoje odczucia. Bywa, że odbiera nadzieję.

Ludwika wstała. Cierpienie matki stało się dla niej aż nazbyt widoczne, dlatego w brązowych oczach stanęły łzy. Ujęła zimne dłonie.

– Matko, wiem, że życie nie jest łatwe – spojrzała na Wandę znacząco. – Ale proszę, byś chociaż dziś nie cierpiała z powodu złych myśli. Poddaj się nastrojowi ostatniego dnia mięsopustów, na chwilę odgoń zmartwienia. Widzę, że masz ich dużo. Pojmuję je. Od jutra znowu zaczniesz się martwić, tymczasem daj sobie choć chwilę radości. A jeśli nie chcesz iść na zabawę, pozwól, że jako starsza siostra zabiorę na nią Lisę. Wiesz, jak kocha miasto.



– Próżno o tym mówisz, ja też pójdę.  
I choć Wanda nie wyjawiała, dlaczego, Ludwika zrozumiała.

\*\*\*

Lud skupił się wokół Dworu Artusa. Zewsząd nadciągały tłumy, mieszczanie pokrzykiwali. Tu i ówdzie rozbrzmiewały dźwięki piszczałek, fletów, bębnów. Muzykę grano nie tylko na ulicy, z kamienic też dochodziły przeróżne melodie. Mieszały się, tworząc kakofonię.

Ludzie w maskach biegali chaotycznie. Każdy mieszczanin miał zasłoniętą twarz, choćby kolorową chustą. Najczęściej oblicze przykrywała maska – dopasowana, w odpowiednim rozmiarze i fasonie. Każdy mógł być, kim chciał – mieszczanin stawał się królem, głupiec sprytnym błaznem, kobieta mężczyzną, a przystojny mąż maszkara.

Tłum szedł od ulicy Długiej i próżno było dochodzić tego, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy łańcuch wspólnych uciech. Tańcowano przed kamienicami, panowie prosili panie do skocznych wywijasów.

Początkowo Konrad obserwował zabawę z pewnej odległości. Stał naprzeciwko Dworu Artusa, bez maski. Zresztą i tak każdy wnet by go poznał, choćby po wielkopańskim stroju czy szabli. W mieście przebywało tylko kilku szlachciców, żaden tak wystrojony i wysoki rangą.

Jezierski zastanawiał się nad tym, co właściwie wywołuje w nim przykre uczucie. Patrzył na bawiących się ludzi i wyobraził sobie, że korowód – zamiast żywych – składa się z umarłych. Oczami wyobraźni zobaczył tańczące szkielety zmierzające w stronę Dworu Artusa, znikające za zdobionymi drzwiami. Szkielety prosiły inne szkielety do tańca, czaszki podskakiwały w rytm muzyki.

To wrażenie, chociaż upiorne, na Konradzie nie zrobiło wrażenia. Zdziwił się tylko, że zamiast żywych widzi umarłych, a tym samym wyprzedza czas, bo przecież ci ludzie kiedyś naprawdę umrą. Nic po nich nie zostanie. Dlatego w zdumieniu wystawił dłonie i spojrzął na nie, oczami wyobraźni widząc bielejące kosteczki. I on kiedyś rozkruszy się w pył, zostanie zagrzebany. Przemina wielka sława

i nazwisko. Stanie się gładkim szkieletem, z czasem szernieje jego naga czaszka; tak zakończy żywot każdy.

Przeniósł wzrok z powrotem na bawiący się lud, ale nie opuścił dłoni. Poraziła go myśl oczywista, nagle zrozumiał, dlaczego zabawa wydaje mu się nieprawdziwa. Otóż – taka w istocie była – nieszczerą.

Przecież ci ludzie – myślał Konrad – bawią się z desperacji. Wiedzą, że zmierzają ku śmierci, a dzisiejsza zabawa to kwintesencja ich przerażenia. Czy więc jest prawdziwa? Nie widziałem większego fałszu na świecie! I dobrze widzę – tańczą kości obleczone skórą. Tylko oni nie zdają sobie sprawy z przewrotności tej zabawy. Nie chcą o niej wiedzieć, umęczeni, cały rok bojący się śmierci. Ten taniec, ta muzyka... wszystko jest desperackim gestem, buntem wobec prawideł świata. Buntują się przeciwko śmierci. Tak dalece uwierzyli dziś w swoją nieśmiertelność! Tymczasem to wszystko mrzonka.

Zakręciło mu się w głowie, a jednak nie przestawał myśleć. Odczuł ulgę, że wątpliwości same się rozwiały – nagle, bez przygnębienia właściwego podobnym konkluzjom.

Życie, ty jesteś dziką różą z kolcami – rozmyślał dalej. Przypomnił sobie zwłoki syna ułożone w trumnie, spoczywające pod ziemią. Oczy mu zwilgotniały. Jesteś piękne, barwne niczym paw, ale ulegasz prawom natury, przemijas i więdniesz jak róża. A twoje kolce ranią boleśnie. Czy ktokolwiek może gardzić tymi ludźmi, że chcą zapomnieć o cierpieniu? Czy ktokolwiek może osądzać ich bunt przeciwko śmierci? Ja nie śmiem.

Zwiesił głowę. Jeśli jeszcze istniała dogodna chwila, by porozmawiać z Wandą, to właśnie nadeszła.

\*\*\*

Tego dnia nie mówiono o sentymentach, ale nostalgia wisiała w powietrzu. Czuli ją Jezierscy – ojciec i syn, oddaleni od siebie o kilkaset metrów, czuli ją też Ludwika z Florkiem, Wanda oraz Lisa. Dla każdego mroźne lutowe popołudnie oznaczało coś innego.

Do Dworu Artusa wchodziły tłumy i chociaż wejścia pilnowała straż, ostatniego dnia mięsopustów nawet któryś z bogatych

chłopów mógł niepostrzeżenie wślizgnąć się na zabawę, jeśli tylko miał maskę i lepszy strój. Mieszczanie zwykle przymykali na to oko, choć zdarzały się pijackie burdy, które kończyły pobyt chłopca w bajecznej sali.

Przestronne wnętrze ukazywało piękno stolarskiego i snycerskiego rzemiosła. W górze – złote gwiazdy uszlachetniające biały sufit. Na dole zaś chmara nóg, łoskot damskich i męskich obcasów. Pary tańczyły między smukłymi kolumnkami, oczy podziwiałały obrazy i zdobienia. Złoto, srebro, miedź, żeliwo.

Zręczne dłonie roztańczonych dam chwytaly przepiękne, srebrne kufle; upierścienione ręce mężczyzn sięgały do nich, splatały się palce, piwo uderzało do głów. Spod masek wyzierały różne spojrzenia – od wyniosłych po pożądliwe. Moźni panowie i ważne damy, rajcowie, burmistrzowie, sędziowie – wszyscy stykali się wzrokiem. Żony mistrzów rozmawiały w małych grupach, a mężowie prosili obce panie do tańca. Liczyła się nie tyle maskarada, ile możliwość doznania emocji – głębszej, ważniejszej od codziennych. Dlatego zebrani we dworze pili bez opamiętania, częśćka ich samych rzeczywiście nie chciała niczego pamiętać. Muzyka przygrywała skocznie.

Lisa weszła do dworu w drogiej masce na wenecką modłę, za nią podążyli nieśmiało Ludwika i Florek, na końcu czujna Wanda jako maskara. Z początku wszyscy prócz Lisy czuli się przytłoczeni. Ludwika dotknęła ramienia narzeczonego.

– Spójrz, w chorobie mówiłeś o śmiertelności człowieka i małości wobec czasu, a jednak przez chwilę to my jesteśmy teraźniejszością. Nie ma jutra, jest dziś – z nami. Czy to nie pocieszające, że nie ma „dziś” bez nas? W tej chwili to my jesteśmy życiem i nie ma niczego więcej.

Wanda wraz z Lisą zostały przy wejściu. Obie wypatrywały Jezierskiego – ojca i syna. Wyglądały teraz niezwykle podobnie, nawet rzucały takie same, niecierpliwe spojrzenia.

Rozglądał się też Konrad Jezierski. Przyszedł bez maski, uznając, że pełnoprawna zabawa miejska byłaby policzkiem dla niedawno zmarłego syna. Chciał tego wieczoru usiąść i upić się, by złe myśli uleciały. Wcześniej jednak pragnął rozmówić się z Wandą. Nie

wiedział dokładnie, co jej powie – czy przeprosi, czy powie, że Aleksander wie o Lisie. Wszystko zależało od tego, na ile wystarczy mu odwagi i czy sama Wanda będzie przychylnie nastawiona do rozmowy. Liczył się z tym, że mogła wcale nie przyjść lub szykować się do odjazdu z Gdańska.

Gdy tylko o tym pomyślał, jego serce ścisnęło się z niepokoju. I właśnie w tym momencie, gdy przypomniawszy sobie nieznośne wspomnienie sprzed dwudziestu lat, kiedy to sądził, że na zawsze utracił Wandę, dostrzegł dwie rozgorzałe źrenice wpatrzone w niego z boleścią.

Nie podszedł od razu, bo obok Wandy stała Lisa. Uśmiechnął się tylko łagodnie, przygnębiająco.

– Po cóż te zabawy, ojczy? Idź do niej!

Aleksander pojawił się znikąd. Chwycił zdumionego ojca za szubę i przytrzymał. Był pijany, ledwo stał. Maskę króla przekrzywiła mu się lekko.

– Puszczaj mnie, ludzie patrzą.

– Widzisz, jak spokojna jest Lisa? Pewnie dalej o niczym nie ma pojęcia! A wiesz co ja myślę? Powinna się dowiedzieć, żyje w kłamstwie! Jak wy możecie...?!

– Nie mów jej nic, słyszysz?!

Tym razem to Konrad pochwycił syna. Mocno ścisnął ramię, Aleksander jęknął z bólu. Dzięki temu zmitygował się przed ojcem. Stał prosto i patrzył w surową, gniewną twarz.

– Jak ci nie wstyd pokazywać się w takim stanie przed ludźmi, kiedy dopiero co pochowałeś brata? – warknął chorąży. – Idź w kąć i otrzeźwiej. Gorzałki już dziś nie tykaj.

– Ależ ja właśnie z żalu piję, ojczy! Z żalu...

Aleksander nie dokończył, pijacki szloch rozdarł mu gardło. Widząc to, ojciec również się wzruszył i puścił ramię.

Młody Jezierski także przeczuwał, że zabawa w rzeczywistości nie jest triumfem ani radością, tylko buntem, w dodatku celebrowanym na siłę – przeciwko światu, ludziom, naturze. Weto dla samotności człowieka. Weto dla niepewności, o której nikt nie ważył się głośno powiedzieć – może nikt nie patrzy na lud z góry; może nie jest to lud Boży, gdyż Bóg nie istnieje.

Konrad skinął głową, opanowawszy wzruszenie.

– Skoro tak...

Z nieszczęśliwą miną patrzył, jak Aleksander odchodzi chwiejnym krokiem, a zaraz potem zawraca, jakby coś sobie przypomniał. Wyminął ojca i podążył ku Lisie. Uklęknął przed nią i poprosił do tańca na oczach czerwonego ze wstydu Konrada.

Należało rozdzielić tańczących, choć to mogła być jedyna chwila samotności Wandy. Konrad wahał się jeszcze przez chwilę. Doszedł do wniosku, że Aleksander nie ośmieli się powiedzieć zakochanej pannie o pokrewieństwie, po prostu nie przejdzie mu to przez gardło. Ta pewność wynikała z kalkulacji – Aleksander był w Lisie równie mocno zakochany.

Niechaj to będzie ich ostatni taniec – pomyślał i z zamiarem późniejszego rozdzielenia rodzeństwa podążył ku Wandzie.

– Pani – skłonił się lekko.

Odpowiedziała mu głębokim, patrycjuszowskim ukłonem.

– Jaśnie panie.

– Chciałbym coś powiedzieć.

Ponieważ nic na to nie rzekła, zebrał się na odwagę i zaczął mówić, patrząc prosto w roziskrzone oczy:

– Wiele o pani... o tobie myślałem, Wando.

– Dlaczego?

Pytanie zadała bez sensu, za to rozpaczliwie. Pragnęła uwolnić się z krępujących więzów, ale nie było to łatwe zadanie.

– Ja pójdę swoją drogą, jaśnie pan swoją.

– Kiedy ja nie mam żadnej drogi. Nie wiem, gdzie jej szukać i czy bym jakąś znalazł. A jeśli nawet, to nie chcę. Nie chcę przez całe życie cierpieć, chcę mieć chociaż jedną chwilę szczęścia więcej. Czy to dużo?

– Jedna chwila szczęścia to bardzo dużo. Ludzie poszukują chwili szczęścia. Może jesteśmy inni, jaśnie pan i ja. Może my poszukujemy smutku... zresztą na pewno tak jest – odpowiedziała stanowczo. – Poszukujemy smutku i w smutku się zatracamy. Inaczej byśmy tu dzisiaj nie przyszli.

– Czy ty też widzisz fałsz w tej maskaradzie?

– Owszem, widzę go wokół. Ale z fałszu utkany jest ludzki żywot, jaśnie panie. Inaczej nie tytułowałabym tak oficjalnie szlachcica, który...

Konrad ujrzał w jej oczach łzy. Maskę, którą nosiła na zabawie skrywała twarz, ale odsłonięte oczy wyrażały szczery ból.

Serce załomotało, aż tracił dech.

– Który?

– Jest i pozostanie mi drogi – dokończyła przez zaciśnięte zęby.

Hamowała wzruszenie. Oboje poczuli, że przepaść, która dzieliła ich przez ostatnie lata, nagle znika, kruszy się lód w sercu Wandy. Konrad zapragnął otrzeć spływające łzy, ale mitygował się w towarzystwie.

– Nie było dnia, bym nie myślał, czy żyjesz. Czy ci się udało.

Chciał szeptać, ale musiał mówić głośno, bo we dworze panował niesłychany chaos. Słowa przebiły się przez krzyki i pijackie śmiechy. Wanda przyjęła je do serca, prawie wybuchła płaczem, ale sama nie wiedziała, czy to z powodu wzruszenia, czy smutku. Spozobegła bowiem, że minęło za dużo czasu, ich drogi zawsze się rozmijały, a nieliczne chwile szczęścia powodowały taką burzę uczuć, że trudno było się po nich otrząsnąć.

– Nie chcę tego znowu czuć – rzekła niespodziewanie dla samej siebie.

– Wiem, Wando. Ja też dłużej nie chcę się z tobą rozmijać...

– Nie! Właśnie nie! – krzyknęła nagle z płaczem.

Oslupiony Jezierski spojrział na nią z niepokojem.

Muszę odepchnąć tego biesa. Muszę, choć nie chcę. Ostatnie, czego pragnę, to się z nim pożegnać, ale właśnie to trzeba zrobić. Pożegnać się, uwolnić. Jeśli znowu okażę słabość, wykorzysta mnie jak wtedy, a potem odjedzie do dóbr. Chronić się, osłonić czym prędzej, póki myślę trzeźwo. Nawet jeśli jego oczy patrzą na mnie jak kiedyś.

– Jesteś egoistą, jaśnie wielmożny panie Jezierski! – Tuż przy prawym uchu usłyszała perlisty śmiech jednej z wyginających się przez męskie ramię tancerek. – Jesteś egoistą i podłym człowiekiem! Nie planowałam ożenku z Woyciechowskim, nie chciałam go widzieć nawet w koszmarach. Jeśli mi przebaczasz, czuję ulgę i sama

też mogę tobie przebaczyć. Przebaczam ci dwukrotne porzucenie, przebaczam wykorzystanie mnie, przebaczam to, że wsadziłeś mnie i Ludwikę na obcy statek jak przedmioty! Przebaczam ci, że zmarnowałeś mi życie dla własnej wygody i kariery, przebaczam! A przede wszystkim przebaczam ci to, że nie mogę przestać cię miłować!

Wanda nie potrafiła dłużej kryć emocji. Płakała i wyrzucała z siebie słowa, które Konrad przyjmował z ciężkim sercem, rozżalony i winny. Próbował położyć dłoń na ramieniu Wandy, ale odepchnęła ją i przywarła plecami do ściany, odsuwając się od niego.

– Przebaczam ci to wszystko, bo wiem, że jesteś inny niż ja, jaśnie wielmożny panie. Możni tak mają, ja wiem. Odwieczne ich prawo do tego, by się bawić. Mogą coś czuć, tak, ale nie poświęcać się dla tego uczucia, jeśli nie widać w nim korzyści. Co ci po jakiejś banitce, co ci po dwukrotnie wygnanej łodziance, po chłopce, żonie mordercy?! Przecież ty jesteś ulepiony z innej gliny, ciebie mamki nosiły, potem ci szablę szykowano, piękne dziewczki przyprowadzano. Potem ty żeś rodzinę założył z miłością twojego życia, ze szlachcianką. Więc teraz proszę – krzyk Wandy zamienił się w cichą prośbę – proszę, zostaw mnie wreszcie w spokoju.

Czuła, że postępuje wbrew własnej woli, nie tylko Konradowi ta przemowa rozdzierała serce. Jej też było trudno, odpychała go z nieludzkim wysiłkiem, ale postanowiła, że tak właśnie trzeba postąpić. Choć przebaczyła mu w istocie, obawiała się, że przyjmując go ponownie do serca, poniesie kolejną klęskę – zrani ją i zostawi po raz trzeci. Tego już by nie zniosła, a przynajmniej tak czuła w tamtej chwili, gdy patrzyła w kochane oczy.

Zdumiony Jezierski nie mógł wykrztusić słowa. Patrzył na oszalałą z rozpaczony Wandę, jego serce krwawiło z powodu odrzucenia. Nie liczyła się duma, nie mógł więc po prostu odwrócić się i odejść. Czuł, że z tej sytuacji nie ma wyjścia. Stał zatem w impasie, zraniony do głębi, odczuwający dojmujące wyrzuty sumienia. Nade wszystko lękał się, że stanowisko Wandy jest nieodwołalne i zmienić go nie sposób. To oznaczało pożegnanie – tym razem ostateczne.

Wanda czuła, że nie zniesie dłużej ciszy, która między nimi zapadła. Już miała zerwać się do ucieczki, gdy nagle ciche

pokrzykiwania, rozlegające się wśród dźwięków muzyki, przerwały dramatyczny krok. Tłumek zebrał się wokół pary. Jezierski rozpoznał, że w centrum uwagi znalazł się Aleksander, bo jego kędzierzawe włosy ciemniały w środku zbiorowiska.

Czym prędzej rozstępował ludzi rękami, niektórzy pokrzykiwali zaskoczeni, ale poznawszy szlachecki ubiór i szablę, milkli.

– Odejść, zrobić przejście dla jaśnie pana chorążego koronnego – wołano, zorientowawszy się, kto przechodzi.

Kiedy Konrad wystąpił przed tłum, zobaczył klęczącego syna. Na jego ramieniu spoczywała bezwładnie sylwetka Lisy. Aleksander próbował ją podnieść, zachęcał, by się obudziła, ale jej twarz ani drgnęła zamroczona nieświadomością.

– Coś ty zrobił?! – wykrzyknął Konrad, padając przy córce.

– Powiedziałem jej – wyszeptał, drżąc.

Konrad dotknął czerwieniejącego boku Lisy.

– Skąd krew?!

– Chciała się zabić – szepnął.

Konrad zamierzyłby się na syna, ale wśród ludzi musiał nad sobą panować. Poczul delikatny powiew – to Wanda rzuciła się do córki. Przytrzymała jej głowę i próbowała budzić. Następnie, blada, odjęła ręce od ciepłych policzków i przypadła uchem do serca Lisy. Nie płakała i nie krzyczała, jak to miały w zwyczaju matki, była tylko śmiertelnie biała.

– Serce jej bije, dzięki Bogu.

Dopiero teraz spod zamkniętych powiek wytoczyły się łzy. Nie chciała odjąć policzka od piersi córki, wciąż nasłuchując, czy serce nie zamiera. Konrad wstał.

– Musimy ją zabrać.

Wynieśli nieprzytomną Lisę z dworu. Niektórzy chcieli pomóc. Podkładali mokre kompresy, lecz Konrad nie pozwolił tknąć córki nikomu, nawet Aleksandrowi, a może zwłaszcza jemu. Żołnierskie ramiona unosiły dziewczęcą sylwetkę i dopiero w tej chwili, czując ciepło ciała Lisy, poczuł, że naprawdę jest jej ojcem. Czułość wdarła się do serca, Konrad przyjrzał się wygiętej, długiej szyi i wzruszenie chwyciło go za krtań.

– Taka mała, taka kruszyna – szepnął.



## XXI



Rana nie była głęboka. Na szczęście ugodziła się małym nożem.

– Nawet małym nożem można siebie życia pozbawić.

– Tak łatwo się nie umiera, najjaśniejszy panie.

Powiedziawszy ostatnie zdanie, medyk uklonił się Jezierskiemu, pocałował dłoń Wandy i wyszedł z izby.

Stali przy drzwiach i w milczeniu patrzyli na bladą twarzyczkę, której powoli wracały kolory. Widać było, że Lisa przeżyła szok, bo do tej pory się nie ocknęła. Wyglądała pięknie, majestatycznie.

Milczeniem oboje chcieli odwrócić uwagę od ostatniej rozmowy w Dworze Artusa, a dodatkowo kupić jeszcze jeden wspólny moment. Lękali się pożegnania i ostatecznego zerwania więzi, dlatego przeciągali chwilę milczenia tak długo, że zaczęło ich krępować. Należało coś postanowić, a przynajmniej się odezwać.

Konrad ukradkiem spoglądał na Wandę. Od smutków wciąż marszczyła brwi, czoło nie wypogodziło się. Odwrócił się ku niej.

– Czy naprawdę mam jechać, Wando?

Unikała jego wzroku.

– Powiedz.

– Zobacz, jak wiele nieszczęścia przyniósł nasz afekt – szepnęła. – Twój syn zawiedziony, Lisa bez świadomości...

Konrad wszedł jej w słowo, nieco zirytowany.

– To nie uczucie spowodowało nieszczęścia. To ja, moje uczynki do tego doprowadziły. Ale pomyśl, droga Wando, bez naszego uczucia Lisa nawet by się nie narodziła. Bez niego nie stałabyś się moją, wpływową panią van der Berg.

– A może żyłabym spokojniej? W Łodzi... – wpadła w zadumę. – Często śni mi się ojciec. Został w Łodzi sam, niedawno zmarł. Wiem to, bo mi się przyśnił. Kazał się modlić za swą duszę.

– Zostałabyś żoną jakiegoś łodzianina, ale czy byłabyś z nim szczęśliwa? Czy wciąż rozmyślałabyś o mnie?

Pytanie wydało się Wandzie zbyt bezpośrednie, a zarazem intrygujące. Wreszcie odważyła się spojrzeć na szlachcica.

– Przeszłaś tak wiele, Wando. I to z mojej winy. Miałaś rację, jestem próżnym egoistą, pomagałem ci, ale tylko w połowie, by nie ucierpiała na tym moja rodzina, polityczna i żołnierska sława...

Słowa skruchy przychodziły Konradowi z trudnością, nigdy nie musiał się z niczego tłumaczyć. Poza tym wiedział, że takie wyznania jeszcze bardziej oddalą go od Wandy. Jednak czuł, że musi powiedzieć wszystko, zasłużyła na to. Choćby była chłopką albo banitką, choćby znów musiał oglądać ją obrzuconą błotem jak dwadzieścia lat wcześniej. Nie obchodziło go to. Dlatego mówił dalej, stawiając siebie w coraz gorszym świetle.

Wandzie słuchało się go z trudnością, bo słowa potwierdzały, że nie była dla niego tak ważna, jak on dla niej. Jednak, o dziwo, wyznania uspokajały ją, ponieważ wszystko, co złe, już się dokonało. Nie można było zawrócić czasu, zresztą Wanda stwierdziła w duchu, że wcale tego nie pragnie. Poza tym Konrad wreszcie nie kluczył, nie używał półśrodków. Spowiadał jej się z myśli i życia, jakby nie tylko chciał prosić o przebaczenie, lecz także wyjednać zmianę decyzji.

Pod wpływem przeszywającego spojrzenia Konrad zbladł i urwał w pół słowa. W oczach Wandy dostrzegł zdecydowanie. Od tej decyzji zależało wszystko. Odrzucając Konrada, odrzuciłaby przeszłość i całe swoje życie – podwójną banicję, porzucenie, ożenek z Danielem Schulzem, Lisę, patrycjuszowską tożsamość, nawet własne nazwisko. Bowiem to wszystko łączyło ją z chorążym.

Nieśmiało wyciągnęła rękę i dotknęła ciepłej dłoni Konrada.

– Na uczucie już może za późno i win sobie nie podarujemy tak łatwo, nawet jeśli teraz byśmy spróbowali.

– Wando, przecież we dworze podarowałaś... Ja podaruję – zapewnił Konrad gorąco.

Gest Wandy wzruszył go, ale słowa zasmuciły.

– Niech będzie, że zostaniemy tu jeszcze przez chwilę. Tylko przez chwilę. Życie to piękna róża, dzika. Ale jej kolce...

– Są ostre!

Wanda – jak jeszcze niedawno chorąży – porównała życie do kolistej, dzikiej róży. Dla Konrada stanowiło to ostateczny dowód na miłość, wobec tego zjawiska trudno mu było złapać dech.

– Tak, ostre. A my po tych kolcach codziennie zmierzamy w stronę szczęścia. Kaleczymy stopy, lecz idziemy. Myślimy, że dalej czeka to, co najlepsze. Nie wiem, czym jest przyszłość – prawdą czy mirażem. Wiem tylko, że ludzie do niej lgną, a zarazem lgną do niepewności i śmierci. Niech ta róża zwiędnie, kiedy my zwiędniemy, niech umrze wraz z nami. Z obojgiem. Choćby to oznaczało najgorsze.

Musieli od siebie odstać, bo Lisa zaczęła się wybudzać. Konrad patrzył na Wandę z nadzieją.